



Anita
Shreve

Historia pewnego lata



RS

*Dla Whitney, Katherine,
Alli, Molly i Chrisa*

Podziękowania

Powieść niemal nigdy nie należy wyłącznie do autora. Przy tej pomagało mi kilkoro redaktorów, niektórzy byli profesjonalistami, a wszyscy przyjaciółmi. Wymienię ich w kolejności, w jakiej czytali maszynopis: John Osborn, Rick Russo, Katherine Clemans, Jennifer Rudolph Walsh, Micheal Pietsch, Asya Muchnick, Celeste Cooper, Elinor Lipman, Pamela Marshall - dziękuję Wam wszystkim.

2002

RS

Trzecia, martwa godzina. Piasek cicho zgrzyta między gołymi stopami a deskami podłogi. Na poręczach łóżek i na balustradzie ganku wiszą mokre ręczniki. Powiew z trzaskiem zamyka drzwi i ktoś w pobliżu wydaje spodziewany okrzyk zaskoczenia. Południowo-Zachodni wiatr, który nie jest normą nawet w sierpniu, wpycha duszne powietrze w głąb pokoi starego letniego domu. Jedyna nadzieja we wschodnim wietrze od wody i ktoś regularnie to powtarza.

- Wschodni wiatr byłby prawdziwym błogosławieństwem.

Poranek mija na szybkich spacerach i prywatnych lekcjach, na intensywnych lekturach i leniwej partii tenisa. A także na krótkim wypadzie do salonu samochodowego w Portsmouth, by obejrzyć audi quattro. Sydney powiedziano, że jesienią pani Edwards będzie potrzebowała nowego samochodu.

W domu przebywają goście, którzy wymagają uwagi. Zawsze ma się nadzieję na przyjazd gości z inicjatywą, których obecność jest jak odświeżający wschodni wiatr. Ale to nie zmartwienie Sydney. Popołudnia ma wolne. Całe jej życie z wyjątkiem kilku godzin przepłacanych korepetycji każdego dnia jest niepokojąco wolne.

Przebiera się w jednoczęściowy czarny kostium kąpielowy, elastyczna tkanina przywiera gładko do bioder. Sydney ma dwadzieścia dziewięć lat i jest w dobrej kondycji. Nie potrafi określić barwy swoich włosów. Nie jest to ani blond, ani platyna, ale coś pośredniego, co blaknie w styczniu i ożywa w sierpniu. Złote pasemka na półprzezroczystym tle.

Sydney dwukrotnie wychodziła za mąż: raz się rozwiodła, raz owdowiała. Słyszając o tym, ludzie się dziwią, jakby to była najbardziej interesująca informacja na jej temat.

Na ganku pięknie rozstawiono czerwone geranium na tle jasnej zieleni trawy i błękitu wody. To nie są barwy podstawowe, takie odcienie spotyka się tylko w naturze.

Ostre źdźbła trawy przebijają drewniane deski chodnika, słodki groszek pnie się po drabinkach. Niechciane pięści ostu wyrastają z piasku. Na niewielkim tarasie na końcu chodnika stoją dwa białe żeliwne krzesła, które trudno ruszyć z miejsca. Pomiedzy nimi tkwi spłowiwały parasol. Dwa zardzewiałe i niezwykle ciężkie żelazne stojaki na parasole tłoczą się w rogu; Sydney przypuszcza, że nikt nigdy nie usunie stąd tych rzeczy.

Drewniane schodki bez balustrady prowadzą na plażę w kształcie półksiężyca po lewej stronie i na skaliste wybrzeże po prawej. Sydney biegnie po gorącym piasku do linii wody. Fale toczą się całą serią i kiedy Sydney zamyka oczy, słyszy szum. Przygotowuje się na uderzenie zimna. Pan Edwards zawsze powtarza, że zimno lepiej rozjaśnia w głowie niż terapia elektrowstrząsami.

Atak lodowatej wody, bulgotanie białych bąbelków. Kiedy Sydney wynurza się na powierzchnię, czuje kłucie soli w zatokach. Wstaje, chwije się, prostuje i otrząsa jak pies. Splata ręce na piersi i odpoczywa do chwili, gdy

czuje, że stopy zaczynają jej drętwieć. Ponownie nurkuje; wypływając po haust powietrza, odwraca się na plecy i pozwala, by fale, silniejsze i wyższe niż wydają się z brzegu, uniosły ją na sobie i rzuciły w dół. Dryfuje; zimna woda pobudziła jej wszystkie zmysły.

Sydney płynie na fali, piasek dostaje się pod kostium kąpielowy. Kiedy w dzieciństwie zdejmowała kostium, w kroczu znajdowała garście piasku. Zanurza się w oceanie, by zmyć grudki przyklejone do brzucha, ale dostrzegą zbliżającą się wysoką falę. Wstaje, odwraca się do niej plecami i rzuca na jej grzbiet. Sztuczka polega na tym, by trafić na właściwe miejsce. Z wyciągniętymi dłońmi i zamkniętymi oczami jak pocisk przecina białą pianę. Ociera się nagim biodrem i udem o dno.

Wyczołguje się na piasek, a nurt rzeźbi koleiny pod jej łydkami. Fala, na którą nie zdołała trafić, uderza ją w plecy i szyję. Sydney odsuwa kosmyk włosów z twarzy i wyciera wodę z oczu. Na plaży widzi postać, której wcześniej tam nie było. Opalony tors, ruda czupryna. Mężczyzna w kąpielówkach wyciąga ku niej wielki różowy ręcznik.

- Przysłano mnie z ręcznikiem. Jesteś Sydney, tak?

Jakże byłoby dziwnie, gdyby nie była Sydney. W promieniu kilometra w wodzie nikogo nie ma.

Meble w domu są białe, rzecz dobra w teorii, choć nie w praktyce. Pokrowce na dwóch sofach są poznaczone niewyraźnymi smugami i plamami, a także granatowymi wełnianymi kłaczkami. Powierzchnia klonowej podłogi wygląda jak przetarta papierem ściernym, tak często skrobały po niej ostre ziarenka piasku.

Na schodach do piwnicy stoi kosz ze starymi gazetami, wiklinowy pojemnik na wszystkie przedmioty, które

nie należą do wystroju domu, ale mogą kiedyś się przydać. Połyskliwa fioletowa smycz. Jaskraworóżowy stos samoprzylepnych karteczek. Pomarańczowa kamizelka ratunkowa. Praktycyzm i sport w nienaturalnych barwach.

Chociaż pani Edwards daje do zrozumienia, że mieszka w tym domu od dziesięcioleci, może nawet pokoleń (rodzina ma swoje rytuały i często przywoływane wspomnienia), i zapewnia, że progi zostały zrobione ze starych słoików na przetwory pełnych szkła wyrzuconego przez morze, w rzeczywistości należy on do Edwardsów dopiero od 1997 roku. Pan Edwards wyznał, że przedtem wynajmowali okoliczne domki. W przeciwieństwie do żony wydaje się niezdolny do kłamstwa.

Sydney dzieli łazienkę z gośćmi, parą z Nowego Jorku, która przybyła tu w poszukiwaniu antyków. Rano na umywalce widnieją błękitne smugi pasty do zębów i różowe ślady kosmetyków na lustrze, za kranami tkwią zużyte chusteczki higieniczne. Sydney myje ręcznikiem umywalkę, zanim z niej skorzysta. W drodze do swojego pokoju wkłada ręcznik do kosza w holu.

Od pierwszej chwili Sydney nie miała wątpliwości, że osiemnastoletnia córka Edwardsów, Julie, jest opóźniona i żadne korepetycje nie zapewnią jej sukcesów w klasie maturalnej, na które liczy matka. Zdaniem Sydney ten rok niemal na pewno zakończy się klęską dziewczyny. Pani Edwards z wielką znajomością rzeczy opowiada o college'ach Mount Holyoke i Swarthmore, a w ostateczności dopuszcza też Skidmore. Sydney może tylko mrugać ze zdumienia. Julie, uległa i pragnąca wszystkich zadowolnić, odznacza się niezwykłą urodą; skórę ma czystą i różową, oczy niebieskie jak szkiełka wyrzucone przez

morze. Sydney przewiduje, że dziewczyna, która chętnie uczyłaby się od rana do wieczora, sprawi rozczarowanie matce i złamie serce ojcu, przy czym powodem jego rozpaczy nie będzie odrzucenie papierów Julie przez uczelnie, o których pani Edwards tak często rozprawia, ale to, że usilne starania córki zakończyły się porażką.

Na szybach okien osadza się sól, jakby na szkło chlusnęła woda. Okna na ganku trzeba myć dwa razy w tygodniu, jeśli chce się podziwiać imponujący widok.

Sydney wyczuwa niekiedy, że jej obecność zakłóca równowagę rodziny. Stara się być pod ręką, gdy jej potrzebują, w pozostałym czasie jest obecna, ale milcząca.

Bracia będą spać w pokoju nazywanym „sypialnią chłopców”. Julie ma pokój z oknem na ocean. Z sypialni państwa Edwardsów widać bagna. Goście, tak samo jak Sydney, zostali relegowani do pokoi z podwójnymi łózkami.

Państwo Edwardsowie zaproponowali Sydney, żeby zwracała się do nich po imieniu, ale kiedy próbuje powiedzieć „Mark” albo „Anna”, słowa więzną jej w gardle. Wynajduje inne sposoby określania swoich pracodawców, takie jak „pani mąż”, „on” czy „twój ojciec”.

Pierwszy mąż Sydney był pilotem sportowym. Latał nisko pomiędzy drzewami z prędkością czterystu kilometrów na godzinę i wykonywał figury akrobatyczne w powietrzu. Gdyby musnął bramę albo na moment zdeorientowały go wskaźniki aparatury, spadłby na ziemię i rozbił się. Kiedy to było możliwe, Sydney jeździła a Andrew na zawody - do Szkocji, Wiednia czy San Francisco - i patrzyła, jak w ciągu sekundy obraca samolot o czterysta dwadzieścia stopni. Na pokazach Andrew był gwiazdą i rozdawał autografy. Miał ognioodporny kombinezon, kask i spadochron - co nie znaczy, że spadochron na coś by mu się przydał na wysokości dziewięciu

metrów. W pierwszym roku zawody były dla Sydney podniecające i egzotyczne. W drugim zaczęła się bać. Wyobrażając sobie rok trzeci oraz możliwość przyjscia na świat dziecka, podjęła decyzję: dosyć. Jej lotnik wydawał się szczerze przygnębiony końcem małżeństwa, ale nie był w stanie zrezygnować z latania.

Swojego późniejszego drugiego męża poznała, kiedy miała dwadzieścia sześć lat. Przednia prawa opona jej hondy pękła na Massachusetts Turnpike, Sydney zjechała więc na pobocze i wysiadła, by obejrzeć uszkodzenie. Chwilę potem jakiś samochód uderzył w tył auta, które powlokło ją po chodniku. Daniel Feldman, lekarz dyżurny w izbie przyjęć szpitala Newton-Wellesley, rozcinając ubranie Sydney, nakrzyczał na nią za zatrzymanie się na moście. Tydzień później zaprosił ją do restauracji Biba w Bostonie.

Osiem miesięcy po ślubie Daniel, który odbywał wtedy staż w szpitalu Beth Israel, doznał pęknięcia tętniaka w mózgu. Powiadomiona telefonicznie Sydney najpierw nie wierzyła, potem doznała szoku.

W rozmowach z Sydney większość ludzi przez delikatność nie podkreśla ironii tkwiącej w fakcie, że rozwiodła się z pierwszym mężem z obawy przed jego nagłą, przedwczesną śmiercią, po czym poślubiła człowieka, który umarł w miejscu przeznaczonym do ratowania życia. Sydney jednak dostrzega, że pan Edwards ma wielką ochotę na dyskusję o tym zbiegu okoliczności. Pomimo dobroci i życzliwości nie może się powstrzymać od napomykania o szczegółach.

- Czy tamten pilot wciąż lata? - pyta pewnego wieczoru, kiedy zmywają naczynia. - Mówiłaś, że twój drugi mąż odbywał staż w Beth Israel?

Dla kontrastu pani Edwards nigdy nie owija niczego w bawełnę.

- Jesteś żydówką? - zapytała, prowadząc Sydney do jej pokoju.

Sydney nie wiedziała, która odpowiedź bardziej przypadłaby jej do gustu: twierdząca jako bardziej interesująca czy przecząca jako bardziej do przyjęcia.

Lekarz był żydem, lotnik nie.

Sydney jest jednym i drugim, po żydowskim ojcu odziedziczyła kości policzkowe, po matce unitariance niebieskie oczy. Włosy ma po obojgu rodzicach: kręcone, ale jasne, niemal przezroczyste. Zanim rodzice się rozwiedli, miała swoją *bat mitzvah*, później usilnie wychowywano ją na WASP-a. Myśli o obu tych fazach swojego życia jako o etapach dzieciństwa niewiele mających wspólnego ze światem, który teraz stał się jej udziałem: żadna z religii nie okazała się pomocna w trakcie rozwodu i śmierci.

Całkiem jak spadochron na wysokości dziewięciu metrów.

Zeszłego lata Sydney na tydzień pojechała do rodziców Daniela. W założeniu miał to być szlachetny postępek. Pani Feldman, do której przez niedługi okres zwracała się „mamo”, pomyślała, że obecność synowej przyniesie jej ulgę. W rzeczywistości stało się odwrotnie, widok Sydney powodował, że pani Feldman wybuchała rozpaczliwym szlochem.

Po śmierci zięcia matka Sydney nie chciała uwierzyć w fakty i zmuszała córkę do powtarzania raz po raz, że Daniel umarł na tętniaka mózgu.

- Ale jak? - pytała wtedy matka.

Na pogrzeb ojciec Sydney przyjechał z Nowego Jorku pociągiem. Ubrany był w beżowy trencz, na nabożeństwo włożył jarmułkę, i co zaskakujące, płakał. Na stypie usiłował dodać córce otuchy.

-Wiem, że jesteś twarda - powiedział przy steku i pieczonych ziemniakach.

Po tym podwójnym ciosie rozwodu i śmierci Sydney popadła w stan emocjonalnego paraliżu, który uniemożliwił jej ukończenie pracy dyplomowej z psychologii rozwojowej i zmusił do rezygnacji ze studiów w Brandeis. Od tamtej pory podejmuje załatwiane przez przyjaciół i rodzinę dorywcze prace, do których ma za wysokie kwalifikacje albo w których się gubi: sekretarka na Wydziale Mikrobiologii Harvard Medical School (propozycja pierwsza), asystentka marszanda w galerii sztuki przy Newbury Street (propozycja druga). Była wdzięczna za te zajęcia, za możliwość dryfowania i dochodzenia do siebie, ale ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy ten dziwny i bezproduktywny okres jej życia powoli nie dobiega końca.

- Ty na pewno jesteś korepetytorką Julie.

- A ty?

- Na imię mi Ben. Jeff siedzi na ganku.

- Dziękuję za ręcznik.

- Świetnie pływasz.

Sydney odkrywa, że brakuje jej żałoby. W żalu czuła się intymnie związana z Danielem, ale owa więź z każdym dniem słabnie. Teraz myśli o nim bardziej jako o utraconej możliwości niż o mężczyźnie. Zapomina rytm jego oddechu, kształt mięśni.

- Odpowiedziałaś na ogłoszenie?

-Tak.

Sydney owija się w ręcznik barwy różowej gumy do zucia. Widzi, jak mężczyzna na ganku wstaje z fotela i opiera dłoń na balustradzie.

- Jesteś nauczycielką?

- Nie. Obecnie właściwie nie jestem niczym.

- Czyżby?

Sydney nie potrafi odczytać tego „czyżby”. Lekceważenie? Rozczarowanie? Ciekawość?

Dostrzega zarys szczuplejszej postaci, jaśniejsze włosy. Mężczyzna o imieniu Jeff schodzi z ganku na drewniany chodnik i na moment niknie jej z oczu. Kiedy znowu się pojawia, Sydney widzi, że Jeff ma na sobie kąpielówki i granatową koszulkę.

Jeff czeka na szczycie schodów. Sydney widzi najpierw jego stopy (w podniszczonych tenisówkach), potem nogi (pokryte lekką opalenizną i złotymi włoskami), a wreszcie wypłowiałe kąpielówki (szarawe z fioletowymi plamami; przypuszcza, że pierwotnie były granatowe, ale, niestety, wyprano je w proszku z wybielaczem). Jeff cofa się, by zrobić im miejsce, i w ciasnym przejściu odbywa się niezręczna prezentacja. Sydney ściska mu rękę; wie, że jej dłoń musi być lodowata.

- Wiele o tobie słyszeliśmy - mówi Jeff.

Sydney jest skonsternowana. Spodziewała się czegoś więcej.

Twarz Jeffa wydaje się rozluźniona i szczerą, w zielonych oczach maluje się prostolinijność. Sydney myśli, że w jego wieku przypuszczalnie nie można być prostolinijnym, ale taki jest. Pies Tullus (zdrobnienie od Catullusa?) podbiega do nich truchtem i podsuwa łeb prosto pod dłoń mężczyzny. To potwierdza wrażenie Sydney. Zwierzęta zawsze wyczuwają dobrych ludzi.

- Hej - mówi Jeff; pochyla się nad golden retrieverem i z sympatią czochra mu łeb.

Na ganek wychodzą państwo Edwardsowie i Julie, integralna całość. Ben obejmuje siostrę i kołysze ją z boku na bok. Na tekowym stole ustawiono sześć szklanek

mrożonej herbaty. Jeff z uśmiechem podaje jedną Sydney, która zauważa, że tak samo jak brat i siostra on też ma wyjątkowo równe zęby, i wyobraża sobie tysiące dolarów zostawione u ortodonty. Jej matka ledwo pamiętała o okresowych badaniach, dlatego Sydney ma niedoskonały uśmiech, którego wyrazistą cechą jest nieco krzywa czwórka.

Ben ma piwne oczy jak jego matka. Jeff odziedziczył wygląd po ojcu.

Sydney opiera się o balustradę i szczerzej otula ręcznikiem. Podejrzewa, że jej włosy po słonej wodzie muszą wyglądać jak węże Gorgony.

Pani Edwards, choć wcześniej sprawiała wrażenie zimnej, ożywia się w towarzystwie synów. Wyszedłszy na ganek, jest ciągle w ruchu, często ich dotyka i zdaje się pragnąć, by oni także byli blisko niej. Chce być postrzegana jako idealna matka. Nie, dochodzi do wniosku Sydney, pragnie, by korepetytorka pojęła, iż synowie najbardziej w świecie kochają matkę.

Sydney wie co nieco o braciach. Ben ma trzydzieści pięć lat, pracuje w wielkiej agencji handlu nieruchomości. Młodszy o cztery lata Jeff jest profesorem nauk politycznych na MIT. Sydney spodziewa się, że na ganku po raz kolejny usłyszy te informacje, ale w obecności synów pani Edwards zachowuje niezwykłą powściągliwość.

Pani Edwards ma na sobie spódnico-spodnie w kolorze khaki i białą koszulkę polo, która uwydatnia spory wałek na brzuchu. Sydney doradzałaby luźne koszule na wierzch i dłuższe spodnie, ale nie jest jej rolą wypowiadanie się w tej kwestii. Wygląd pana Edwardsa zdradza mężczyznę, który swojemu strojowi nie poświęca ani jednej myśli: workowate spodnie khaki i jeszcze luźniejsze koszulki polo spadające mu z ramion. Czasami kładzie

dłonie na brzuchu, który wygląda jak przyczepiony do jego wysokiej postaci, i cicho jęczy o pączkach zjedzonych na śniadanie albo o ciście kokosowym na deser po obiedzie. Obserwator odnosi jednak wrażenie, że te przysmaki sprawiają mu przyjemność i że nie jest to człowiek, który dla próżności zrezygnowałby z przelotnych rozkoszy. W przeciwieństwie do niego pani Edwards z religijnym zapałem liczy węglowodany i sprawia wrażenie, że pragnie przyspieszyć swą przedwczesną śmierć spożywanymi w wielkich ilościach jajkami, mięsem i serami. Nawet złowieszczą połyskujące lody z niską zawartością węglowodanów, które jada wieczorami, zdają się dostarczać molekuły cholesterolu wprost do jej krwiobiegu.

Pani Edwards ma jasne włosy sięgające poniżej uszu; czasami spina je z tyłu klamerką, co powinno wyglądać ładnie, w rzeczywistości jednak podkreśla jej kwadratową twarz i długie na centymetr siwe odrosty. Sydney doradzałyby inną fryzurę, ale to, podobnie jak wybieranie strojów, nie należy do jej obowiązków.

Jeff opiera się o balustradę kilka kroków od Sydney. Z racji swojej szczuplejszej budowy sprawia wrażenie obnażonego, podczas gdy ciało Bena wydaje się pełne i nieskrępowane wystawieniem na widok publiczny.

Zaczyna się rozmowa o korkach przy wjeździe na autostrady, ktoś żartuje, że należałoby uciec się do obywatelskiego nieposłuszeństwa, by zmusić stan do przyjęcia elektronicznych kart E-Z: znaleźć siedmiu chętnych, którzy zostawią samochody w bramkach i pójdą sobie. Ben wypuszcza Julie z objęć i bierze szklanekę z mrożoną herbata. Wypija zawartość jednym haustem, kostki lodu stukają o jego górną wargę. Jest bardziej dynamiczny niż brat: rozpięra go chęć działania. Zapłata palce na karku i zgina łokcie. Pyta ojca o golfa.

- Coraz gorzej mi idzie - odpowiada pan Edwards, choć nikt mu nie wierzy. Wszyscy oczekują, że dobrotliwy patriarcha będzie umniejszał swoje dokonania.

Pani Edwards odpowiada na pytanie o gości, którzy pojechali do Portsmouth w poszukiwaniu zabytkowych przedmiotów. Na rano cała czwórka umawia się na golfa.

Bracia wspominają o kolacji. Sydney przypuszcza, że menu składać się będzie z homara, warzyw gotowanych na parze i trzech rodzajów ciasta. To pierwsza wizyta Bena i Jeffa u rodziców podczas pobytu Sydney, czyli od początku lipca, a mówiąc ściślej, od połowy czerwca, bo praca i inne zobowiązania nie pozwoliły braciom na wcześniejszy wypad do letniego domu. Ben obiecuje, że wkrótce naprawią to zaniedbanie. Następnym razem spędzą z rodziną cały tydzień. Oczy pani Edwards na przemian zasnuwają się mgłą i jaśnieją. Widać wyraźnie, że planuje kolacje i liczy pościel.

Jeff śmieje się często, ale Sydney widzi, że stoi z rękoma splecionymi na piersi. Zastanawia się, o czym on myśli, kiedy nie słucha uważnie rozmówców. O analizie korzyści wynikających ze zmian rządu w Sudanie? O skomplikowanych algorytmach, w skład których wchodzi terroryści czy też średnie ceny ropy naftowej?

Sydney bez trudu wyobraża sobie Bena w pracy. W koszuli i krawacie bez wątpienia wygląda elegancko i sprawia solidne wrażenie; ciemne oczy sugerują powagę, uśmiech nadaje nieco lżejszy wyraz jego twarzy. Wykonuje te same gesty co w domu: spleta palce na karku i zgina łokcie.

Edwardsowie piją mrożoną herbatę, kostki lodu brzęczą w szklankach. W rozmowie wspomina się o Stewartach i parze nazwiskiem Morrison. Jest mowa o rejsie do Gloucester i z powrotem. Sydney odnosi wrażenie, jakby

próbowała poskładać w całość historię rodziny, do dyspozycji mając tekst z zaczernioną połową zdań zawierających istotne informacje, a pozostała część odnosi się do rozdziału, którego jeszcze nie przeczytała. W sobotę przyjeżdża kobieta imieniem Victoria. Sydney z wolna pojmuję, że podczas weekendu w domu będzie sporo gości.

Od strony plaży nadchodzi nieznamna para i pokazuje sobie dom. Przypuszczalnie idą z publicznego parkingu usytuowanego na drugim końcu półksiężyc. Sydney doskonale wie, co mówią: „Pamiętasz katastrofę samolotu linii Vision? Tę w Irlandii?”.

Zastanawia się, czy państwu Edwardsom nie przeszkadza ta skromna sława wynikająca z tego, że kupili dom od wdowy po pilocie winnym wypadku. Ciekawe, czy dostali go za półdarmo.

Ben pociera dłonie.

- Byłaś już na wielkim rejsie? - pyta.

- To znaczy? - Sydney nic nie pojmuję.

- Wypłyniemy z portu i skręcimy przy cyplu. Mówiono mi, że jeszcze nie płynęłaś łodzią.

- Nie płynęłam.

Ben zwraca się do siostry stojącej blisko ojca:

- Julie, chcesz się wybrać z nami?

Nikt nie jest zdziwiony, kiedy dziewczyna odmawia. Wszyscy doskonale wiedzą, że boi się wody.

- Julie pomoże mi przy różach - mówi pan Edwards.

Sydney bierze bluzę i świeży ręcznik, a później znajduje tenisówki przy tylnych drzwiach. Wsiada z braćmi do landrowera Bena, zajmuje miejsce z przodu. Jeff zadaje jej pytania, na które łatwo odpowiedzieć.

- Co studiowałaś na Brandeis?

- Rozwój emocjonalny i seksualny dojrzewających dziewcząt.

- Na to nigdy za wcześnie - mówi Ben i uśmiecha się pod nosem.

Żaden z braci, choć bez wątplenia wprowadzono ich w szczegóły życia Sydney, nie wspomina o lotniku i lekarzu.

Ben jedzie piaszczystą drogą do osady przy plaży, zbyt małej, by nazwać ją wioską. Są tam zagroda wodna z homarami i sklep wielobranżowy. Wszyscy troje, z kamizelkami ratunkowymi w rękach, schodzą zwirowaną ścieżką ku drewnianemu molu. Jeff wita się z młodym mężczyzną w szortach i T-shircie, który uśmiecha się i ściska mu dłoń. Potem wszyscy razem płyną niewielką łódką wokół portu. Łódka zatrzymuje się przy motorówce Boston Whaler.

Na łodzi Sydney siada na małej skrzynce z przynętą. Ben staje za sterem, a Jeff obok Sydney, opierając dłoń na relingu przy konsoli. Słyszą niski warkot silnika, natychmiast też zrywa się wiatr. Sydney wkłada bluzę, która zakrywa kostium, ale nogi pozostają gołe. Czuje się teraz bardziej naga niż wcześniej, gdy miała na sobie tylko kostium.

Łódź walczy z przypiływem i przez jakiś czas zdaje się tkwić nieruchomo w miejscu. Ben mówi, że nie mogli wybrać bardziej nieodpowiedniej pory, ale Sydney podobą się to uczucie zawieszenia: wytężona praca silnika, opór wody. Myśli o mewach fruujących tuż za jej plecami i o lotniku zawieszonym w powietrzu.

Ciasnota na łodzi daje poczucie intymności. Momentami tylko centymetry dzielą twarz Sydney od gołego uda Jeffa. Gdyby byli kochankami, pochyliłaby się i pocałowała go. To byłby oczywisty gest.

Sydney nie czuje pożądania, to zwykła obserwacja. Uświadamia sobie jednak, że miesiąc temu taka myśl nie przyszłaby jej do głowy.

Kiedy przepływają przez port, Ben wskazuje wielkie domy na wybrzeżu i opowiada związane z nimi historyjki. Łódź okrąży cypel i płynie równoległe do plaży. Jeff pokazuje ich dom na jej końcu. Sydney myśli o jeździe samochodem, spacerze do portu, łódce, walce motorówki z przypływem, okrążeniu cypla i trasie wzdłuż plaży. Dochodzi do wniosku, że pokonanie tej krótkiej odległości kosztowało ich sporo czasu i wysiłku.

- Czyja dziewczyna przyjeżdża na weekend? - pyta, kiedy leniwie kołyszą się na łagodnych falach.

- Moja - odpowiada Jeff.

Wieczorem jedzą kolację w osiem osób. Państwo Edwardsówie tkwią niczym kotwice po obu końcach orzechowego stołu, który zrobił pan domu. Owalny blat został wypolerowany na wysoki połysk, ukośne cięcie jest nierówne, jakby router chwilami wymykał mu się spod kontroli. Sydney dokłada starań, by usiąść koło Julie; ten odruch był niepotrzebny, kiedy siedzieli w jadalni we czworo lub pięcioro. Ale w obecności braci i gości, którzy w triumfalnym nastroju wrócili z Portsmouth - nie wspominając już o sztuczkach i całej oprawie towarzyszącej daniom z homara, serwetkom i tak dalej - Julie sprawia wrażenie zagubionej i niepewnej siebie.

- Odrobiłam matematykę - ogłasza.

Sydney chce odpowiedzieć: Daj sobie spokój z matematyką, zamiast tego jednak tonem, który jak z czasem pojęła, jest zachęcającym tonem nauczyciela, chwali swą podopieczną:

- Dobrze, bardzo dobrze, Julie.

- Dzisiaj wieczorem nie chcę się uczyć - mówi dziewczyna. Po chwili wahania dodaje: - Właściwie bym mogła...

- Nie - przerywa jej Sydney. - Nie dzisiaj wieczorem. To wyjątkowy wieczór.

-Tak?

- Przyjechali twoi bracia.

Julie uśmiecha się, patrzy najpierw na Bena, potem na Jeffa. Promienieje, ale w jej uśmiechu nie ma zaborczości.

Kiedy Sydney przyjechała do Edwardsów, natychmiast intuicyjnie wyczuła, że pracodawcy będą od niej oczekiwali (bez związku z uzgodnionym wynagrodzeniem), by spędzała więcej czasu z uczennicą, niż wymagają tego koprecytacje. Sydney to nie przeszkadza. Chodzą razem na plażę, gdzie dziewczyna zbiera wyrzucone na brzeg szkiełka i pieniążkowce.. Wzrok ma niezwykle ostry, o wiele ostrzejszy niż Sydney, która często zauważa zdobywcę dopiero wtedy, gdy Julie się po nią schyla. Tego dnia znalazła spory fragment barwy ametystu; Sydney dostrzegła na nim dwa słabe okręgi, z których wewnętrzny kończy się znakiem wytwórcy.

Goście, Wendy i Art, przesadnie wystroili się na kolację z homarem i już teraz Sydney widzi okruszki białego mięsa na mankietach różowej koszuli mężczyzny.

Ben atakuje homara z apetytem. Jeff palcami odlamuje pokryte miękką skorupą odnóża i je słodkie mięso bez masła. Pani Edwards zanurza najmniejszy kawałek w żółtym tłuszczu. W maśle nie ma węglowodanów.

Podczas kolacji Wendy i Art nie zwracają się wprost do Sydney, upewniwszy się zaraz po przyjeździe poprzedniego dnia, że ona jest tu dla Julie, całkiem jak wyższa rangą służąca sprzed stulecia. Wendy ma zarzuconą luźno na ramiona bluzę od Armaniego, której rękawy niebezpiecznie zwisają. Sydney wie, że to Armani, ponieważ taki napis widnieje na metce widocznej na karku Wendy.

Przez otwarte drzwi wpada szum fal rozbijających się o brzeg, dziwnie głośny w taki upalny wieczór. W jadal-

ni panuje duchota, mimo że wszystkie okna są otwarte. Sydney marzy o wyjściu na plażę. Pragnie zanurzyć się w wodzie i pływać.

Trzy albo cztery razy w życiu Sydney z prawdziwą przyjemnością jadła homara, traktując to bardziej jak rytuał niż posiłek. Dzisiaj jednak bez zaangażowania odłamuje odnóża i wyciąga mięso szpikulcem. Upał odebrał jej apetyt.

W trakcie kolacji zauważa, że Ben ciągle uczestniczy w rozmowie, podczas gdy Jeff wydaje się przebywać myślami gdzieś indziej. Ben to smakosz, a Jeff jedzenie traktuje obojętnie. Ben prezentuje doskonale manieri wobec gości, którzy snują wyczerpująco długą opowieść o kupionej za grosze w Portsmouth lampie zrobionej z klaksonu starodawnego samochodu. Jeff nachyla się ku ojcu i rozmawia z nim przyciszonym głosem. Sydney wychwytuje słowa „okiennice” i „pomogę ci w tym”,

- Jesteśmy zachwyceni Portsmouth - mówi Wendy. - Wszystkie te kafejki i sklepiki!

- Zatłoczone - dopowiada Art.

- Miasto przeszło całkowitą przemianę w latach osiemdziesiątych - odzywa się pan Edwards. - Przedtem nie było w nim nic poza stoczną.

- Jedliśmy nad wodą - relacjonuje Wendy. - Art zamówił chowder, a ja smażone kalmary.

- Nie mogliśmy znaleźć wolnego miejsca do zaparkowania - mówi jej mąż.

- Potem na głównej ulicy zobaczyliśmy tę lampę w oknie wystawowym.

- Przynieście ją i pokażcie nam - proponuje Edwards.

- Jest solidnie zapakowana - odpowiada Art.

- Z Portsmouth możecie popłynąć promem na wyspy Shoals - informuje Ben.

- Może jutro? - pyta Wendy, zwracając się do męża.
- Czym się zajmujesz, Jeff? - pyta Art, wycierając usta papierowym ręcznikiem.

Zaskoczony Jeff unosi jasne brwi.

- Wykładałam - odpowiada przyjaźnie. - To znaczy będę, od jesieni. Teraz prowadzę badania.

- Z jakiej dziedziny?

- Postkolonialna Afryka Wschodnia - wyjaśnia Jeff. - Ludobójstwo dwudziestego wieku.

- Nic o Bliskim Wschodzie? O wojnie z terrorystami?

Art ma łysą głowę, poza tym jest obficie owłosiony, skrócone pasemka wyłaniają się z rozpiętej koszuli. Sydney szuka związków pomiędzy nim a panem Edwardsem, ale żadnych nie potrafi dostrzec. Dochodzi do wniosku, że prawdziwymi przyjaciółkami są Wendy i pani Edwards; obu kobietom niemal kręci się w głowie na myśl, że rano odwiedzą Emporię, miejscowy pchli targ.

- Stamtąd mam całe rżnięte szkło - mówi pani Edwards, unosząc kieliszek do wina na długiej nóżce. - Nigdy nie płacę więcej niż dwa dolary za sztukę.

Sydney także unosi swój kieliszek i podziwia delikatne wzorki. Zastanawia się, ile lat liczą sobie te rzeczy i do kogo należały.

- Wszystkich nas zrujnuje — mówi pełnym emocji głosem Edwards. Z wcześniejszych rozmów Sydney wie, że chodzi o prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Krótko po przyjeździe dowiedziała się, że pan domu zmienił swoje sympatie polityczne, co nastąpiło podczas ostrej kampanii prezydenckiej. Pani Edwards sprawia wrażenie, jakby tworzyła i porządkowała swoje poglądy polityczne w oczekiwaniu na wizytę synów.

- Cofa nas o stulecie - dodaje jej mąż z zadziwiającą gwałtownością. - O dwa stulecia.

Sydney oblicza, że byłby to rok tysiąc osiemset drugi. Niewiele wie o historii. Czy kraj był wtedy w złym stanie?

- Myślisz, że zostanie ponownie wybrany? - pyta Art.

Pan Edwards dźga powietrze szpikulcem, wskazując nim w kierunku opakowania, w którym dostarczono ugotowane homary z wodnej zagrody.

- Głosowałbym na ten - dźgnięcie - papierowy - dźgnięcie - worek, gdybym myślał, że pokona tego facecica - mówi.

Pan Edwards rzadko okazuje gniew. Wszyscy reagują pełnym szacunku milczeniem. Cisza zdaje się irytować jego żonę, która z wielkim hałasem upuszcza szczypce do głębokiego metalowego talerza.

- Może chleba? - proponuje Sydney, podsuwając jej koszyk.

Pracodawczyni patrzy na nią bez słowa. Pani Edwards nie jada chleba.

W oddali rozlega się wyraźne, niskie dudnienie.

- Fajerwerki! - cieszy się Julie.

- Wieczorem będzie potężna burza - informuje zebranych Art.

- To dobrze - odpowiada pani Edwards. - Oczyszczyć powietrze.

Jakby powietrze cuchnęło, myśli Sydney.

I nagle czuje zapachy Troy. Ma osiem albo dziewięć lat. Zapach cebuli dolatujący z piętra zajmowanego przez babkę. Spaliny ciężarówek dostawczych. Dym papierosowy, którym przeszły obicia. Ojciec pali marlboro, matka virginia slim. Czasami, kiedy Sydney wraca ze szkoły,

znajduje zapalone papierosy w popielniczkach w łazience, koło kuchennego zlewu i w sypialni rodziców, gdzie matka siedzi przy maszynie i szyje portmonetki z jedwabiu i bawełny w kolorach zbyt wyrazistych, niespotykanych w naturze. Jaskrawy róż, połyskliwy błękit, ostra żółć i pomarańcz. Matka sięga po papierosa i wita się z Sydney; nad jej górną wargą tworzą się linie, które wkrótce zagaszczą tam na stałe.

- Co o tym myślisz? - pyta i pokazuje wzór przedstawiający czerwony kabriolet. Siedząca w nim kobieta ma niebieski szal na głowie i rozwiane czerwone rękawy. Sydney przypuszcza, że w założeniu ma to symbolizować wolność.

Za oknem także jest kolorowo, acz nie są to barwy natury. Wielki różowy napis „Wieprzowina z Troy”. Zasłony koloru fuksji na miedzianym karniszu w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy. Pożółkłe żaluzje w gabinecie dentystycznym doktora J.F. Rileya. W witrynie sklepu ze słodyczami na rogu - „Kodak”, „Molson” i „Kent”, Mieszkanie z rodzaju „wagonowych” jest identyczne z innymi mieszkaniami przy tej ulicy, w całym mieście, skoro o tym mowa. Dwa okna od frontu i dwa od tyłu wychodzące na zadaszone podwórze. Słońce wpada jedynie przez te od frontu przez kilka przedpołudniowych godzin. Jeśli je ominiesz, masz pecha.

- Wygląda na szczęśliwą, prawda? - pyta matka. Ona nigdy nie wygląda na szczęśliwą. Portmonetki są życiem, które z niej wycieka.

- Raczej szaloną - mówi Sydney.

Sydney dowiaduje się, że Art pracuje w branży papierniczej - arkusze, ryzy papieru - a Wendy, obecnie na emeryturze, przedtem pełniła funkcję redaktorki w ja-

kimś nowojorskim czasopiśmie (albo asystentki redaktora, a niewykluczone też, że asystentki asystenta - sprawa nie jest całkiem jasna). Córka kończy pracę dyplomową na University of Vermont, syn niedawno ukończył Williams. Wendy dwukrotnie wplata tę nazwę w rozmowę, traktuje ją jak walutę, którą dla innych jest Harvard. Dzisiaj wieczorem synowie są w przewadze, myśli Sydney i momentalnie współczuje dziewczynie studiującej na University of Vermont, która z tego, co widać, przypuszczalnie jest ulubienicą ojca.

Z bukietu ułożonego przez Julie i jej ojca spada płatka. Sydney bierze go i trze między palcami, uwalniając aromat. Kiedy unosi wzrok, widzi, że Ben i Jeff ją obserwują.

- Jak one się nazywają? - pyta pana Edwardsa.

- Róże stulistne. A te to róże damasceńskie, duma dziesiętnastowiecznych ogrodników. Są odporne na suszę, dzięki czemu doskonale nadają się na wybrzeże.

- Ja najbardziej lubię te - mówi Julie, dotykając pełnych, niemal beżowych kwiatów.

Sydney czeka, mając nadzieję na dalszy ciąg ze strony podopiecznej, która zwykle przy stole wypowiada tylko zdanie lub dwa. Ale Julie natychmiast pochyła się nad talerzem.

- Co się stało z tą kobietą, wdową? - pyta Sydney po długim milczeniu; czuje się spowinowacana zarówno z wdowami, jak i pilotami, winnymi lub nie.

Czuje, jak siedząca przy niej pani Edwards sztywnieje. Może nie powiedziała gościom, że śpią w domu człowieka okrytego niesławą.

- Razem z córką przeprowadziły się do miasta - odpowiada Jeff. - Wydaje mi się, że wdowa potem wyjechała do Londynu.

Podaje fakty w uprzejmy, acz rzeczowy sposób, jakby chciał dać znak do zakończenia rozmowy. Sydney dostrzega, że synowie w razie konieczności dostosowują się do emocjonalnego nastroju matki. Może słyszeli odległe dudnienia i obawiają się burzy.

Twarz Julie zaróżowiła się od upału i szczęścia, widać wyraźnie, że dziewczyna z całą pewnością nie dostroiła się do humoru matki. Gęste jasne włosy upięła w swobodny węzeł, co na nieszczęście zwraca tylko uwagę na plastikową spinkę pani Edwards. Julie ma jasne rzęsy, długie i ślicznie podkręcone. Nie przejmuje się wagą i w rezultacie jej kształty odznaczają się ponętną pulchnością. Bracia powinni być czujni, myśli Sydney. Ktoś musi być czujny.

- Victoria będzie tu rano - oznajmia pani Edwards. Nie ulega wątpliwości, że goście wiedzą, o kim mowa, ponieważ oboje spoglądają na Jeffa, który sący piwo.

- Uroczą dziewczyną - zachwyca się jej mąż; polityczny jad, którym trysnął kilkanaście zdań wcześniej, najwyraźniej poszedł w zapomnienie.

Ben znacząco patrzy na brata.

- Z całą pewnością jest uroczą - mówi.

Oprócz cienia rumieńca na policzkach Jeff nie daje po sobie poznać, że cokolwiek usłyszał. Rumieniec może oznaczać cokolwiek. Niezadowolenie, że zwrócił na siebie powszechną uwagę? Reakcję na imię najdroższej sercu osoby? Pamięć o wcześniejszych docinkach?

- Szukam nowego mieszkania - rzuca Ben, gwałtownie zmieniając temat.

- To twoja specjalność - zauważa Jeff.

- Znużył mnie South End. Chętnie spróbuję teraz na nabrzeżu.

- Mówią, żeby nie mieszkać nad morzem przez cały rok - wtrąca Edwards. - Cholernie przygnębiające.

- Budują tam rewelacyjne apartamentowce - oświadcza Ben.

Jego ojciec opiera się łokciami o stół i dłonią wskazuje Bena.

- Wasze pokolenie będzie cierpiało - mówi; więc jednak nie zapomniął o gniewie. - Przez dziesięciolecia będziecie porządkować ten bałagan. Monstrualny dług. Terrorysty. Skandaliczna polityka zagraniczna.

Obecni przy stole rozważają przyszłość, która istotnie zapowiada się ponuro. Pani Edwards zaciska szczękę (nasuwa się wyobrażenie o surowej naganie udzielonej w zaciszu małżeńskiej sypialni).

- Straszysz dzieci, Mark - zwraca się do męża. - I psujesz uroczą kolację.

Pan Edwards przygląda się bacznie żonie z drugiego końca orzechowego stołu.

- Dlaczego nasze dzieci mają nie wiedzieć, co czeka je w przyszłości? - pyta inteligentnie. - Poza tym Ben i Jeff już dobrze to wiedzą. Wyobrażam sobie, że Jeff mógłby nam parę rzeczy powiedzieć.

Obecni też wyobrażają sobie, że Jeff mógłby im parę rzeczy powiedzieć, aczkolwiek on nie wydaje się mieć na to ochoty.

- Dzisiaj wieczorem grają Soksi? - pyta Ben.

- Ho ho, znaleźliśmy się na terytorium Soksów! - woła Art z udanym przerażeniem i łapie żonę za nadgarstek.

- Kto jest miotaczem?

Pan Edwards i Sydney wstają, by pozbierać naczynia, tak jak robią to co wieczór.

- Chwileczkę - mruczy gospodarz, po czym z kuchni przynosi wielki czarny worek na śmieci. Obchodzi z nim

stół, a każdy, starając się nie pochłapać przy tym ubrania, po kolei zsuwa do torby pozostałości posiłku: skorupy, zieloną wątrobotrzustkę, czerwoną ikrę. Sydney zbiera głębokie metalowe talerze zdobione czerwonymi skorupiakami z glazury (kolejny łup z Emporii) i przez wahadłowe drzwi wchodzi do kuchni. Za każdym razem, gdy wraca do jadalni, przy stole siedzi mniej osób. Pierwsza wychodzi Julie, po niej Ben i Jeff. W końcu zostają tylko pani Edwards i jej goście.

Pan Edwards i Sydney udoskonalili kuchenną rutynę. On wkłada sztućce do zamoczenia w ceramicznej wazie, która w tym celu stoi na blacie. Płucze każdy talerz i zostawia w zlewozmywaku. Sydney zastanawia się, czy jej pracodawca wciąż rozmyśla o papierowej torebce, na którą oddałby swój głos, żeby odebrać władzę obecnemu prezydentowi. Obowiązkiem Sydney jest ułożenie naczyń w zmywarce na tyle starannie, by można było umyć wszystkie za jednym razem.

Stawia kieliszki na górnej półce z drutu obciągniętego plastikiem, otwiera dolną i wkłada kokilki. Kiedy kończy, do środka nie da się wcisnąć już nic więcej. Sydney włącza zmywarkę i zamyka ją biodrem. Słucha cichego szumu nabieranej wody. Przez te dwa lata po śmierci Daniela od nowa uczyła się satysfakcjonującej przyjemności doprowadzania do końca domowych robót: lista zakupów z odhaczonymi pozycjami, dwie sprawy załatwione w ciągu jednego popołudnia, ładowanie zmywarki jako sztuka performance.

- Zajmę się obrusem - proponuje, szukając kolejnego zajęcia.

- Podgrzeję ciasto.

Sydney dostrzega plamy soku z homara na jasnozielonej koszulce pana Edwardsa i przebarwienia pozostałe po

wcześniejszych praniach. W zachowaniu swego pracodawcy wyczuwa niechęć do pójścia na ganek, gdzie zostaną podane kawa i ciasto. Może nie przepada za Artem.

Młoda kobieta szoruje ceratę w czerwono-jaskrawoniebieską kratę, która okrywa stół. Spłukuje i znowu szoruje. Kiedy przed kolacją wyjęła obrus używany tylko w czasie posiłków z homara, uderzył ją w nozdrza nieprzyjemny stęchły odór. Zgniła ryba. Zjełczałe masło.

Myje ceratę po raz drugi, kiedy do kuchni wchodzi Ben. Bierze suchą ścierkę, która zwisa z lewej dłoni Sydney, i idzie za nią, wycierając ceratę.

- Dziękuję - mówi Sydney, gdy ich palce stykają się przy składaniu sztywnego tworzywa.

- Nie, to ja dziękuję tobie - odpowiada Ben. Wyjmuje obrus z jej dłoni, zręcznie go naciąga i ponownie równiutko składa. Powtarza tę czynność, aż cerata ma wielkość flagi wręczanej wdowie. - Chcesz wieczorem posurfować? - pyta.

Sydney jest zdezorientowana. Czy Ben ma na myśli surfowanie na desce?

- Jasne - odpowiada.

- Włóż kostium, a na niego ubranie. Moja matka nie znosi, kiedy to robimy.

Sydney rusza na piętro do swojej sypialni, niewielkiego pokoju z jasnoblękitną tapetą w miniaturowe różyczki oraz pomalowanymi na biało elementami drewnianymi i dwoma wąskimi łózkami. W ciągu dnia przez pojedyncze okno widać ocean. Jeśli sięść na łóżku z książką, co Sydney często robi późnym popołudniem (pozwalając swoim pracodawcom sądzić, że ucina sobie drzemkę), ma widok jak z bulaja transatlantyku. Na środku parapetu stoi wysoka kobaltowa butelka z piórem me-

wy. Z jednej strony okna ustawiono malowane na czerwono krzesło, a przy nim dwie płytkie szafy. Sydney dziwią te umieszczone obok siebie szafy i nie potrafi znaleźć satysfakcjonującego wyjaśnienia. Jedna na eleganckie ubrania, druga na sportowe? Jedna na suknie, druga na inne stroje? Jedna dla niego, druga dla niej?

Sydney lubi swój pokój i uważa, że na pobyt czasowy jest idealny. Przypomina jej stare fotografie sal szpitalnych, w których kobiety w wykrochmalonych czepkach i fartuchach opiekowały się pacjentami na łóżkach z doskonale naciągniętymi prześcieradłami.

Starannie wytrząsa do kosza na śmieci piasek z czarnego kostiumu. Wkłada go, po czym zasłania koszulą i szortami, które miała na sobie na kolacji. Wsuwa stopy w klapki i schodzi na dół, obwieszczając swoje nadejście stukaniem. Wszyscy zgromadzili się na ganku, większość w dłoniach trzyma talerze. Widelce przecinają powietrze. Jeff i Ben opierają się o balustradę; zrezygnowali z deseru.

- Pomyśleliśmy, że zaprosimy Sydney na spacer - mówi Ben.

Pani Edwards odwraca się i patrzy na nią, być może wyczuwając coś zakazanego w słowach syna, mimo iż wygłoszonych niewinnym tonem. Otwiera usta, ale zaraz je zamyka. Może chciała zapytać, czy Sydney skończyła z naczyniami.

- Weźcie latarkę - mówi pan Edwards.

Ben podnosi latarkę dość ciężką, by zabić człowieka. Oświetla drewniany chodnik i schody, ale potem ją wyłącza.

- Najlepiej, żeby wzrok od razu się przyzwyczaił - mówi. - Zostaw tu buty.

Sydney zrzuca klapki i ustawia na najniższym stopniu. Jakby na podstawie wcześniejszej umowy idzie pomiędzy

braćmi. To coś zakazanego zaczyna się rozpraszać, budząc w Sydney uczucie bliskie zawrotom głowy. Wydaje się, że w każdej chwili jeden z braci może się zerwać do biegu, rzucając drugiemu wyzwanie.

Idą przez plażę po zimnym piasku. Głosy na ganku natychmiast cichną, stłumione przez szum fal. Sydney obserwuje swoje nogi nienadążające za długimi susami braci. Na niebie wisi półksiężyc, mrok rozprasza światła z domów wzdłuż plaży.

- Zobaczysz fale, kiedy oczy przyzwyczają ci się do ciemności - mówi Jeff.

- Często to robicie? - pyta Sydney.

- To taki rytuał pierwszego wieczoru - odpowiada Ben.

- Nawet jeśli pada? Albo jest zimno?

- Sztuczka polega na wbiciu stóp mocno w ziemię - wyjaśnia Jeff. - Dzięki temu wyczujesz kierunek przyboju.

- Zdziwisz się, jak doskonale wszystko widać - dodaje Ben.

Sydney nie ma wyboru, musi uwierzyć mu na słowo. Już nastąpiła na coś, co za dnia pewnie by ominęła. Ale może Ben ma rację, bo dostrzega białe zmarszczki wzdłuż brzegu.

- Tu zostawimy ubrania - oznajmia Ben, nagle się zatrzymując. - Zbliża się przypiływ.

- Jak je potem znajdziemy? - pyta Sydney.

Obok siebie widzi tylko niewyraźną sylwetkę mężczyzny ściągniętego koszulę przez głowę. Sama też zdejmuje szorty i zaczyna rozpinać bluzkę. Braci potrafi rozpoznać tylko po wzroście, Ben jest o dwa, może cztery centymetry wyższy od Jeffa.

- Boisz się? - pyta Jeff.

- Nie - zaprzecza Sydney; jej odpowiedź to czysta brawura. A potem się zastanawia, czy nie rozczarowała braci, bo strach to połowa zabawy.

Woda zalewa jej stopy, zamyka się niczym imadło wokół kostek. Sydney mimowolnie podskakuje.

- Gdyby coś się stało - mówi Ben - unieś się i krzycz. Któryś z nas na pewno cię usłyszy.

Lekko dotyka jej ramienia. Sydney odwraca się i próbuje dostrzec jego twarz, ale nie może. Nie do końca.

- Ale nic się nie stanie - zapewnia Ben, opuszczając dłonie.

Sydney patrzy, jak biegnie na spotkanie oceanu, przeskakując fale.

- Kto pierwszy...! - woła i momentalnie nie widać żadnego z braci, bo połąknęły ich fale. Nic dziwnego, że pani Edwards to się nie podoba, myśli Sydney.

Czuje, jak prąd wciska jej pod stopy muszelki i kamyczki. Drętwieją jej łydki, potem uda. Słyszy pohukiwania, jeden brat woła do drugiego. Widzi białą grzywę nadchodzącej fali i nurkuje, poddając się mocy wody. Kiedy wstaje, ocean na wysokości jej kolan wydaje się pusty. Kręci głową, wyciera sól z oczu.

- Złapałaś jakąś? - pyta ktoś.

- Nie - odpowiada Sydney.

-Więc spróbuj.

Nie ma nic prócz zimna i wody oraz ruchomych piasków pod stopami. Nagle z boku uderza fala i Sydney pojmuje, że straciła orientację. Rozgląda się, szukając świateł nadbrzeżnych domów. Fala trafia ją w plecy i wpycha pod wodę. Sydney czuje, że ma mocno obtarte ramię. Słyszy wołania braci.

Proste zajęcia wydają się niezwykle skomplikowane, odległości potężne jak przy nauce chodzenia po długiej

chorobie. Kiedy woda sięga jej tuż poniżej talii, Sydney nasłuchuje nadchodzącego przypływu. Pozwala, by przeszła jedna fala, potem następna. Mocno zapiera się stopami i obserwuje, jak zbliża się do niej kolejna, pokazująca białe zęby. Dzięki wieloletniej pamięci zapisanej w ciele Sydney skacze na jej grzbiet, idealnie wybierając moment.

Ryk w uszach, kompletna czerń wody. Młoda kobieta nie ma siły, najmniejszej możliwości uwolnienia się od fali, nawet gdyby tego chciała. Przypływ wydaje się żywą istotą, której jedynym celem jest przeniesienie na swym grzbiecie Sydney z ogromną prędkością. Nigdy tak się nie bała i nigdy nie czuła takiego uniesienia.

Bije wodę rękami, wygina plecy, nabiera powietrza w płuca. Leży na piasku, który się spod niej usuwa. Usiłuje wstać.

- Mój Boże - mówi, wycierając oczy.

- Wszystko w porządku? - pyta Ben, którego także fala wyrzuciła na plażę.

- To było niewiarygodne.

Ben znika, gotów do kolejnej przejażdżki na fali. Sydney rozgląda się za Jeffem, ale nigdzie go nie widzi. Przychodzi jej na myśl, że utonięcie tutaj byłoby łatwiejsze niż można przypuszczać. Pewna śmierć bez nadziei na ratunek.

Poznaje nocną topografię oceanu, jak myśliwy poznawałby topografię lasu w ciemności. Skacze na drugą falę, trzecią i następne - jest ich za wiele, by je zliczyć. Co parę minut woła i otrzymuje dodające otuchy odpowiedzi.

.- Nogi się pode mną uginają! - krzyczy po jakimś czasie. Ledwo może ustać. Ma ochotę opaść na kolana i pozwolić, by fale się nad nią przewalały. Wyczołgać się na suchy ląd i zasnąć.

- Jeszcze jedna! - woła ktoś.

Sydney patrzy na ocean. Budząca się w niej chęć rywalizacji pcha ją do przodu. Nie zrezygnuje pierwsza. Drży w podmuchach wschodniego wiatru (bo teraz wieje wschodni wiatr) i zaplata ramiona na piersiach. Zmusza się do ruchu. Kołysze się z boku na bok, próbuje iść do przodu. Znowu czeka, wypatrując dobrej fali. Widzi ją, jak nadchodzi, ozdobiona białą koronką. Sydney wyciąga ręce i przyjmuje dogodną pozycję. Wskakuje i płynie na grzbiecie fali.

I znowu otacza ją czern, poczucie prędkości. Nagle wyczuwa jakiś kształt, czyjeś ciało pod sobą. Ciało ślizga się po jej skórze, dotyka, bada. Sydney usiłuje wyzwolić się z fali, ale nie potrafi. Krzyczałyby, gdyby mogła.

Kłęka z wysiłkiem. W ustach i nosie ma wodę. Podnosi się i zaraz potyka. Musi wyczołgać się z oceanu.

Czy to była ryba?, zadaje sobie pytanie. Serce jej wali, Rekin?

Odtwarza całą scenę w myślach. Pamięta pełzający dotyk na prawej piersi, brzuchu, kości łonowej, udzie. Dotyk przelotny, a jednocześnie przemyślany. Teraz jest przekonana, że to była dłoń. Ponownie odtwarza wspomnienie. Dotyk wydawał się ukradkowy, a tym samym zamierzony.

Stoi na plaży, nie mając ochoty wpłwać. Ramiona pokryły się gęsią skórką, jakby przed chwilą Sydney wyrwana pióra. Nie wie, gdzie zostawiła ubranie, jak daleko przypływn przepchnął ich troje wzdłuż plaży. Z obu stron widać wszędzie oświetlone okna. Mogłyby dojść do wału i trzymając się go, dotrzeć do domu Edwardsów. Wtedy jednak musiałyby wejść na ganek bez ubrania, w mokrym kostiumie, z ociekającymi włosami i zapiaszczonymi stopami.

To jednak mogła być ryba, myśli.

- Hej! - słyszy czyjś głos. - Sydney?

- Tu jestem - odpowiada, po czym odchrząka. - Tu jestem! - powtarza.

Czeka do chwili, gdy widzi zbliżającą się postać.

Mogłaby zapytać: Czy to byłeś ty?

Teraz jest pewna, że dotyk był celowy. Ma pozostać anonimowy.

Czeka, aż nadchodząca postać się odezwie. Ben także kuleje.

- Ojej - mówi. - To było fantastyczne.

- Gdzie Jeff? - pyta Sydney.

Ben woła brata, czeka chwilę i woła ponownie. Jeff odpowiada, ale jego głos dochodzi z oddali, przybił do brzegu dalej niż oni.

- Zmarzłaś - zauważa Ben, wyciągając rękę.

- Nie, nic mi nie jest - odpowiada Sydney i uchyla się przed jego dłonią.

Więc to Ben, zgaduje. Jeff po prostu jest za daleko.

Następnego dnia rano mgła przykrywa świat. Porywiste podmuchy wiatru hulają pomiędzy słupkami balustrady, wartownikami strzegącymi domu. Wilgoć cieknie strumyczkami po drzwiach, nawet powietrze zmienia się w ciecz. Astmatyk ma uzasadnione przekonanie, że tonie. Nie mija dziesięć minut i wybrzeże znika, a z nim cały ocean. Sydney słyszy fale, ale ich nie widzi. Goście musieliby uwierzyć na słowo, że za oknem mają Atlantyki.

Sydney współczuje rodzinie, która mieszka czterysta metrów dalej. Widziała, jak stawiają namiot, widziała na podjeździe transparent obwieszający: „Ślub Christophera i Rapp”. Wyobraża sobie uroczystość na dworze i zastanawia się, czy goście będą w stanie dostrzec pannę młodą przy ołtarzu. Z kosztownych koafiur po kilku sekundach nic nie zostanie.

Bracia wychodzą pobiegać. Sydney unika spotkania z nimi w holu. Zrećcznie wybiera właściwą porę, zwykle udaje jej się zejść do kuchni po śniadaniu Edwardsów, a przed gośćmi. Kiedy zagląda do kuchni, koło tostera leżą okruszki, na blacie stoi otwarta maselniczka, w zlewie piętrzą się talerze lepkie od soku krojonych gruszek. Na skraju blatu widać filiżankę z zaschniętymi śladami po kawie, z czego nasuwa się wniosek, że Ben nie usiadł do

śniadania. Skąd Sydney wie, że to akurat on z całej rodziny na stojąco pił kawę?

Niewielki żwirowany podjazd koło kuchennych drzwi zastawiony jest samochodami: rdzawe volvo pani Edwards, subaru outback jej małżonka, szara honda Sydney, czarny landrower Bena. Sydney zastanawia się, czym jeździ Victoria, i poświęca tej kwestii sporo czasu. Nie wykluczone, że passatem, choć bardziej prawdopodobny jest lexus. Sydney ma nadzieję, że to lexus. Oczyma wyobraźni widzi dziewczynę jako chłodną blondynkę, choć nie potrafi sobie wyobrazić jej z Jeffem. Nie w tym rzecz, że Jeff nie zasługuje na nią albo że nie jest dość atrakcyjny. Po prostu nie potrafi sobie tego wyobrazić.

Wychodzi z filiżanką herbaty na ganek i siada na tekowym leżaku z białymi poduchami. Z domu dobiegają ciche odgłosy sprzeczki o zgubiony klucz.

- Wiem, że miałem go w kieszeni. Robiłaś pranie?

Wiele lat temu w Troy ojciec Sydney zgubił klucz. A może matka? Klucz do mieszkania? Samochodu? Do czego jeszcze rodzice mieli klucze? Kipiące napięcie nabierało mocy w duszny Memorial Day, jakby dla podkreślenia wyjątkowości tego majowego święta. Sydney, może jedenastoletnia, siedziała na frontowych cementowych schodach, takich samych jak do wszystkich pozostałych domów na ulicy, i przysłuchiwała się dolatującym przez otwarte okna niemiłym oskarżeniom ojca, niemal histerycznym krzykom matki, kłótni, która wcale nie dotyczyła klucza, tylko zawiedzionych nadziei. Czy Sydney naprawdę słyszała słowo „żyd” unoszące się w pokoju? Kiedy ojciec poznał matkę na koncercie w Russel Sage, mieszkał w Troy i pracował w niezależnym czasopiśmie. Matka myślała, że jest pisarzem, on zaś wziął ją za artyst-

kę. Ojciec, zwykle bardzo spokojny i małomówny - teraz był wytracony z równowagi i krzyczał: czy Sydney naprawdę słyszała, że portmonetki matki są „tanie” i „tandetne”? Rodzice początkowo mieszkali w kamienicy należącej do jego matki, układ dość atrakcyjny dla pary oczekującej dziecka i pragnącej realizować artystyczne fantazje. Dziadkowie Sydney z Connecticut odmówili przyjazdu do Troy na ślub swej ciężarnej córki z żydem; zabite dechami miasto było co najmniej równie nie do przyjęcia jak religia przyszłego zięcia. Człowiek nic nie poradzi na to, że jest żydem, tak myśleli, ale można od niego oczekiwać, że wyląduje w lepszym miejscu niż Troy.

Kiedy niezależne pismo zbankrutowało, ojciec Sydney podjął pracę w „Troy Record”, tabloidzie pełnym reklam, informacji sportowych i nekrologów. Matka robiła jedwabne portmonetki i jeżyła się, gdy ktokolwiek w jej obecności wypowiadał słowo „rzemiosło”. Każde było śmiertelnie rozczarowane partnerem, czuło się oszukane i wykorzystane. Może tata mniej, ponieważ sprawiał wrażenie od kołyski nawykłego do porażek. Jego ojciec, krawiec mieszkający dwie przecznice dalej, musiał sprzedać swój warsztat rzeźnikowi, kiedy w sąsiedztwie zaczęli przeważać Włosi. Babka Sydney wykazała się sprytem; zaoszczędziwszy dość pieniędzy, kupiła kamienicę. Sama mieszkała na ostatnim piętrze, dwa pozostałe wynajmowała.

Ojciec Sydney wychodzi na ganek, świadom, że jego córka siedzi i czeka, kiedy pojedą na rodzinny piknik. Przed domem stoi zamknięty na głucho oldsmobile.

- Lody? - pyta ojciec.

Mgła podnosi się gwałtownie. Woda migocze, wygląda jak szklana tafla wysadzana cekinami. Nawet trawa na

wydmach połyskuje, więcej w niej światła niż zieleni. Powietrze sprawia wrażenie świeżo upranego. Sydney myśli o pogodzie, która sprawia, że bielizna świetnie schnie. Uświadamia sobie, że tego lata nie widziała prania rozwieszzonego na sznurze.

- Co za dzień! - mówi Ben przez uchylone drzwi; wrócił już z porannego biegania. Pije sok pomarańczowy z pojemnika, odruch cokolwiek prostacki, odbierający pozostałym możliwość napicia się z tego kartonu. Sydney milczy. - Przez całe lato może się taki nie powtórzyć - dodaje Ben, spoglądając na nią znacząco.

Kiedy drzwi ponownie się otwierają, Tullus wyskakuje na dwór, jakby przez wiele lat tkwił w więzieniu. Dotyka zimnym nosem gołej nogi Sydney, a później sprintem pokonuje drewniany chodnik. Na moło przystaje zdyszany i czeka.

- Chcesz z nami iść? - pyta Jeff. W dłoni trzyma fioletową smycz. Zaproszenie wydaje się niezobowiązujące, a jego lekki charakter jest spotęgowany tym, że Jeff wygłasza je, schodząc po schodach.

- Jasne - odpowiada Sydney i odstawia filiżankę. W weekendy nikt nie oczekuje od niej, by pracowała.

Idzie za Jeffem na moło, gdzie Tullus biega w kółko.

- Siad - mówi Jeff, próbując przypiąć smycz do obroży. Ale Tullus w swym podnieceniu nie zamierza go posłuchać. - Bardzo jest sprytny - mówi Jeff. - Wie, że nie możemy iść na spacer, dopóki nie wezmę go na smycz. Najbardziej na świecie chce iść na ten spacer, ale nie pozwalała mi przypiąć smyczy.

- A potrzebuje smyczy? - pyta Sydney.

- Zacznie ścigać mewę i na wiele godzin zniknie nam z oczu. Albo ją zje, co będzie jeszcze gorsze.

Tullus wymusza szybkie tempo i Sydney wbija palce

stóp w chłodny piasek. Zaskakuje ją, że Jeff ma na sobie tę samą koszulę i kąpielówki co wczoraj. Kiedy go dogania, czuje zapach mężczyzny, który jeszcze nie wziął prysznicza.

- Co za dzień - mówi Jeff, nieświadomie powtarzając słowa brata.

Przez jakiś czas idą w milczeniu. Widok połyskliwej tafli oceanu niemal sprawia ból, ale coś w tym migotaniu umacnia dobre samopoczucie Sydney.

Wzdłuż wału ludzie wychodzą z domów. Kobieta w białym płaszczu kąpielowym i okularach przeciwsłonecznych wpatruje się w horyzont. Mężczyzna siada na ławce i zarzuca czerwoną wędkę. Para z kubkami kawy w dłoniach staje na schodach. Sydney myśli, że nie można witać takiego dnia, nie chwaląc cudownej pogody.

- Gdzie mieszkasz? - pyta Jeff.

- W Waltham.

- Przykro mi z powodu twojego męża.

- Dziękuję.

- Co zamierzasz robić jesienią?

Tullus wsuwa nos w wodorosty. Jeff i Sydney zatrzymują się przy nim.

- Nie wiem - mówi Sydney. - Powinam wrócić na studia i obronić pracę. Ale nie wiem, czy chcę wracać do Brandais.

- Dlaczego?

- Wolałabym studiować w mieście. I tak jestem za stara na studentkę.

- Miałem czterdziestodwuletniego studenta.

Jeff przystaje, podczas gdy Tullus załatwia swoje sprawy. Sydney odwraca się dyskretnie i przygląda bacznie horyzontowi.

- Co sprawiło, że zostałeś na uczelni? - pyta.

- Właściwie nie wiem. Czasami mi się wydaje, że po prostu poddałem się biegowi zdarzeń i nigdy nie próbowałem zostać kimś innym.

Sydney próbuje wyobrazić sobie Jeffa w sali wykładowej, z kredą w dłoni, bazgrzącego na tablicy pojedyncze wyrazy. Na mankietach koszuli ma biały pył. Widok jest pociągający.

- Bardzo lubię Julie - mówi Sydney. - Interesująca jest dzieląca was różnica wieku.

Jeff chwilę milczy i Sydney zastanawia się, czy to nie nazbyt osobista uwaga.

- Zawsze dawano nam do zrozumienia, że Julie nie była wypadkiem przy pracy - odzywa się wreszcie Jeff, zakopując psie odchody dziecięcą łopatką, którą wyjmuję z kieszeni. - To część rodzinnej mitologii.

Sydney pragnie zapytać, co jest powodem ociążałości umysłowej Julie, ale nie potrafi znaleźć słów na sformułowanie tego pytania.

- Ojciec uważa, że świetnie sobie z nią radzisz - dodaje Jeff, pozwalając Tullusowi wrócić do poprzedniego tempa.

- Jest bardzo miła.

- Matka miała czterdzieści jeden lat, kiedy urodziła Julie. Ojciec skończył pięćdziesiąt.

Czy to wyjaśnienie? Silny podmuch unosi włosy Sydney, sprawiając, że powiewają jej za uszami niczym skrzydła.

- Co Julie najbardziej lubi robić? - pyta nagle. - Bo może nie dostać się do szkoły, do której rodzice chcą ją posłać.

- Lubi? - Jeff odwraca się, zaskoczony pytaniem. Jego skórę znaczą jasne piegi. Ma karnację mieszkańca północy. - Lubi pracować w ogrodzie - odpowiada po minu-

cie. - Chodzić na spacer z Tullusem. - Milknie na chwilę. - Tak czy owak to mama ma nadzieję. Myślę, że ojciec dość trzeźwo ocenia jej możliwości.

- Zauważyłam, że Julie często przebywa w różnym ogrodzie.

- Znajdzie męża - oznajmia Jeff. - Da sobie radę.

Sydney jest zdumiona. Ale w wypadku Julie oczekiwanie, że będzie prowadziła samodzielne życie, raczej nie należy do rozsądnych.

- Myślę, że to mąż znajdzie ją - poprawia Jeffa.

- Mam nadzieję, że nie za wcześnie.

- No tak, oby nie za wcześnie - przyznaje Sydney z uśmiechem.

Zauważa, że topografia plaży jest zupełnie inna za dnia. W nocy, kiedy stała na brzegu wody, domy wydawały się odległe. Dzisiaj rano są blisko, niemal przeszkadzają.

- A co ty lubisz? - pyta Jeff.

- Co lubię?

Nieprzygotowana na tę odbitą piłeczkę, Sydney nie potrafi zebrać myśli. Kładzie dłoń na skroni. Mogłaby bez trudu powiedzieć, co lubi, ale Daniela już nie ma.

- Lubię to. - Wyciąga rękę.

-Plażę?

- Spacerować po plaży. Przyglądać się brzegowi. - Czuje, że twarz ją pali. Jej odpowiedź w najlepszym razie jest słaba, pozbawiona żaru. - Lubię rozmawiać z Julie i twoim ojcem. Lubię pływać kajakiem...

Już ma dodać „i skakać na fale”, ale się powstrzymuje, nie chcąc przypominać sobie wczorajszego wieczoru i tamtego śliskiego dotyku. Zdaje sobie sprawę, że nie wymieniła Bena ani pani Edwards wśród osób, które lu-

bi. Gdyby to zrobiła, miałaby wątpliwości, czy Jeff jej uwierzy. Po wieczorze i nocy w domu Jeff z całą pewnością jest świadom lekceważącego tonu w głosie pani Edwards zwracającej się do Sydney i nieszczerości w odpowiedziach tej drugiej.

Sydney postanawia, że nie zapyta Jeffa, co on lubi. Zastanawia się, czy wymieniłby Victorię.

- Przypuszczalnie lubiłaś studia - odzywa się po chwili Jeff.

- Tak.

- Wrócisz?

- Nie wiem. Podobała mi się idea życia opartego na zadawaniu pytań i szukaniu na nie odpowiedzi. Chyba też wierzę w to, że w ostatecznym rozrachunku bycie mądrym jest ważniejsze od posiadania mnóstwa pieniędzy.

- Śmieje się. - Co jest dobre, ponieważ nigdy nie będę bogata.

Jeff odpowiada jej uśmiechem.

- Przypuszczam, że gdybym ciężko pracowała, mogłabym osiągnąć jakiś cel w każdej dziedzinie - ciągnie Sydney. - Dajmy na to w biologii czy chemii. Więc chyba rzecz w tym, że fascynują mnie motywy ludzkiej działalności. - Wzrusza ramionami. - A może po prostu kieruje mną owa wygórowana ambicja dołożenia własnej cegiełki do ogólnego zbioru ludzkiej wiedzy.

- Wiem wszystko o wygórowanych ambicjach - mówi Jeff.

Sydney usiłuje dopasować krok do jego długich susów.

- Czym zajmuje się twój ojciec? - pyta.

Interesujące, ale nikt jej o tym nie powiedział. Nie chciała pytać, na wypadek gdyby pan Edwards nigdzie nie pracował: był na to zbyt bogaty, niedawno został

zwolniony z dobrej posady w wielkiej korporacji albo po prostu przeszedł na emeryturę.

- Jest architektem.

Sydney staje zdumiona. W myślach obchodzi dom. Nigdzie nie ma modeli architektonicznych ani oprawnych w ramki rysunków - w każdym razie żadnych nie zauważyła.

- Nigdy bym się nie domyśliła.

- Ojciec ma pracownię w Bostonie. Czy raczej miał. Teraz głównie pracuje w domu.

- Chciałabym obejrzeć jakiś jego projekt.

- Możliwe, że ma coś w swoim pokoju. Musiałabyś pojechać do Needham, żeby obejrzeć makiety i plany. Są piękne.

- Nie wiem, czy znam innego człowieka, który potrafiłby tygodniami nie wspominać o swojej profesji.

- Mojego ojca mogłabyś znać dwa lata i nie powiedziałaby nic, gdybyś go nie zapytała.

- Niezwykle w dzisiejszych czasach, kiedy człowiek często oceniany jest według wykonywanej pracy i sukcesów zawodowych.

- Ale nie tata. Zupełnie go to nie obchodzi.

- A ty?

- Ja? Och, po tygodniu już byś wiedziała.

- A Ben?

- Zaraz pierwszego dnia.

Sydney i Jeff docierają na koniec plaży, gdzie leży mnóstwo wodorostów. Kiedy zawracają, Tullus ciężko dyszy. Smycz nie jest tak napięta, zwolnili tempo.

- Tak się zastanawiałem - mówi Jeff. - Naprawdę potrafisz zmierzyć czyjś rozwój emocjonalny?

- Naprawdę potrafisz z polityki zrobić naukę? - pyta Sydney.

Jeff pochyla się i odpina smycz. Tullus rusza w kierunku wody, goniąc mewę. Po powrocie otrząsa się, rozpryskując dokoła krople.

- W psach najbardziej lubię to, że są przewidywalne - mówi Jeff.

Kiedy zbliżają się do domu, Sydney zauważa, że całe rodziny wyległy na plażę. Mijają kobietę, która zagłębiona w lekturze siedzi na niskim plastikowym krześle. U jej stóp troje dzieci kopie dół.

- Kiedy przyjeżdża Victoria? - pyta Sydney.

- Vicki - mówi Jeff. - O piątej piętnaście odbieram ją z dworca autobusowego.

Sydney dokonuje drobnej poprawki w swoim portrecie dziewczyny. To osoba bez oporów podróżująca autobusem.

- Od dawna ją znasz?

- Przez całe życie. Jej rodzina od wielu lat tu przyjeżdża. Myślę, że po raz pierwszy uświadomiłem sobie jej istnienie na kursie żeglarskim, kiedy miałem sześć albo siedem lat. Wtedy wynajmowaliśmy tu domy.

- I od tamtej pory jesteście razem? - pyta zdumiona Sydney.

- Nie - śmieje się Jeff. - Spotkaliśmy się ponownie w zeszłym roku na imprezie dobroczynnej w Bostonie. Vicki pracuje w Jimmy Fund. To fundacja gromadząca pieniądze na walkę z rakiem.

- Wiem, czym zajmuje się Jimmy Fund - mówi Sydney i nawet ona słyszy ostrą nutę w swoim głosie.

Rozprasza ją ten ciągle zmieniający się portret Victorii - która jeździ autobusem, którą wszyscy nazywają Vicki, która w wieku sześciu lat uczestniczyła w kursie żeglarskim i która teraz pracuje w organizacji non profit - jakby policyjny grafik poprawiał czyjś komputerowy obraz na podstawie zeznań kolejnych świadków.

- Założę się, że dostaje dobre miejsca w Fenway - stwierdza Sydney, świadomie nadając głosowi lżejszy ton.

- To najlepsza część jej pracy - odpowiada Jeff. Przywołuje Tullusa, który podbiega do nich przy drewnianych schodach. - Teraz czeka na przysmak - wyjaśnia. - Myśli, że to on zabrał nas na spacer.

Sydney stawia zapiaszczone stopy na schody świadoma, że Jeff idzie tuż za nią.

W całym domu słychać, że przyjechała *Vićtor*ia. Ożywione głosy. Nawoływania. Powitania. Sydney jest zadowolona, mogąc w kuchni szypułkować truskawki. Pan Edwards czyta instrukcję obsługi nowego miksera do *panini*, który niedawno został dostarczony przez Federal Express. Sydney podoba się wyrażająca skupienie niewielka zmarszczka pomiędzy jego oczami. Kiedy odkłada broszurę na blat, Sydney zostawia truskawki. Wychodzą do holu, żeby sprawdzić, co jest powodem zamieszania, chociaż oboje doskonale to wiedzą.

Victoria stoi tuż koło drzwi z białą płócienną torbą ze skórzanymi wykończeniami przewieszoną przez ramię. Włosy ma długie, ciemne i kręcone, nos orli, niemal męski, usta bez szminki. Ubrana jest w jasną letnią sukienkę skrojoną ze skosu i krótki jasnoniebieski sweterek z perłowymi guzikami, zarzucony na plecy. Na długich opalonych nogach ma białe klapki z kamieniem przy wielkim palcu. Na pierwszy rzut oka widać, że Victoria odznacza się powagą i pięknnością, zwycięską kombinacją cech. Sydney zadaje sobie pytanie, gdzie będzie spała dziewczyna Jeffa.

Victoria obejmuje panią Edwards, a ta dokonuje długiej i egzaltowanej prezentacji nowo przybyłej Wendy

i Artowi, którzy najwyraźniej zarazili się jej entuzjazmem. Victoria podaje długą, obnażoną rękę, lekko zgiętą w przegubie, jakby przyciągała rozmówcę do siebie. Sydney podziwia ten cudowny gest. Czeka z ramionami splecionymi na piersi.

- Pamiętasz Julie - mówi pani Edwards. Victoria obejmuje dziewczynę i ponad jej ramieniem łapie wzrok Sydney. Ta uśmiecha się i z wyciągniętą dłonią robi krok do przodu.

- Jestem Sydney Sklar - mówi.

- Sydney pomaga Julie w nauce - wyjaśnia pośpiesznie pani Edwards. Jej mąż natychmiast naprawia owo niezwykle *faux pas*.

- A jej obecność tutaj cieszy nas wszystkich - mówi.

Pani Edwards zdaje się go nie słyszeć. Niezręczne milczenie na szczęście przerywa Ben.

- Zaniosę to na górę - mówi, wskazując ręką torbę Victorii.

Na górę, gdzie?, zastanawia się znowu Sydney.

Victoria mamrocze przeprosiny i wychodzi. Choć nie ma nic przeciwko podróży autobusem, najwyraźniej nie potrafiła się przemóc, by skorzystać w nim z toalety.

Nie można nie słyszeć dolatujących z łazienki w holu plusków, nieomylnego westchnienia ulgi i szelestu papieru toaletowego. Aby zagłuszyć te dźwięki, pan Edwards chrząka, po czym wydmuchuje nos w białą chusteczkę, którą wyjął z tylnej kieszeni.

- Szybko się uwinąłeś - mówi do Jeffa.

Sydney, która na początku pobytu u Edwardsów odkryła niefortunną akustykę, przysięgła sobie, że nigdy nie skorzysta z łazienki w holu.

Victoria wychodzi z łazienki, uśmiechając się nieśmiało, i rusza do drzwi prowadzących na ganek. Jeff idzie za nią.

Z frontowego holu Wendy, Art i pani Edwards przypatrują się jej smukłej sylwetce.

- Śliczna dziewczyna - mówi Wendy.
- Jest na co popatrzeć - zgadza się Art.
- Mark i ja mamy nadzieję, że w ten weekend albo w następny... - wyznaje pani Edwards.
- Zaręczyny? - dopytuje się Art.
- Naprawdę? - dodaje zdziwiona Julie.

Pani Edwards z niejakim przestraczem spogląda na Julie, o której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zupełnie zapomniała. Przykłada palec do ust, nakazując córce zachowanie tajemnicy.

Sydney także patrzy na uroczą kobietę stojącą w drzwiach. Czy jest coś niemiłego w Victorii? A właściwie w Vicki, która w najmniejszym stopniu nie przypomina swojego wcześniejszego portretu komputerowego, mimo że poczyniono w nim tyle poprawek. Policyjny grafik musi poszukać sobie innej pracy.

Pan domu oznajmia, że lunch zostanie podany na ganku. Wraca do kuchni, a Sydney z ochotą za nim podąża. Mark Edwards lubi gotować, którą to umiejętność posiadł dość późno. W Troy ojciec Sydney nigdy nie zbliżał się do kuchni.

Skończywszy obierać truskawki, Sydney proponuje, że nakryje stół; zajęcie to wymaga wyniesienia mnóstwa talerzy, szklanek i sztućców na okrągły tekowy stół stojący w kącie ganku. Musi jakoś sobie poradzić z niesfornymi drzwiami, które uparcie chcą uderzyć w kostkę. Ponieważ wieje wiatr, serwetki trzeba czymś przycisnąć.

Po raz ostatni wychodząc na ganek, dostrzega, że na ciężkich tekowych krzesłach przy stole siedzą już Ben, Victoria i Jeff.

- Mogę w czymś pomóc? - pyta Victoria.

- Dzięki, ale już skończyłam.
- W takim razie usiądź z nami - proponuje Ben.

Jeff łapie wzrok Sydney. Zaproszenie czy ostrzeżenie? Chwila mija, zanim zostaje w pełni uświadomiona.

Sydney siada, choć nie podoba jej się arytmetyka. Jeff i Victoria. Ben i ona. Pragnie, by pojawiła się kolejna osoba, nawet jeśli miałyby to być pani Edwards (a może właśnie ona ze względu na umiejętność nadawania swojej pracownicy pozorów niewidzialności), która zmieniłaby ten układ.

Od przyjazdu Victorii Sydney świadoma jest ciągle zmieniających się konfiguracji. Pani Edwards z dłońmi splecionymi na piersiach, lekko odchyłona do tyłu, przedstawiająca Victorię tak, jakby dziewczyna miała w żyłach królewską krew. Pan Edwards swobodnie obejmujący plecy Julie. Dyskretny Jeff, który nie odczuwa potrzeby bycia blisko czy dotykania dziewczyny; może w drodze z dworca już pocałowali się namiętnie w landrowerze. Ben z dietetyczną colą w dłoni przysiadł na podście i obserwuje scenę z wysoka.

Ponieważ słońce mocno świeci, ciemne okulary są niezbędnym wyposażeniem podczas lunchu na ganku. Cała rodzina występuje incognito. Kanapki przygotowane przez pana Edwardsa są wyśmienite: wyrafinowane dzieła sztuki z mozzarelli, pomidorów, bazylii i oliwy z oliwek pomiędzy kromkami chrupkiego chleba. Pani Edwards wpatruje się w *panini*, które przed nią postawił mąż, jakby chciała zapytać: I co mam z tym zrobić?. Bez wątpienia chętnie odrzuciłaby chleb i zjadła sam ser, ale nie może tego zrobić w towarzystwie, a już na pewno nie w obecności Vicki.

Victoria, pytana o liczby, podaje bajeczną sumę. Ze znanstwem mówi o baseballu, ostrej białaczkce szpikowej

i bankructwie restauracji na St. Botolph Street. Ben wyraźnie się ożywia na wzmiankę o nieruchomości, która być może zostanie wystawiona na sprzedaż.

Sydney obserwuje siedzącą naprzeciwko Julie. Dziewczyna sprawia wrażenie przygaszonej. Może widzi w Victorii kobietę, którą sama nigdy nie będzie. Może nie podoba jej się, że obca osoba rości sobie prawo do jej brata, a może słysząc o rozrywkach, do udziału w których nikt jej nie zaprosił, wie, że zostanie sama? Sydney notuje w myślach, żeby po lunchu zaproponować jej spacer.

Gospodarze rzadko informują Sydney wprost o planach na najbliższą przyszłość. Powinna raczej w ciągu dnia wydedukować to z urywków rozmów, z dodatkowych zakupów leżących na granitowym blacie albo, subtelniejsza aluzja, z faktu, że o trzeciej pani Edwards bierze drugi prysznic, żeby na wieczór mieć świeżo umyte włosy.

Dzisiaj przy lunchu pada wzmianka o dwóch dodatkowych butelkach shiraza potrzebnych na kolację. Rozważa się, czy silny wiatr nie uniemożliwi wypicia drinków na ganku. Ale to kolejność zdań: „Ferris nie pije; Marina lubi pellegrino; Claire i William może jednak przyjdą”, pozwala Sydney dość wcześnie wywnioskować, że na kolacji obecnych będzie trzynaście osób. Kiedy na trzy godziny przed czasem widzi w jadalni stół pięknie zastawiony rżniętymi kieliszkami, niepasującymi do siebie zabytkowymi naczyniami z porcelany i nakryty damaszkowym obrusem (wszystko to są zdobycze z Emporii) na dokładnie tyle osób, wcale nie jest zaskoczona.

Victoria delikatnie wyciera usta i chwali lunch. Razem z Jeffem i Benem zamierzają zagrać w tenisa. Jeff proponuje Sydney, by się do nich przyłączyła, ale ona odmawia, tłumacząc, że jest marnym graczem, co mniej lub

bardziej odpowiada prawdzie. Po raz kolejny podstawowa arytmetyka sprawia jej kłopot.

-Ja zagram - zgłasza się pan Edwards, jak zawsze uczynny.

Talenty zostają zważone i ocenione. Ben z ojcem będą grać przeciwko Jeffowi i Vicki. Sydney wnioskuje z tego, że Ben jest najlepszym graczem z całej czwórki.

Sydney tylko raz dziennie zmywa naczynia. Jest to zasada, której nigdy nie łamie, nawet w tak trudnej sytuacji, jak pierwszy piątkowy wieczór jej pobytu, kiedy na doraźnie zorganizowane przyjęcie koktajlowe potrzeba było trzydziestu kieliszków i talerzy na zakąski, żeby nie wspomnieć o czterech pokrytych serem blachach, na których pan Edwards pośpiesznie piekł *crostini*. Po prostu wcześniej opróżniła i załadowała zmywarę, po czym wycofała się do swojego pokoju słuchać na WEE1 transmisji z meczu Soksów. Dzisiaj wykonuje taki sam manewr, wiedząc, że po wieczornym posiłku czeka ją wiele zajęć. Z przyjemnością pomaga, ale wszystko ma swoje granice.

Kiedy wchodzi do pokoju, natychmiast ogarnia ją przytłaczający żal za Danielem. Prosta czynność zamknięcia drzwi gwałtownie przywraca dotkliwą świadomość tego, co utraciła. Nadzieję na normalne życie. Bufor chroniący przed szybko zbliżającą się martwą godziną. Schronienie przed koniecznością tworzenia przyszłości na nowo, wkraczania w dziwnie obce wszechświaty nieznanymi. Sydney przyciska dłoń do brzucha, gdzie padł najsilniejszy cios.

Przypomina sobie, jak doskonale do siebie pasowali, jej jasna noga wsuwała się pomiędzy jego nogi, kiedy leżeli przytuleni po miłosnym akcie, jakby ich członki ukształ-

towane zostały specjalnie w tym celu. Jak Daniel zawsze na nią patrzył, przechodząc przez pokój. A kiedy wyczerpany wracał z dyżuru, szukał jej po całym domu, bo tylko ona umożliwiała mu powrót do normalnego życia.

Żał słabnie, pozostawiając po sobie pragnienie, by nie zostać samą. Sydney podchodzi do toaletki z lustrem. Miała dwa śluby, jeden w kościele, drugi w synagodze. Na pierwszym matka szlochała ze szczęścia, na drugim ojciec sprawiał wrażenie ucieszonego. To z pewnością dość dla każdej kobiety, myśli Sydney. Kolejny ślub byłby objawem zachłanności, sprawiałby nieco śmieszne wrażenie. Nie mogłaby włożyć białej sukni, spodziewać się prezentów ani urządzić wesela. Czy w takim razie wszystko skończone? Nic już jej nie czeka? A jeśli tak, co ze sobą pocznie? Zostanie lekarzem? Czy udałoby się jej zdać egzaminy na akademię medyczną? A może potrafiłaby się nauczyć latać?

Na stole w rogu salonu leży układanka. Julie pochyła się nad tysiącem kawałków. W głębi duszy Sydney nienawidzi układanek: sprowadzają frustrację, wywołujące ból głowy poczucie, że nie ma się nic lepszego do roboty, finalne rozczarowanie, że całość jednak nie jest obrazem Bonnarda czy Matisse'a, tylko cukierkowym krajobrazem w stylu Thomasa Kinkade'a.

Powraca ogłupiająca nuda na cementowych frontowych schodach w Troy, wyczerpana do cna atrakcyjność gry w klasy i w kulki oraz zabawa ze skakanką. Zapewniająca odmianę wyprawa do sklepu na rogu już się skończyła. Późne popołudnie, martwa godzina, Kelly, przyjaciółka Sydney, narzeka na upał, matka drzemie na piętrecie. Na miejskim basenie posadzki są oślizgłe, Kelly tam nie pójdzie. Pewnego popołudnia Sydney w poszuki-

waniu cienia zawędrowała na koniec ulicy. Tam skręciła w następną, potem kolejną i jeszcze jedną, aż znalazła się na opuszczonej, ogrodzonej łańcuchem działce. Jakiś chłopiec próbował jej sprzedać papierosy, a potem poprosił, żeby ściągnęła szorty. Tak po prostu. Da jej za to dolara - tyle kosztował rożek lodowy. Kuląc się, Sydney ruszyła w róg, gdzie była dziura, przez którą szczupła dziewczyna mogła się przemknąć, ale kiedy tam doszła, z przerażeniem zobaczyła, że plot naprawiono. Odwróciła się. Chłopiec stał ze spuszczoneymi spodniami i gorączkowo się dotykał. Sydney, czując, jak ogarnia ją panika, okrążyła go i pobiegła tak szybko, jakby od tego zależało jej życie, i dopiero po ślubie z Andrew była w stanie wypowiedzieć słowo „penis”,

- Szukam kawałków na brzegi - oznajmia Julie.
- Mogę usiąść przy tobie?
- Możesz mi pomóc.

Sydney zajmuje miejsce naprzeciwko dziewczyny i przygląda się pokrywie pudełka. Dom na skalach z widokiem na Atlantyk - podobieństwo do domu Edwardów wyjaśnia, czemu kupiono tę akurat układankę.

- Ja zrobię dom - proponuje Sydney. - Znajdę wszystkie białe fragmenty i dopasuję.

Czuje, że trudno jej zebrać myśli. Odkrywa, że musi podejmować zbyt wiele decyzji. To element domu czy mewy? Kawałek grzebienia fali czy chmury?

Podnosi wzrok i widzi, jak szybko Julie odnajduje fragmenty potrzebne do ułożenia krawędzi. Wydaje się, że w ciągu kilku minut poradziła sobie z czterema bokami. Teraz dopasowuje je do siebie.

Sydney z podziwem patrzy, jak zręczne palce dziewczyny budują krawędź.

- Julie, chcę, żebyś spróbowała czegoś innego.

Dziewczyna podnosi głowę, na jej twarzy maluje się głębokie skupienie.

- Zamienimy się miejscami i poszukasz wszystkich fragmentów domu.

Julie patrzy na nią. Nie rozumie.

- Najbardziej lubię układać krawędzie - kłamie Sydney.

- Och, oczywiście - odpowiada Julie z niejakim ociąganiem.

Przesiadają się i Sydney bez entuzjazmu próbuje zbudować krawędź. Ukradkiem obserwuje swoją uczennicę. Dzięki bystremu wzrokowi i zręcznym palcom Julie prawidłowo wyławia właściwe odcienie bieli i po krótkim czasie ma wszystkie fragmenty domu. Zaczyna nimi manewrować, a jeśli trafia na dwa, które pasują, łączy je ze sobą.

W swoim pokoju Sydney znajduje plik fotografii, które niedawno odebrała z drogerii w Portsmouth. Większość przedstawia plażę, wioskę, wnętrze domu. Sydney zabiera je do salonu i układa starannie na stoliku do kawy.

- Julie, chcę, żebyś zrobiła coś jeszcze - mówi do swojej podopiecznej. - Mogłabyś tu przyjść?

Dziewczyna odwraca się i wpatruje w Sydney, jakby powoli skupiała na niej wzrok.

- Oczywiście - mówi. Podchodzi do sofy i siada.

- Sama zrobiłam te zdjęcia - wyjaśnia Sydney. - Myślałam, żeby ułożyć z nich kolaż i oprawić. Wiesz, co to jest kolaż, prawda?

Julie potakuje.

- Wiesz, chciałabym, żebyś zrobiła z nich ładną kompozycję.

Cofa się, ustępując Julie miejsca przy stole. Dziewczyna, przyzwyczajona do wypełniania jej poleceń, przegląda stos zdjęć i zaczyna je porządkować. Widoki plaży. Fotografie domu, zagrody wodnej z homarami i sklepu spożywczego w osadzie. Następnie zabiera się do pracy. Sydney obserwuje ją z rosnącym podnieceniem.

Wybrawszy dziewięć zdjęć, część jest pionowa, a część horyzontalna, Julie układa każde kolejne w związku z poprzednim. Nie waha się i nie przekłada tych, które już położyła. Na koniec siada wygodnie, przygląda się uważnie całości, po czym zwiększa odległość między fotografiami o pół centymetra. Spłata dłonie na kolanach. Goto-we.

Sydney pochyla się, by obejrzeć kompozycję. Fotografia przedstawiająca dom w cieniu, najciemniejsza w całym zbiorze, znajduje się nieco na prawo i w dół od centrum, pełniąc funkcję jakby kotwicy. Pozostałe odnoszą się do tego zdjęcia kolorystyką, tonacją oraz rzeczywistą odległością od domu. Bardziej zaskakujący jest wybór akurat tych dziewięciu fotografii, czterech z jednej strony, pięciu z drugiej, przy czym owo dodatkowe zdjęcie z lewej równoważy ciężar centralnego mrocznego obrazu. Dziewczyna instynktownie wiedziała, że nie powinna wykorzystywać wszystkich fotografii. Ostateczny rezultat jest przyjemny dla oka. Bardziej niż przyjemny. Świadczy o wielkich umiejętnościach autorki. Julie, która nie potrafi pojąć matematyki na poziomie ósmej klasy szkoły podstawowej ani opanować podstawowych zasad interpunkcji, obdarzona jest talentem układania kompozycji graficznych.

- Masz dobre oko - chwali ją Sydney.

Dziewczyna jednak wydaje się zaniepokojona.

- O co chodzi? - pyta Sydney.

- Na twoich zdjęciach nie ma ludzi - zauważa jej podopieczna.

- Masz ochotę na spacer? - pyta Sydney po chwili.

Julie przygląda się jej jakby przez kliszę, którą Sydney w myślach nazywa mleczną.

- Dobrze - odpowiada, zawsze zgodna jak ktoś, dla kogo życie na ogół jest przyjemne.

- Pójdziemy na korty, popatrzymy, jak grają w tenisa.

- Sydney pochyla się i zbiera fotografie, żałując, że musi zniszczyć ułożoną przez Julie bez wysiłku kompozycję. - Powtórzmy to - mówi.

Rynek w sobotnie popołudnie wypełniony jest zapakowanymi po dach samochodami oraz dwiema grupami ludzi: pierwsi, zadumani, ociągają się z wyjazdem po dwutygodniowym pobycie, drudzy, pełni entuzjazmu, robią zakupy na długo oczekiwane wakacje. Julie i Sydney mijają zagrodę wodną i sklep, po czym ruszają zarośniętą drzewami aleją. Nawet najgorsza, pokryta azbestem chałupa i najbardziej zarośnięty chwastami trawnik wydają się miłą kryjówką przed obezwładniającym upałem.

Sydney słyszy stuk piłeczki, zanim jest w stanie dojrzeć graczy. Stuk i sapnięcie. Próbuje odgadnąć, kto je wydał. Mężczyzna czy kobieta? Stary czy młody?

Przed kortem Julie i Sydney przystają, o krok od ujawnienia swojej obecności, chociaż wcale tego nie uzgadniały. Sydney zaintrygowana jest zachowaniem Julie. Nie chce, by widziano, że jej zależy? Zadaje sobie inne pytanie. Czy jej własna motywacja jest taka sama?

Dostrzega różowy strój Vicki i buty, które wyglądają na nowe. Obok niej Jeff przymierza się do serwu; ma wielkie wilgotne plamy pod pachami, po skroniach płyną mu strumyczki potu. Uderza w piłeczkę i jest to zapalczy-

wy pokaz czystej siły. Piłka spada tuż za siatką, pozornie poza zasięgiem Bena, który mimo to zręcznie ją odbija. Sydney, mając za sobą lekcje tenisa z okresu wyteżonego wychowywania na WASP-a, potrafi ocenić stan meczu. Widzi, że Julie przyciska palce do ust.

- Co się stało? - pyta Sydney.

- Tatuś.

Ojciec Julie ma na sobie krótkie tenisowe spodenki, które przypuszczalnie kupił czterdzieści lat temu, jasnoszare od wielokrotnego prania i tak przetarte, że komicznie go obnażają. Widok jego białych nóg jest szokujący, pan Edwards wydaje się należeć do innej rasy niż pozostali gracze. Czasami chybia, ale ma zaskakująco dokładne serwy, co najwyraźniej sprawia mu wielką przyjemność, chociaż na komentarz Bena: „dobry serw”, odpowiada: „czysty przypadek”. Na serwy Bena Jeff odpowiada błyskawicznie, jego bekhend mający na celu unieszkodliwienie starannie kierowanych piłek jest tak szybki, że oko ledwo go rejestruje.

- Julie - mówi Jeff, zauważając siostrę. Trzyma się pod boki i ciężko dyszy.

- Cześć - mówi Julie i robi krok do przodu.

- Chcesz zagrać? - pyta Ben.

Julie unosi ramię do policzka.

- Wybrałyśmy się na spacer - wyjaśnia Sydney, która także wychodzi z cienia. - Kto wygrywa?

- My - odpowiada pośpiesznie Jeff, zdradzając spore zaangażowanie w mecz.

- Świetnie - komentuje Sydney, choć jest zdezorientowana. Nie przychodzi jej do głowy żaden powód, dla którego miałyby kibicować Benowi przeciwko Jeffowi, aczkolwiek czułaby wielką satysfakcję, gdyby pan Edwards wrócił do domu jako zwycięzca. - Popatrzmy

sobie przez minutkę - dodaje. - Nie zwracajcie na nas uwagi.

Ale gracze zwracają uwagę na Julie i Sydney, a przynajmniej pamiętają o ich obecności. Sydney rejestruje skrzępowanie, którego wcześniej nie było: przesadny jęk rozczarowania, kiedy Victoria nie trafia w piłkę; dramatycznie uniesiona do bekhendu ręka Bena; nienaturalna obojętność, z jaką Jeff odchodzi po spektakularnym smeczku. Przez moment Sydney pragnie być z nimi na korcie, grać w parze z Jeffem, zatracić się w rywalizacji, swobodnym śmiechu, strumieniach potu.

- Grasz, Julie?
- Brałam lekcje.
- Może później zagramy?

Obie jednak wiedzą, że grając później, miałyby wrażenie sztuczności. Jedyna licząca się gra to ta, która toczy się teraz.

- Masz już dość? - pyta Sydney po chwili.
- Chyba tak.
- Chcesz iść na skały?
- Dobrze.

Odwracają się plecami do kortu i Sydney widzi dwóch chłopców, siedemnasto, osiemnastoletnich, którzy się ku nim zbliżają. Pograżeni w rozmowie, niosą przewieszane przez ramię torby z kijami golfowymi. Wyższy podnosi wzrok.

- Julie - mówi z niejakim zdziwieniem.
- Joe - odpowiada Julie, pochylając głowę, i zaplata ręce na piersi.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - oznajmia Joe i poprawia torbę. Ubrany jest w białą koszulkę polo i spodnie khaki. Ma gęste brązowe włosy, które zapraszają, by wsunąć w nie palce. - Znasz Nicka, prawda?

- Tak mi się wydaje - potwierdza Julie. - A to Sydney
- dodaje, przypominając sobie o dobrych manierach.

- Witam. - Sydney kiwa głową do chłopców.

Następuje chwila niezręcznego milczenia.

- No tak - odzywa się wreszcie Joe. - Może spotkamy się kiedyś?

- Może - powtarza Julie, której najwyraźniej brakuje słów.

Za drzew dobiega okrzyk Jeffa.

- Więc... - Joe widocznie nie ma ochoty się pożegnać.

- Powodzenia na golfie! - żegna ich Sydney z pewną stanowczością w głosie.

Machając dłońmi, chłopcy ruszają w swoją drogę. Sydney nie musi się oglądać, by wiedzieć, że Joe, ten ze ślicznymi brązowymi włosami, przystanął, by popatrzeć na Julie. Po minucie pozwala, by dziewczyna ją wyprzedziła. Sydney spogląda na Julie oczami osiemnastoletniego chłopca.

Ponętna, takie słowo przychodzi jej na myśl. Dojrzała do zerwania.

Na skałach Sydney idzie pierwsza, chociaż stawia stopy mniej pewnie niż Julie, która raczej się boi, niż jest niezręczna.

- Usiądźmy tutaj - proponuje Sydney, wskazując płaski głaz tak odległy od brzegu, by dać im poczucie, że coś osiągnęły, aczkolwiek nie tak bardzo, by zmoczyła je mgiełka rozpryskujących się fal.

Dziewczyna waha się, więc Sydney bierze ją za rękę. Razem ostrożnie kroczą po nierównych powierzchniach granitowych głazów, czasami ślizgając się na wodorostach.

- Już - mówi Sydney, kiedy wygodnie się usadowiły.

Niebo jest jasnobłękitne, pędzą po nim pierzaste białe obłoki. Fale majestatycznie i rytmicznie uderzają o naj-

bardziej odsłonięte głązy. Po lewej stronie wznosi się nieczynna latarnia morska, czerwony dach na domku latarnika obłany jaskrawym światłem wygląda pięknie. Sydney nie potrafi sobie wyobrazić takiego samotnego życia, konieczności wykonywania raz po raz tego samego, obciążonego ponurą odpowiedzialnością zajęcia. Odosobnienie doprowadziłoby ją do szaleństwa.

Przy brzegu poławiacz homarów, spóźniony z opróżnianiem sieci, trałuje blisko skał, które stają się bardziej widoczne podczas odpływu. Sydney wypełnia płuca powietrzem nasyconym zapachem morza. Niedaleko nich niedzielny malarz rozstawił sztalugi. Kolaż nasunął Sydney pomysł zajęcia dla Julie, które planuje na poniedziałek.

- Dlaczego tak bardzo boisz się wody? - pyta dziewczynę.

- Raz o mało nie utonąłam.

Sydney wie o tym, ale chce poznać szczegóły.

- Jak to się stało?

Na twarzy Julie maluje się wahanie.

- Nie chciałabym przywoływać ponurych wspomnień - dodaje Sydney.

- Nie, wszystko w porządku. - Dziewczyna oddech głęboko, zbierając się na odwagę. - Kiedyś po silnym sztormie tatuś łowił ryby z plaży. Fale były wielkie. - Julie, która ma zwyczaj gestykulować przy mówieniu, teraz pokazuje wysokość fal. - Moja kuzynka Samantha miała deskę, ale ją zostawiła, bo się bała fal. Pomyślałam, że mogłabym z niej skorzystać.

- Ile miałaś lat?

- Siedem. Samantha chyba dziewięć. Przez minutę unosiłam się na wodzie, a potem poczułam, że prąd mnie wciąga. - Sydney widzi, jak dziewczyna sztywnieje. -

Próbowałam płynąć do brzegu, ale nie mogłam. Krzyknęłam do tatusia. Zobaczył mnie, rzucił wędkę i skoczył do wody. Kiedy dopłynął do deski, kazał mi się jej mocno trzymać. Ale wtedy zrozumiał, że nie da rady wrócić na brzeg, bo nurt jest zbyt silny, więc zaczął wołać do Samantha, która skakała po plaży i krzyczała, żeby sprowadziła ratownika.

Sydney obejmuje dziewczynę.

- Musiałaś być bardzo przerażona - mówi.

- O tak. Po chwili przypłynął ratownik na desce surfingowej. Posadził mnie na niej, a tatusiowi kazał się trzymać liny z tyłu i doholował nas do brzegu.

- Przykro mi, że to ci się przydarzyło.

Julie milczy.

- Mówią, że kiedy jest prąd odpływowy, należy płynąć równoległe do brzegu, bo dzięki temu można go przełamać.

- To nieważne - oświadcza Julie. - I tak nigdy więcej nie wejść do wody.

- Jak wrócimy do domu - proponuje Sydney - przebierzemy się w kostiumy i wejdziemy do wody po kostki. Tylko po kostki.

Julie, która obejmuje się za kolana, kręci głową.

- Nie wiem - odpowiada.

- Tak zrobimy - nalega Sydney. Wie, że jest natrętna, ale ma plan. - Tylko po kostki, chyba że będziesz chciała wejść po kolana. Pozwolę ci na to, ale dalej nie.

- Nie wydaje mi się, żebym chciała. Bez obrazy.

- Bez obrazy - powtarza Sydney.

Wiatr cichnie, tafla oceanu jest spokojna. Kostium Sydney wciąż jest wilgotny, całą noc leżał na dnie szafy. Wczoraj wieczorem zrzuciła go pośpiesznie, a teraz zału-

je, że nie pomyślała o praniu. Wydaje jej się, że cuchnie podstępem. Oszustwem.

Sydney kilka razy widziała Julie w jasnoniebieskim bikini na molo. Kostium, choć skąpy, wydawał się tam właściwym i kompletnym strojem, naga skóra Julie połyskiwała od kremu z niskim filtrem. Teraz, na brzegu wody, kostium kąpielowy jest tylko żalosną zbroją przeciwko Atlantykowi.

- Tylko do kostek - zapewnia Sydney.

Julie instynktownie chwyta ją za rękę. Sydney czuje szarpnięcie i ciężar dziewczyny, która w płytkiej wodzie dostosowuje się do prądu. Przerażona, sprawia wrażenie niezgrabnej, choć Sydney podejrzewa, że jest urodzoną sportsmenką - świadczy o tym wielkość stopy w relacji do długości nogi, siła ramion.

- Lodowata - mówi Julie.

- Przyzwyczaisz się.

W falach, które dzisiaj nabrały zielonkawego odcienia, pływają wodorosty i czasami ocierają się o nogi. Sydney wie, że gdzieś tam dalej są także bassy morskie, ławice tasergali, młode foki, a nawet łagodne rekiny, uznaje jednak, że nie trzeba wspominać o tym dziewczynie.

Dwaj młodzi chłopcy pływają na desce wzdłuż brzegu. Wskakują na płaskie deski na skraju wody i płyną, niekiedy na zaskakujące odległości. Z osobistych doświadczeń i wspomnień o bolesnym siniaku Sydney wie, że nie jest to takie łatwe, jak się wydaje.

- Chcesz wejść po kolana? - pyta.

Spodziewa się odmowy, ale Julie w przypływie brawury puszcza jej dłoń i idzie sama. Po paru krokach wodę ma po kolana. Zbliży się fala i zalewa dziewczynę po uda. Sydney obserwuje, jak Julie sztywnieje, po czym wraz z odpływem cała się rozluźnia.

- Jak się czujesz? - pyta, stając obok dziewczyny.

- Dobrze!!! - krzyczy Julie, jakby Sydney znajdowała się trzydzieści metrów od niej. - Wszystko OK!
- To świetnie!
- Wejdziemy głębiej? - pyta nastolatka.
- Nie, tyle wystarczy.

Julie i Sydney stoją w wodzie, wpatrując się w ocean. Julie raz zanurza się w falach i wyskakuje jak z procy, woda pryska z niej jak ze zraszacza. Nad ich głowami przeleci dość nisko lekki samolot, mimo to Sydney nie potrafi dostrzec pilota. Nie tak dawno powiedziałyby do siebie „ale numer”, te czasy jednak minęły. Na moment wraca wspomnienie lotnika. Widok każdej maszyny latającej, małej czy wielkiej, przychodzi jej na myśl Andrew. (Poznała go na bostońskim maratonie, do udziału w którym zgłosiła się pod wpływem impulsu. Przystanęła w miejscu, gdzie Andrew zboczył z trasy i pochyłony, z trudem łapał oddech. Kiedy podsunęła mu butelkę wody, odegrał na jej oczach scenę powrotu do życia, jakby nagle jego najważniejszym celem stało się zrobienie na niej wrażenia). Sydney podejrzewa, że tak już będzie do końca jej życia. Zastanawia się, co może wywoływać u Andrew wspomnienia o niej. Podręcznik psychologii? Włosa, których koloru nie da się opisać?

Nogi ma tak odrętwiałe, że nie czuje stóp.

- I co o tym myślisz? - zwraca się do Julie, która całą uwagę skupiła na młodej kobiecie pływającej na falach sto pięćdziesiąt metrów od nich.
- Ona jest dobra - odpowiada Julie.
- Nie, pytam, czy już wracamy.
- Och, jasne - mówi Julie. Patrzy, jak kobieta skacze na falę. Przykłada zwinięte w trąbkę dłonie do usta i krzyczy: - Bardzo dobra!!!

Kiedy odwracają się w stronę brzegu, który przez ten czas wyszedł im naprzeciw, Sydney widzi, że na linii wody stoi Jeff, wciąż ubrany w strój tenisowy. Macha do nich pustą butelką Poland Spring.

Sydney z niepokojem myśli o swoim mokrym i obcisłym jednoczęściowym kostiumie, przez który w jaskrawym słońcu więcej widać niż w nocy. Julie biegnie, żeby przekazać bratu dobrą nowinę: dręczący ją od dawna strach został przezwyciężony. No, prawie przezwyciężony. Sydney patrzy, jak Jeff przytula siostrę, pozwalając, by zmoczyła mu koszulkę.

- Kto wygrał? - pyta, wychodząc z wody.

- Oni - odpowiada Jeff. - Ben jest niesamowity.

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście.

Włosy Jeffa są teraz ciemniejsze, pot przykleił je do czaszki.

- Vicki przebiera się w kostium. Wybieramy się popływać. Jaka jest woda?

- Lodowata - mówi Sydney, odsuwając kosmyk z czoła.

- Brzmi dobrze.

- Przyniosę ręczniki - proponuje Julie i biegnie w stronę domu. Obserwując ją, Sydney dochodzi do wniosku: Dziecko w ciele kobiety.

- To, co zrobiłaś, było wspaniałe - mówi Jeff. - Od lat nikomu nie udało się jej namówić, żeby zbliżyła się do wody.

Pewnie nie próbowaliście zbyt mocno, myśli Sydney.

- Gdzie wtedy byłeś? - pyta na głos. - Tego dnia, kiedy to się stało?

- To było straszne. - Jeff przerzuca pustą plastikową butelkę pomiędzy wskazującym i wielkim palcem prawej dłoni. - Julie mówiła ci, co powiedziała ojcu?

- Nie.

- Kiedy do niej dopłynął, trzymała się deski. Spojrzała mu prosto w oczy i zapytała z zadziwiającym spokojem: „Umrzemy, prawda?”.

- Twój ojciec był przerażony?

- Tak, myślę, że tak. Był pewien, że zdołałby wrócić do brzegu, ale bał się, że Julie puści deskę i utonie.

-Niewiarygodne.

- Pamiętam, że kiedy oboje wrócili do domu, który wtedy wynajmowaliśmy, Julie weszła na ganek i położyła się na brzuchu na podłodze. Nikt nie potrafił wydobyć z niej słowa. Nie sądzę, żeby aż do dzisiaj kiedykolwiek o tym mówiła.

- Siedmiolatka przekonana, że umrze... - zaczyna Sydney.

Ale Jeff patrzy gdzie indziej. Sydney podąża za jego wzrokiem. Victoria - uczesana, w bikini, z czołem przeciętym słabą zmarszczką - przygląda się im, stojąc na molo.

Piją drinki na ganku. Zachodzące słońce nadało wodzie fioletoworóżową barwę. Świeca na środku tekowego stołu migocze w powiewach wiatru. Prawie na pewno zgaśnie, myśli Sydney.

Ona i pan Edwards wybrali lekkie piwo. Pani Edwards zawsze pije czerwone wino; sprawia wrażenie, że ma sporą wiedzę z tej dziedziny. Szklanka Jeffa zawiera coś mocniejszego, zapewne dżin z tonikiem, Victoria natomiast trzyma w palcach wysmukłą nóżkę kieliszka do szampana. Sydney mogła przewidzieć, że to będzie szampan.

Julie pije colę, Ferris, zdrowiejący alkoholik, czystą wodę, a Marissa, która jest z nim, pellegrino.

Znad brzegu wędruje mocny zapach morza. Odpływ odsłonił cudowny pas plaży. Właścicielom nadbrzeżnych domów musi się wydawać, że podczas odpływu mają więcej ziemi niż podczas przyptywu, myśli Sydney.

Dostrzega, że Julie jest ubrana staranniej niż zwykle: ma na sobie długie obcisłe dżinsy, bluzkę z jasnoniebieskiego jedwabiu, która faluje na jej piersiach, i kusy sweter. Julie i Victoria, obie piękne, stanowią dwa punkty przyciągania na ganku i wprost nie można oderwać od nich wzroku. To budzi widoczną irytację rudowłosej,

szczuplej i wysportowanej Marissy, bo dzisiaj wieczorem nie zwracają jej się inwestycje włożone w wygląd. Marissa krzyżuje i prostuje blade nogi, a później ściąga miniaturowy sweterek, odsłaniając gołe ramiona. Ben spogląda na nią, lecz jego oczy ciągle dryfują w stronę Victorii, potem zaś ze skrępowaniem zerka na Sydney, ubraną nieodpowiednio na tę okazję, w białą bluzkę bez rękawów i granatowe szorty. Unikanie kontaktu wzrokowego z Benem okazuje się trudniejsze, niż mogłaby przypuszczać, chociaż przysiadła obok niego na schodach, jako że w ten widowiskowo piękny sierpniowy wieczór nie wystarczyło krzeseł dla trzynastorga uczestników przyjęcia.

Siedząca blisko niej para, która przedstawiała się jako Claire i Will, zadaje łatwe do przewidzenia pytania. Gdzie mieszka? Czy przez cały rok udziela korepetycji? Co studiowała? Sydney stara się odpowiadać wyczerpująco, ale w jej historii są luki - lata, o których nie chce teraz wspominać - przez co rozmówcy stopniowo tracą zainteresowanie rozmową. Will wstaje i proponuje, że napełni jej szklanekę. Kiedy Sydney odmawia, Claire przeprasza i przyłącza się do grupki, w skład której wchodzi pan Edwards, Jeff i Art. Sydney wychwytuje słowa „rano” i „szukanie ryb”.

Jest nieco zdezorientowana brakiem kontaktu fizycznego pomiędzy Jeffem a Victorią. Znają się od tak dawna, że nie odczuwają już potrzeby bliskiego kontaktu w obecności innych? Albo Jeff czuje się skrępowany towarzystwem rodziców i ich przyjaciół, rys charakteru, który Victorii - Vicki - może się wydać mało pociągający? Z całą pewnością nie wyglądają jak para zamierzająca lada chwila ogłosić swoje zaręczyny. Pani Edwards, ubrana niestosownie, jeśli wziąć pod uwagę jej pięćdziesięciodziewięcioletnie przedramiona, w szyfonową bluzkę bar-

wy fuksji i czarne błyszczące spodnie, musi się czuć rozczarowana.

Ogarnięta złymi przeczuciami Sydney patrzy, jak Ben wstaje i obchodzi stół z butelką czerwonego wina w jednej i butelką białego wina w drugiej ręce.

- Ty pijesz piwo - oświadcza, zatrzymując się przed nią.

- Tak - mówi Sydney, podobnie jak Ben potwierdzając oczywistość.

- Masz ochotę na następne?

Chętnie by się napiła, ale nie chce nic zawdzięczać Benowi, nawet jeśli miałyby to być coś równie niewinnego jak szklanka piwa.

- Nie, dziękuję - odpowiada.

Ben stawia butelki na tekowym stole i siada naprzeciwko niej na schodach. Opiera się o balustradę. Inaczej niż jeszcze przed chwilą, Sydney staje się świadoma swoich gołych nóg.

Świadoma jest także tego, że Ben uważnie jej się przygląda, i ma mu to za złe. Ben ma modny zarost na policzkach i brodzie; Sydney przypuszcza, że to po prostu rezultat dwóch dni bez żyletki. W pracy na pewno zawsze jest starannie ogolony.

- Założę się, że ostro grasz w tenisa - mówi Ben, mierząc ją wzrokiem.

- Nie tak ostro jak ty - replikuje Sydney, wpatrując się w piwo.

- Słyszałem, że skłoniłaś Julie do wejścia do wody.

- Myślę, że sama się skłoniła.

- Jesteś za skromna.

- Właściwie nie - mówi Sydney i upija łyk piwa.

- To musi być trudne brać udział w przyjęciu, na którym nikogo nie znasz.

- Znam Julie. Znam twojego ojca. - Sydney natychmiast żałuje swojego obronnego tonu.

- I to wystarczy?

- Na razie.

- Jeszcze dwa tygodnie udręki, a potem wolność - uważa Ben.

Sydney zastanawia się, jak zniesie tego mężczyznę w czasie jego urlopu.

- A ty nie masz dziewczyny? - pyta.

- Nie - odpowiada Ben, jakby dokładnie rozumiał niepokój Sydney. - Już nie.

Sydney jest przekonana, że gdyby Bena i Jeffa ustawiono obok siebie, siedem na dziesięć kobiet wolałoby Bena od jego brata. Ma bardziej stanowczą twarz, z całą pewnością silniejsze ciało, ciemne oczy i długie rzęsy. Pewność siebie bliska arogancji, ale nieprzekraczająca granicy. Ben wygląda, jak gdyby miał też jakąś tajemnicę, z jego rysów nic nie można wyczytać, a to wiele kobiet uważa za intrygujące.

- Grasz w golfa? - pyta.

- Nie.

- Więc co robisz w wolne dni?

Czy intencją tego pytania jest przypomnienie Sydney, iż jest wynajętą korepetytorką?

- Zależy od pogody - odpowiada.

- Jutro będzie taka sama - przewiduje Ben, wskazując ręką niebo, Atlantyk, a może też cały kosmos.

- Czytam - mówi Sydney. - Spaceruję.

- Moglibyśmy wszyscy wybrać się jutro do Portsmouth - rzuca Ben swobodnie.

- Brzmi nieźle - przyznaje Sydney, chociaż trudno jej wyobrazić sobie, co też może się dziać w Portsmouth w niedzielę.

- Chcesz pojechać z nami?
- Dzięki, ale w poniedziałek i tak muszę tam jechać.

Nie ma sensu jeździć dwa razy pod rząd.

Ben uśmiecha się do niej. Sydney przypomina sobie, jak ojciec przed laty mawiał: „Zawsze znajdzie się ktoś, kto cię przejrzy na wylot”. Wstaje.

- Dokąd idziesz? - pyta Ben.
- Po następne piwo - odpowiada, pragnąc jak najszybciej od niego odejść.

W kuchni przyciska głowę do stalowych drzwi zamrażarki.

- Dobrze się czujesz?

Pytanie nie brzmi wyłącznie współczująco, pobrzmiewa w nim sugestia, że to nie jest właściwy moment na niedyspozycję. Pani Edwards stawia puste talerze na granitowym blacie.

- Tak. - Sydney odwraca ku niej twarz.
- Mogłabyś mi pomóc?
- Z wielką przyjemnością.

Sydney wskazano miejsce przy tej części owalnego stołu, którą można określić jedynie jako nieistniejącą. Ma krzesło, które ją więzi niczym pułapka, i dość miejsca na talerz, ale za mało na sztucce, ułożono je więc obok szklanki na wodę. Je z rękami przyciśniętymi do boków, żeby nie szturchać pani Edwards z prawej strony i Ferrisa z lewej. Równie dobrze mógłby to być stół dla dzieci, myśli, i zadaje sobie pytanie, czy to możliwe, że nie przewidziano jej udziału w kolacji. Zaraz jednak dochodzi do wniosku, że pan Edwards nigdy by się na to nie zgodził.

- Waszyngton i Teheran łączą bardzo ważne wspólne interesy - mówi Jeff - ale z powodów historycznych

i ideologicznych żadna strona nie chce, by widziano ją w dobrej komitywie z drugą.

- Bush nie robił sekretu ze swojego planu pomocy w uwolnieniu Irakijczyków od Saddama - odzywa się Art.

- Ta sprawa znajdowała się na liście priorytetów zmarłego ajatollaha Chomeiniego - zauważa Jeff.

Państwo Edwardsowie i tym razem siedzą na końcach stołu. Claire i Will, pokoleniowo odosobnieni (nie są tak starzy jak gospodarze, ale też nie tak młodzi jak Ben), prezentują wspólny front, zdołali nawet zsunąć krzesła, psując plan rozmieszczenia biesiadników, który od razu trzeba było zarzucić. Marissa, zapomniawszy o urojonej urazie, wydaje się zahipnotyzowana opowieściami Wendy o świecie nowojorskich magazynów. Sydney jest świadkiem szybkiego nawiązywania przyjaźni, aczkolwiek na razie trudno stwierdzić, co poza wytężoną uwagą Marissa ma do zaferowania Wendy. Mąż Marissy, Ferris, przyjął pozę wystudiowanej powściągliwości trzeźwiejącego alkoholika otoczonego przez alkohol. Victoria mówi głośniej niż trzeba i ma problem z artykulacją słowa „decyzja”. Koło niej stoi niemal pusta butelka szampana, którego tylko ona piła. Edwards, jak zawsze gościnny, pilnuje, by kieliszki nie były puste. Sydney jest zafascynowana tym, jak alkohol rozmywa rysy twarzy i sposób mówienia. Usta Victorii znacznie się rozluźniły, białka jej oczu poróżwiały. Nawet skórę pod oczami ma lekko obwisłą. Z powodu subtelnej, acz jakimś sposobem niszczącej przemiany Victorii nie można dłużej nazywać najpiękniejszą kobietą przy stole.

- Słyszeliście o Princeton i Yale - odzywa się Ben.

- Ścisłej rzecz biorąc, o princetońskim skandalu - koryguje Jeff.

- Nie, a co? - pyta Art.

- Princeton złapano na włamaniu do plików z danymi studentów Yale - informuje Ben z wyraźną uciechą.

Pewnie nie zdał do Princeton, myśli Sydney.

- Twierdzili, że nie korzystali z tych informacji - mówi Edwards.

- Tato, włamali się do komputera Yale czternaście razy w ciągu trzech lat.

- Polecą głowy - przewiduje Art.

Kolację trudno uznać za całkowity sukces. Jagnięcina jest niedopieczona. Wendy i Art sprzeczą się przy stole. Wendy jest zirytowana, bo ciągłe pytania Arta odrywają ją od rozmowy z Marissą. „Kiedy jest pokaz, na który idziemy?”. „Przecież ci mówiłam, dwudziestego”. „Kochanie?”. „Co?!”. Ben milczy, Jeff rzuca zaniepokojone Spojrzenia na Victorię. Pani Edwards, skupiając całą uwagę na deserze, nie pyta Julie, dokąd się wybiera ani kiedy zamierza wrócić, gdy dziewczyna wstaje i pośpiesznie się żegna - ten brak rodzicielskiej uwagi wyprowadza Sydney z równowagi. Nie może nic zrobić, musi się powstrzymać od skoczenia na równe nogi i podążenia za Julie do kuchni. A powinna skoczyć, ponieważ Julie jest już na zewnątrz. Dziewczyna nie prowadzi auta. Idzie na spacer? A może zgodnie z wcześniejszą umową na chodniku czeka na nią samochód? I kiedy dokładnie się umówiła? Po zwycięskim pokonaniu strachu przed wodą? Przez telefon? Inicjatywa wyszła ze strony chłopaka ze ślicznymi brązowymi włosami czy od samej dziewczyny?

Sydney czuje odpowiedzialność rodzica. Edwards, siedzący na drugim końcu stołu, zdaje się nie zauważać odejścia córki.

Jedenasta, postanawia Sydney. Zacznie się martwić dopiero o jedenastą.

- Zamknęli Acełę - oznajmia Ferris. To jeden z jego

nielicznych wkładów w rozmowę przy kolacji. Przypuszczalnie oszczędzał tę informację przez cały wieczór.

- Żartujesz - mówi Art.

- Powodem są pęknięcia w amortyzatorach.

Sprawa ma wszelkie cechy poważnego kryzysu. Jak Art i Wendy wrócą do domu? Nawet Sydney wie, że w poniedziałek rano zamierzali pojechać autobusem do Bostonu, a tam wsiąść w Acełę, szybkobieżny pociąg na Manhattan. Pani Edwards sprawia wrażenie przygnębionej.

W kuchni wznoszą się monstrualne stosy brudnych naczyń. Jeff przychodzi, żeby pomóc, i nikt go nie wypędza.

- Tato, ja się tym zajmę - oświadcza, kładąc dłoń na ramieniu ojca. Edwards wygląda na wyczerpanego, jak żagiel, który się załamuje z braku wiatru.

Jeff podwija rękawy niebieskiej koszuli. Przez moment Sydney przygląda się jego nadgarstkom.

Naczynia są upstrzone różowymi kulkami tłuszczu przypominającymi Sydney o zarastających arteriach pani Edwards. Talerze po cieście ujawniają zróżnicowane apetyty na deser, o którym Sydney wie, że jest oszustwem. Ciasto zostało zrobione przy użyciu sosu Miracle Whip, budyniu waniliowego w proszku i soku pomarańczowego, który ma nadać mu wygląd i smak domowych wypieków. Sydney widziała przepis w książce kucharskiej pani Edwards; lista ingrediencji wprawiała w zdumienie: cytrynowa galaretka, pokrojone snickersy, skondensowana zupa pomidorowa. Po zjedzeniu czterech kęsów Sydney uznała, że ani Miracle Whip, ani budyń w proszku nie zdołały z powodzeniem zamaskować kupnego chemicznego posmaku.

Sydney czuje niewiarygodną odrazę do śladów pozostawionych przez gości. Czy ten brudny widelec miał w ustach Will? Czy to szminka Victorii? Jeff pracuje tak, jakby sporo czasu spędził w restauracyjnej kuchni. Swymi zdolnościami organizacyjnymi konkuruje z talentami Sydney, a może jest wstawiona i dlatego tak to odbiera. Tuziny kieliszków poznaczone są odciskami ust i palców, marzenie techników policyjnych, gdyby tylko popełniono tu zbrodnię.

- Gdzie Vicki? - pyta Sydney.

- Na górze. Położyła się.

- Dobrze się czuje?

- Jak pracować, to ciężko, jak się bawić, to do upadłego.

- Dobry plan - mówi Sydney, lekko zażenowana zwróceniem uwagi na stan Victorii. Wspomnieniem jej imienia.

- Nie lubisz jej, prawda? - zauważa Jeff.

Sydney jest poruszona bezpośredniością tego pytania. A także jego trafnością.

- Ależ lubię - protestuje.

Jednakże owo „lubię” wszystko psuje, sugeruje brak nie do naprawienia.

Przestrzeń pomiędzy zlewem a blatem na środku kuchni jest ciasna, wymaga choreografii gwarantującej, że Sydney żadną częścią ciała nie dotknie Jeffa. Sydney nie odczuwa konieczności żadnych manewrów, kiedy zmywa naczynia z panem Edwardsem.

Po kolacji Claire i Willie zostają na dole przez niezwykle długi czas, co jest zagadką, zważywszy, że zwykle sprawiają wrażenie, iż pragną wyłącznie swojego towarzystwa. Żeby zrobić co?, zastanawia się Sydney. Rozma-

wiać? Odpoczywać? Uprawiać seks? Oglądać „Sports-Center”? Jest zaskoczona, że mają tak mało do powiedzenia innym, a ich udział w rozmowie ogranicza się do absolutnego minimum.

- W tym roku zamknięto bar.
- Wiem.
- Pływasz kajakiem?
- Nie, a ty?

Ben, Jeff i Sydney siedzą na ganku z Edwardsami; oboje małżonkowie są wyczerpani, pragną się położyć. Pani Edwards rzuca subtelne aluzje w oceaniczne powietrze.

- Mark, musisz wstać wcześniej, żeby kupić gazety. W niedzielę szybko się rozchodzą.

Wkład Sydney w rozmowę jest zerowy, jej myśli zajęła Julie. Tylko Jeff zdaje się podzielać jej niepokój, od czasu do czasu zerkając na zegarek. Nachyla się ku niej i pyta:

- Julie mówiła ci, dokąd idzie?
- Nie - odpowiada Sydney.

Za dwadzieścia jedenasta Claire kładzie dłoń na kolanie Willa; znak, który obecni interpretują jako sygnał dany przez żonę mężowi, że czas iść do łóżka. Wszyscy wstają, pan Edwards wygłasza serdeczne pożegnanie:

się cieszę, że mogliście przyjechać". Obie strony obiecują sobie przejażdżki łodzią, nie ustalając jednak terminu, co stanowi gwarancję, że wyimaginowane wyprawy się nie odbędą.

- Zaproszenie ich nie było moim pomysłem - mówi w kuchni pani Edwards. Zdejmuje z uszu klipsy i kładzie je z trzaskiem na granitowym blacie.

- Sprawiał wrażenie miłego gościa - odpowiada jej

mąż, przygotowując szklanę z wodą, którą zabierze do sypialni.

- Miłego gdzie? Na polu golfowym?
- Sporo wiedział o starych mapach.

Pani Edwards odpina spinę w kształcie banana. Sydney zauważa, że ani jeden włos nie spada jej na plecy.

Pan Edwards, który wraz z żoną rusza schodami na górę, mocno opiera się o balustradę. Zgodnie z milczącym porozumieniem reszta naczyń - kieliszki po drinkach wypitych po kolacji, filiżanki z ciemnymi obwódkami po kawie - zostanie do rana, kiedy osoba, która pierwsza wstanie, opróżni zmywarę. Sydney podchodzi do kuchennego okna i wygląda.

- Martwisz się o Julie - mówi za jej plecami Jeff.
- Sydney odwraca się, przyglądając włosy za uszami.
- Tak. Która godzina?
- Za dziesięć jedenasta. - Jeff odpowiada szybko, jak człowiek, który przed chwilą spojrzał na zegarek.
- Bardzo żałuję, że nie zapytałam, dokąd idzie.
- Masz ochotę wybrać się ze mną na przejażdżkę? - pyta Jeff. W jego oczach i na czole maluje się napięcie.
- Jasne - odpowiada Sydney z ulgą. - Lepsze to niż czekanie tutaj.
- Powiem tylko Benowi, że jedziemy. Zadzwoni do nas, gdyby Julie wróciła.

Mgiełka pojawiająca się w pogodne wieczory, tak delikatna, że ledwo dostrzegalna, otula jej twarz. W oddali lecą w niebo fajerwerki. Są zawsze i wszędzie, myśli Sydney, każda miejscowość uznaje za punkt honoru urządzenie takich pokazów. Czasami z okna swojej sypialni na piętrze na całej linii horyzontu Sydney widzi małe eksplozje przypominające ostrzał artyleryjski.

Landrower podskakuje na wybojach drogi prowadzącej wzdłuż plaży. Lampy uliczne z niewielkim skutkiem rozpraszają mrok, rzucając tylko małe stożki światła. Domy pogrążone są w mroku, tylko w nielicznych oknach wciąż jest jasno. Sydney odwraca się ku prowadzącemu auto Jeffowi.

- Dokąd jedziemy? - pyta.

- Znam parę miejsc. - W jego odpowiedzi pobrzmiwa aluzja do ukradkowego seksu i popijaw z czasów młodości. Sydney dochodzi do wniosku, że musiało to być cudowne dojrzewanie.

Jeff parkuje na końcu alejki podobnej do tej, przy której znajduje się kort tenisowy. Prowadzi Sydney na małą plażę; o jej istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Ogarnia ją wrażenie, że wkraczają na czyjś prywatny teren. Z dala od morskiej bryzy komary atakują wściekle. Jeff cicho woła siostrę po imieniu, jakby nie chciał niepokoić kochanków, którzy mogą teraz gdzieś tutaj być. Nie otrzymuje odpowiedzi. Plaża ma tylko około piętnastu metrów szerokości i kiedy wzrok Sydney przyzwyczaja się do mroku, okazuje się, że nie widać na niej nic poza kępkami suchych wodorostów.

Samochód jedzie wolno kolejną cichą alejką. Sydney słyszy szum wentylatora dolatujący przez otwarte okno. Jeff, trzymając obie ręce na kierownicy, siedzi lekko pochylony do przodu. Sydney skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Niewiele się tu dzieje - mówi. - Czego szukamy?

- Imprezy - odpowiada Jeff z napięciem w głosie.

Wydaje się, że jej lekki niepokój przekształcił się u Jeffa w panikę, jak gdyby wirus przeskakujący na nowego żywiciela zmienił się w silniejszą, bardziej niebezpieczną odmianę.

Sydney zagląda w oświetlone okna domów w nadziei, że dostrzeże Julie. Ciekawi ją także, jak ludzie spędzają wakacje na wybrzeżu New Hampshire. Brak migoczących ekranów telewizyjnych podnosi ją na duchu, podobnie jak zaskakująca liczba okrągłych stolików do gry w karty.

- Na pewno nie wspomniała o żadnych planach? - pyta Jeff.

- Po południu spotkałyśmy dwóch chłopców, Joego i Nicka. Szli na pole golfowe i przystanęli, żeby przywitać się z Julie. Jeden z nich, Joe, wydawał się nią zainteresowany i zaproponował, żeby kiedyś gdzieś się razem wybrali.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

Sydney czuje ukłucie urazy z powodu tej nagany.

- Czy ich imiona coś ci mówią? - pyta.

Jeff mruży oczy.

- Nie. Pamiętasz nazwiska?

Sydney kręci głową.

- Julie może być u przyjaciółki.

- Znasz jakichś przyjaciół Julie?

- Nie.

Z przeciwnej strony nadjeżdża samochód i oboje bacznie przyglądają się pasażerom.

- Jest taka słodka - mówi Sydney.

- I to właśnie mnie niepokoi.

- Nie widziałam, żeby przez cały czas pobytu tutaj choć raz wyszła gdzieś wieczorem - zapewnia Sydney.

- Na razie nie mieliśmy takich problemów. Nie wiem, czy ktoś rozmawiał z nią o wracaniu do domu na określoną godzinę. Albo o korzystaniu z telefonu komórkowego.

Sydney zastanawia się, choć nie zadaje tego pytania głośno, czy ktoś rozmawiał z Julie o bezpiecznym seksie. Zamiast tego mówi:

-Jestem pewna, że wszystko z nią w porządku.

Jadą do miejsca położonego niedaleko latarni morskiej. Niewiele rozmawiają, tak jak ludzie, którzy mają czymś zajęte myśli. Samochód toczy się po nierównej drodze prowadzącej ku terenowi porośniętemu krzakami. Zatrzymują się na parkingu na środku długiej plaży w kształcie półksiężyca, przy której stoi dom Edwardsów. Idą oboje kilkanaście metrów w przeciwnych kierunkach, po czym spotykają się przy samochodzie.

- To głupie - mówi Jeff. Ponownie sprawdza telefon, by mieć pewność, że nikt do niego nie dzwonił.

- Dzisiaj po południu byliśmy z Julie w pewnym miejscu. Może tam poszła - zastanawia się Sydney.

- Gdzie to było?

- Głazy na końcu plaży.

- Żartujesz - mówi Jeff, chowając komórkę do kieszeni. Sydney milczy.

- Jezu, Sydney. - Na zwirowanym parkingu jest ciemno, nie widzi twarzy Jeffa.

- Ale nikt nie poszedłby tam wieczorem - dodaje pośpiesznie.

Mimo to oboje wiedzą, że Julie mogłoby sprawić przyjemność zaproponowanie chłopcu własnej trasy spaceru. Każde z nich rozumie też, że mało kto odrzuciłby takie zaproszenie.

- Uważaj, gdzie stawiasz nogi - radzi Jeff. Kieruje snop światła z latarki prosto w dół, dzięki czemu Sydney widzi jego stopy i idzie po ich śladach. Nie może zobaczyć fal, ale je słyszy.

-Julie! - krzyczy raz za razem Jeff, ale własny głos wraca do niego wraz z podmuchami wiatru. Kamienie są śliskie. Sydney z trudem opiera się impulsowi, by iść na czworakach.

Myśli o tym, jak po południu Julie ciągnęła ją za rękę.

- Nie wierzę, że tu jest - zwraca się do Jeffa.

Traci równowagę na oślizgłych wodorostach. Jeff szybko wyciąga rękę i Sydney ją łapie.

- Uważaj - mówi Jeff.

- Dzięki.

- To szaleństwo. Powinniśmy wracać.

Ale przez kilka sekund, może siedem albo osiem, nie wypuszcza dłoni Sydney ze swojej. Żadne z nich nie odwraca się do drugiego. Żadne się nie porusza.

Jego palce ledwo zamykają się na jej palcach.

Ten dotyk nie zawiera obietnicy i z całą pewnością nie ma charakteru erotycznego. Jest - jeśli w ogóle cymś jest - słabą sugestią możliwości.

Palce Jeffa są ciepłe i tak wyraziście obecne.

Elektroniczna melodyjka wybucha w jego kieszeni, Jeff puszcza dłoń Sydney i wyjmując telefon. Głos na drugim końcu jest tak donośny, że nawet Sydney go słyszy.

- Wracajcie do domu - mówi Ben.

Julie siedzi na białej sofie, dłoń trzyma na poręczy, całe ciało ma wychylone w kierunku łazienki, którą już odwiedziła, sądząc po plamach na bluzce, mogących być tylko wymiocinami. Ale nie ten szczegół każe Sydney odwrócić oczy z mieszaniną bólu i przerażenia. Zastanawia się, czy ktoś inny zauważył drobne rozdarcie w miejscu, gdzie jasnoniebieskie ramiączka stykają się z dekoltem. Trzy, cztery, pięć małych szwów zostało rozerwanych.

Ben, trzymając dłonie w kieszeniach, krąży po pokoju.

- Ktoś ją podrzucił, wróciła w takim stanie.

- Kto ją podrzucił? - pyta Jeff.

- Nie mówi. Nie może powiedzieć.

Sydney siada obok Julie, ale coś w jej ruchach zaburza kruchą równowagę fizyczną dziewczyny, która przykłada dłoń do ust i stara się opanować.

- Julie - mówi Sydney cicho, nachylając się ku niej.

Julie gwałtownie kręci głową i Sydney się cofa.

- Nie może pić - odzywa się Ben. - Po prostu nie może.

- Czy coś takiego już się wcześniej zdarzyło? - pyta Jeff.

- Nie wiem, ale popatrz na nią.

- To na pewno był alkohol?

Ben przewraca oczami. Sydney czuje zapach alkoholu i kiwa głową w kierunku Jeffa.

Jeff przykłada dłoń do czoła.

- Zabiję tego skurwysyna.

- Nawet nie wiemy, kim ten skurwysyn jest - zauważa Ben.

Sydney nie zwraca im uwagi na rozdarte szwy i może nigdy tego nie zrobi.

- Julie - mówi - zaprowadzę cię na górę.

Dziewczyna zastanawia się przez sekundę. Sydney prosi ją, aby wstała. Ale ten prosty ruch okazuje się zgubny i Julie biegnie do łazienki w holu, tej z głośną akustyką.

W salonie Sydney i bracia słuchają w milczeniu. Ben stoi przy oknie i patrzy na ocean, którego nie jest w stanie zobaczyć. Czoło poryte ma zmarszczkami skupienia, jakby poprzez intensywne myślenie mógł dojść do nazwiska. Jeff, z dłońmi splecionymi na karku, siedzi zgarbiony na skraju krzesła. Gwałtownie unosi głowę.

- Ben, imiona Joe albo Nick coś ci mówią? Rówieśnicy Julie.

Ben się odwraca. Oczy mu biegają tu i tam, kiedy myśli o jednym, potem o drugim chłopcu, którym być może udzielał lekcji żeglarstwa, o młodych mężczyznach spotkanych na polu golfowym.

- Był taki, Jared coś tam, Jared... ale on ma dwadzieścia parę lat.

Julie wychodzi z łazienki. Sydney wstaje i dotyka gołego ramienia dziewczyny. Skóra jest zimna i wilgotna. Sydney ma nadzieję, że Julie pozbyła się większości alkoholu z organizmu. Wciąż chwieje się na nogach i Sydney musi wziąć ją pod ramię. Julie oddycha przez usta. Włosy ma przyklejone do głowy.

- Zabieram ją na górę - mówi do braci Sydney.

Obie z trudem pokonują schody i podest. Sydney odnosi wrażenie, że Julie nie ma pojęcia, gdzie jest, że gdyby puściła dziewczynę, ta po prostu zwałaby się na podłogę.

Julie jest w gorszym stanie, niż Sydney przypuszczała. Może położenie jej do łóżka nie jest najlepszym pomysłem. Czytała w gazetach relacje o studentach umierających we śnie po przedawkowaniu narkotyków i piwa. Pozwolenie kumplowi na przespanie odurzenia jest teraz czymś w rodzaju nieumyślnego zabójstwa.

Nastolatka bezwładnie pada na łóżko, jakby w jej ciele nie było kości. Łąduje w niewygodnej pozycji i Sydney układa ją prosto. Nie warto zdejmować z niej ubrania.

- Julie - mówi Sydney, teraz już nie tak łagodnie jak przedtem. Dziewczyna unosi powieki. - Gdzie byłaś?

Jej podopieczna nie jest w stanie skupić wzroku na jednym punkcie.

- Na imprezie - mówi z wielkim wysiłkiem.

- U kogo? Kto cię tam zabrał?

Ale Sydney zadała o jedno pytanie za wiele. Jej uczennica kręci głową.

- Wiesz, gdzie była ta impreza?

Julie wykonuje ruch przypominający wzruszenie ramion.

- Szłaś pieszo na to przyjęcie?

Sydney widzi, że dziewczyna szuka w pamięci, jakby miała odpowiedzieć na pytanie, za co była przebrana na Halloween jako dziesięciolatka.

- Czym samochodem pojechałaś?

Julie znowu kręci głową.

- Nicka? Joego? - pyta Sydney, ale jej podopieczna zamyka oczy.

Wyciąga cienką kołdrę spod bezwładnego ciała dziewczyny i okrywa Julie. Gładzi ją po czole. Skóra nastolatki

jest zimna i lepka. Chociaż Sydney czasami upijała się tak, że pokój wirował jej przed oczami, nigdy nie była w takim stanie jak Julie ani nie miała pod opieką kogoś aż tak oszołomionego.

Ciemność w pokoju rozprasza tylko światło padające z holu. W jednym mrocznym kącie sypialni Julie znajduje się krótka półka z przytulankami, teraz całkowicie pozbawionymi koloru. Na staroświeckiej toaletce nakrytej koronkową serwetką leży biżuteria, pojemniczek z płynem do przechowywania szkieł kontaktowych, szczotka do włosów, płyta kompaktowa i kilka gumek do włosów. W dwóch kawałkach materiału na podłodze Sydney rozpoznaje jasnoniebieskie bikini. Widok porzuconego kostiumu, noszonego z taką dumą po południu, sprawia, że Sydney czuje bolesny ucisk w piersiach.

Przez otwarte okno słychać ocean. Niedaleko jest odnowiony dom. Właścicielka zażądała od ekipy budowlanej zainstalowania potrójnych okien wygłuszających szum wody.

Po co człowiek przyjeżdża na wybrzeże, jeśli przeszkadza mu huk załamujących się fał?

Nastolatka porusza się na posłaniu.

- Julie? - woła Sydney.

Ale dziewczyna coś niewyraźnie mruczy i znowu zapada w sen.

Obudziwszy Julię kilka razy, Sydney uświadamia sobie, że musi napić się kawy, jeżeli dalej ma czuwać przy dziewczynie. Kiedy udaje jej się po raz piąty rozbudzić śpiącą, opuszcza pokój i schodzi na dół. Bena nigdzie nie ma, ale, co dziwne, Jeff wciąż siedzi w salonie.

- Jak się czuje? - pyta, kiedy Sydney schodzi z ostatniego stopnia. Jest błydy i wygląda na zmęczonego.

- Śpi, ale na wszelki wypadek budzę ją co pół godziny.
- Nie musi wyjaśniać powodów. Jeff także czyta gazety. -
Gdzie jest Ben?

- Poszedł się zdrzemnąć. Powiedział, żeby go obudzić,
jeśli będziemy chcieli odpocząć.

- Prawdę mówiąc, chętnie napiłabym się kawy - mó-
wi Sydney.

- Usiądź. Zaparzę.

Sydney przysiadła na dolnym stopniu i patrzy, jak Jeff
napełnia dzbanek wodą i wlewa ją do ekspresu, po czym
z dłońmi w kieszeniach opiera się o blat. W tle słychać
szum i bulgotanie parzonej kawy.

- Coś ci powiedziała? - pyta Jeff.

- Poszła na imprezę. Albo nie wie, albo nie chce po-
wiedzieć, kto ją zabrał. Trudno stwierdzić, co wie, a cze-
go nie wie.

- Ale to nie był Nick albo Joe?

- Najwyraźniej nie.

- Będiesz miała na nią oko? - pyta Jeff. - Muszę ju-
tro wyjechać. Może powinienem porozmawiać z matką.
Ten pomysł wydaje się Sydney zły.

- Myślę, że powinieneś porozmawiać z Julie - sugere-
ruje.

- Ona jest taka niewinna. - Jeff wolno kręci głową.

- To prawda.

Jej zdaniem bardzo niewiele osiemnastolatek można
uznać za „niewinne”, ale Julie bliższa jest temu określe-
niu niż ktokolwiek, kogo Sydney zna lub o kim czytała.
Przelotnie zastanawia się nad związkiem pomiędzy inteli-
gencją a winą.

Ekspres wydaje ów wyjątkowy syk i grzechot, które
sygnalizują zakończenie parzenia kawy. Jeff napełnia ku-
bek i podaje go Sydney.

-Dziękuję.

- Przyjdę na górę za pół godziny, żeby cię zastąpić. Prześpisz się. Jeśli będzie trzeba, obudzę Bena... Posłuchaj, postąpiłem niewłaściwie.

Sydney czuje, jak pali ją skóra. Jest przekonana, że on zaraz wspomni o incydencie na skalach.

- Nie powinienem był cię prosić o pilnowanie Julie - ciągnie Jeff. - Nie jesteś za nią odpowiedzialna.

Sydney o ułamek sekundy spóźnia się z odpowiedzią.

- Właściwie to jestem.

- Z całą pewnością nie jesteś jej opiekunką.

Rozumie przez to, myśli Sydney, „nie należysz do rodziny”.

- I nie wiem, czy rodzice ci to powiedzieli - dodaje Jeff - ale jeśli sobie życzysz, możesz zaprosić tu każdego, kogo chcesz. Przyjaciela.

Słowo wisi w powietrzu. Sydney pragnie wytłumaczyć Jeffowi, jak wygląda życie towarzyskie kobiety, która raz się rozwiodła i raz owdowiała. Przyjaciele, których miała za czasów lotnika, mniej lub bardziej należeli do niego, a kiedy małżeństwo się skończyło, pozostali przy nim, jak przypadająca mu po podziale część majątku. Przyjaciele, których miała w okresie małżeństwa z Danielem, kontaktują się z nią od czasu do czasu, jednakże ich wizyty nieodmiennie są smutne i ciche; jest przekonana, że tamci nie palą się do powtórzenia odwiedzin. Ma przyjaciółki ze szkoły: Becky, która obecnie mieszka w Nowym Jorku, i Emily z Bostonu, ale nie potrafi sobie wyobrazić, by jedna z nich przyjechała do New Hampshire, dzieliła z nią mały pokój z wąskimi łózkami i jadła kolacje w towarzystwie rodziny Edwardsów.

- Może tak zrobię - mówi do Jeffa.

Ten patrzy jej w oczy sekundę dłużej, niż jest to konieczne - a może to ona patrzy mu w oczy o sekundę

dłużej, niż jest to konieczne; niewykluczone też, iż owa sekunda jest niezbędna do przekazania, że chociaż Sydney nie należy do rodziny, nie powinna myśleć o sobie jako o obcej - nie pada jednak wzmianka o dotyku palców na skałach. Sydney przychodzi do głowy, że nie będąc z mężczyzną przez ponad dwa lata, mogła zapomnieć istotne znaki.

Rano Julie wcale nie wie więcej o tym, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru, zanim się upiła. Wstaje późno i schodzi do kuchni, ale tylko po advil. Strasznie boli ją głowa i Sydney zaczyna myśleć, że sama też ma kaca.

Padają wyjaśnienia.

- Julie nie czuje się dobrze. Zeszła, ale zaraz wróciła do łóżka. - Oto, co mówi Sydney panu Edwardsowi, okłamując człowieka, który przypuszczalnie by jej nie okłamał. Rzeczywiście, pragnie powiedzieć ojcu Julie o wszystkim, zapytać go o radę, ale nie na tym polega plan, który z Benem i Jeffem ułożyli o szóstej rano przy płatkach. Nie do niej należy burzenie tego planu.

Stanowili dziwną grupkę; wszyscy troje byli wyczerpani i każde zadawało sobie pytanie, czy przypadkiem nie przypisują większego znaczenia incydentowi, który na to nie zasługuje, a może wręcz przeciwnie: bagatelizują poważną sytuację, nie powiadamiając o niej rodziców winowajczyni. Sydney czuła się jak młodszy oficer po całonocnej wachcie. Płatki smakowały jak klej, ale z drugiej strony często miały taki smak. Wszyscy troje zdawali się zgadzać bez słów, że jeśli Julie przetrwa noc, wszystko będzie w porządku. Później któreś weźmie dziewczynę na bok i porozmawia z nią o wracaniu do domu o wyznaczonej godzinie i zaletach telefonu komórkowego, wygłosi mowę o konieczności podawania nazwisk

i miejsc oraz niebezpieczeństwach związanych z pićm alkoholu, wyda nakaz całkowitej abstynencji. Może też ktoś powinien wyjaśnić Julie, co przytrafia się dziewczętom, które piją za dużo w towarzystwie chłopców, o tym, że chłopcy czasami wykorzystują dziewczęta, wyrządzając im szkodę fizyczną i emocjonalną. Może tym kimś będzie Sydney.

Po wyjściu pana Edwardsa z domu na poszukiwanie niedzielnych gazet w kuchni pojawia się Victoria, różowa i tryskająca energią. Sydney zastanawia się, jakież to cudowne kosmetyki dają taki olśniewający efekt, wymazując skutki poprzedniego wieczoru, wręcz podając w wątpliwość wspomnienia o nim.

Victoria ubrana jest w żółtą sukienkę na ramiączkach i przez moment Sydney wyobraża sobie, że tamta zmobilizowała się, by pójść do kościoła. Ale ona zagląda do lodówki i szafek, po czym z briozki, która została z wieczora, przyrządza apetyczny francuski tost nadziewany owocami. Nakrywa elegancko do stołu, stawia porcelanowe naczynia i szklankę z rżniętego szkła. Nalewa syrop do cennego dzbanka i bierze lnianą serwetkę. Sydney ma wrażenie, że Victoria usiłuje odtworzyć atmosferę posiłku w pensjonacie.

Sydney stawia kubek z kawą na okrągłym kuchennym stole.

- Ładnie wygląda - mówi.
- Masz ochotę się poczęstować?
- Nie, dziękuję, już jadłam.

Wyskubane brwi Victorii tworzą niemal prostą linię. Naszyjnik z topazem pasuje do jej oczu. Wilgotne po prysznicu włosy, schnąc, układają się w miękkie fale. Jest młodą kobietą tryskającą zdrowiem, którą natura obda-

rzyła wieloma darami: czystą skórą, pięknymi włosami, idealnymi zębami (choć można sobie wyobrazić, że w tej kwestii skorzystała z pomocy ortodonty), wysmukłym ciałem, czarującym uśmiechem.

- Poczekałabym na Jeffa - mówi z przeproszącą nutką w głosie - ale jest wykończony. Mówi, że przez pół nocy rozmawiał z Benem. Bardzo się z tego cieszę, bo chociaż obaj mieszkają w Bostonie (no cóż, ściślej rzecz biorąc, w Bostonie i Cambridge), rzadko się widują. Tutaj jest przepięknie - dodaje ze szczerym podziwem dla widocznego przez otwarte drzwi Atlantyku, który dzisiaj prezentuje się z najlepszej strony. - Od lat tu przyjeżdżam i zawsze tak myślę.

- Miałaś szczęście, trafiłaś na dobrą pogodę - zauważa Sydney, mimo że nie chodzi jej o pogodę.

Tak naprawdę roztrząsa w myślach zdumiewający fakt, że Jeff nie powiedział swojej dziewczynie o poszukiwaniach Julie i nocnym czuwaniu. Zastanawia się, z jakiego powodu uznał zachowanie tej sprawy dla siebie za konieczne.

- Długo tu będziesz? - pyta Victoria. - Chyba nikt o tym nie wspominał.

- Do końca miesiąca, a może zostanę po Dniu Pracy. Mam przygotować Julie do egzaminów SAT w październiku, więc niewykluczone, że będę odwiedzać ją w domu, kiedy wróci do szkoły.

Sydney wymyśla te informacje, bo nikt na razie nie rozmawiał z nią o długości pobytu i ewentualnych wizytach w Needham.

- Rodzina nigdy nie zostaje tu po Dniu Pracy - mówi Victoria z przekonaniem. - Nigdy.

Sydney zapamiętuje to sobie.

- Jeff ciężko pracuje i potrzebuje odpoczynku - mówi

Victoria, z pozoru bez związku. A może jest inaczej. Może Victoria myśli o nim przez cały czas, nawet kiedy się wydaje, że uwagę ma skupioną na innych sprawach. - Pozwól mu spać do jedenastej, a potem go obudzę. Chyba jedziemy dzisiaj na lunch do Portsmouth. - Victoria z ukosa spogląda na Sydney, niepewna, czy powinna wspominać o wyściezce osobie, która być może nie została zaproszona. - Anna biega - dodaje, znowu bez związku albo i nie.

Sydney myśli o Annie Edwards uprawiającej jogging.

- Twoja praca musi być bardzo satysfakcjonująca - mówi, obejmując kubek obiema dłońmi. W obecności Victorii jest dotkliwie świadoma faktu, że nie wzięła prysznic ani nie umyła zębów, choć - co dziwne - wcale jej to nie przeszkadzało podczas śniadania z Benem i Jeffem. Obserwuje, jak Victoria odcina kawałek tosta widelcem, skrobiąc nim po porcelanie. Z brioszki wypływają ciepłe jagody i Sydney żałuje, że nie przyjęła propozycji poczęstunku.

- Cóż - mówi Victoria - praca jak każda inna. Są w niej klęski i porażki. Teraz lepiej sobie radzę niż wcześniej.

- A co dokładnie robisz?

- Koordynuję zbieranie funduszy.

Tak, można to sobie wyobrazić: Victoria organizująca eleganckie przyjęcia na rzecz dzieci z białaczką. Sydney dochodzi do wniosku, że ta kobieta pomimo swej podejrzanie doskonałej urody jest całkowicie warta Jeffa. Pozwala mu spać, nie jest ekstrawagancka, wykonuje dobrą robotę, potrafi gotować.

- Nigdy nie wiem, kto tam będzie - dodaje Victoria, nadziewając na widelec truskawkę. Sydney zastanawia się, czy nie powinna potraktować tego jako przytyku w swoją stronę.

- Co jest w Portsmouth w niedzielę? - pyta.

Victoria mruga, ale udaje jej się niemal idealnie pozbierać myśli.

- Cudowny bar z małżami - odpowiada. - Sądzę, że by ci się tam spodobało.

Sydney pragnie tylko spać. Nie ma ochoty na rozmowy z Jeffem, Benem, panią Edwards czy nawet Julie. Wyczuwa zbyt duży stopień osmozy - nadmiernie się zaangażowała, przejmując się sprawami pracodawców - który wywołuje stan niewygodny. Żałuje, że nie jest gdzieś daleko stąd, sama.

Śpi do czwartej. Leży w łóżku jeszcze jakiś czas, słuchając pożegnań dobiegających z holu. Ben, Jeff i Victoria wyjeżdżają do Bostonu. Padają instrukcje dotyczące rzeczy, które powinni wziąć ze sobą, kiedy wrócą za dwa tygodnie, wzmianki o nadchodzących wydarzeniach towarzyskich (przypuszczalnie wymagających odpowiedniej garderoby), obietnice szybkiego ponownego spotkania. Sydney słyszy, jak z trzaskiem zamykają się za nimi drzwi.

Natychmiast też dom się kurczy, państwo Edwardsonie bez słowa wycofują się do oddzielnych pokoi. Wendy i Art spotkają się z zimnym powitaniem, kiedy wrócą ze swojej wyprawy - do Appledore? Portsmouth? - a może nawet nie będzie na nich czekał posiłek. Niewykluczone, że wyczerpanie połączone z poczuciem wypełnienia wszelkich towarzyskich zobowiązań sprawi, że ten wieczór z gospodarzami będzie mało przyjemny. Sydney zastanawia się, czy Edwardsonie się orientują, co poprzedniej nocy mogło lub nie przydarzyć się ich jedynej córce.

Ostrożnie schodzi na dół; nie ma ochoty na kontakt z żadną istotą przewyższającą stopniem ewolucji Tullusa.

Zbyt wiele wydarzyło się w zbyt krótkim czasie: eskapada Julie, poszukiwania dziewczyny prowadzone z Jeffem, konieczność radzenia sobie z Benem i Victorią. Sydney jest głodna, marzy o kawałku sera i garści orzechów, ale przygotowanie posiłku wydaje się niepotrzebną formalnością, upieraniem się przy rytuałach w chwili, kiedy bez wątplenia rytuał należy odrzucić.

Światło padające przez kuchenne okno jest ostre i pomarańczowe, wabi do wyjścia na dwór. Sydney zastanawia się, jak z kuchni na tyłach domu dostać się do drzwi frontowych prowadzących na plażę, nie natykając się przy tym na nikogo z rodziny Edwardsów. Wybiera brawurowe rozwiązanie, idzie boso do wyjścia, mając na podorędziu jakąś wymówkę. Ale szczęście jej sprzyja. Nikogo nie ma w holu, w salonie, a nawet na ganku, choć wieczór jest piękny. Wyobraża sobie, że Anna Edwards leży na plecach z zimnym okładem na czole. Marka Edwardsa widzi w ogrodzie różanym, gdzie na kłęczkach wyrywa chwasty, które odważyły się zaatakować klomby, gdy on był zajęty czymś innym. Wyobraża sobie Julie w pozycji płodowej na łożku, zasypiającą i budzącą się na przemian, a w chwilach przytomności zdezorientowaną, jak próbuje zrozumieć coś z obrazów, w większości nieprzyjemnych, które przepływają jej przed oczami.

Wydostawszy się ukradkiem z domu, Sydney oddala się od niego energicznie. Światło nadało oceanowi barwę jasnoniebieską i po raz kolejny odczuwa potrzebę uchwycenia tego widoku. Z doświadczenia wie, że fotografia to za mało. Obraz może przywołać wspomnienia, ale okoliczności towarzyszące chwili - dotknięcie wiatru na skórze za uszami, błękitny pył na horyzoncie - trwać będą tylko przez kilka sekund i zaraz znikną.

Sydney idzie szybko, pragnąc oddalić się od domu na końcu plaży. To dobre ćwiczenie. Czuje mrowienie w łydce i zrywa się do biegu. Nie jest doświadczoną sprinterką, nad bieg, który skupia całą uwagę na ciele, przedkłada energiczny marsz dający okazję do obserwacji otoczenia, tym razem jednak ogarnia ją przemożna potrzeba pędu.

Dociera na koniec plaży, pokonując dystans trzech kilometrów, i zwalnia. Siada po turecku na piasku. Widać wyraźnie, że słońce zachodzi wcześniej niż w lipcu, i już teraz pojawia się zapowiedź zmierzchu. Sydney świadoma jest na wpół wyraźnych myśli o Jeffie, które kryją się pod tymi obserwacjami. Pomimo swej niezwyklej historii małżeńskiej nigdy nie dopuściła się niewierności wobec partnerów, nigdy też nie pozostawała w związku z mężczyzną, który zdradzałby żonę czy dziewczynę. Nie może jednak uważać tego za swoją wielką zasługę, jest bowiem przekonana, że to po prostu kwestia zbiegu okoliczności. Ale budzące się pożądanie w stosunku do mężczyzny niemal zaręczonego z kobietą, którą Sydney poznała, bez wątpienia jest wystarczającym powodem, żeby uciekać na drugi koniec plaży z domu, jakby wybuchł w nim pożar.

Kształt kości. Opalona łydka. Sydney wspomina, jak przy kolacji wyczuwała, że Jeff przebywa myślami gdzie indziej, w miejscu, w którym ona też chciałaby się znaleźć. Myśli o panice jednoczącej ich w czasie jazdy po uliczkach miasteczka w poszukiwaniu Julie, która mogła wpaść w kłopoty - jego ukochanej siostry, dziewczyny, którą Sydney uważa za miłą. I pamięta fizyczny kontakt, przelotny acz wyraźny dotyk palców, pozornie tak przypadkowy, że niemal nieistniejący. Nieistniejący, ale zapalny. Sydney wstaje, wie, że musi wrócić do domu, z którego niedawno uciekła; nie ma latarki, a poza tym chce jej

się pić. Zadaje sobie pytanie, czy Jeff teraz o niej myśli. Dochodzi do wniosku, że nie. Z tylnego siedzenia landrowera, mając Victorię przed sobą, Jeff będzie studiował jej profil, podczas gdy ona rozmawia z Benem. „Te korki są straszne, powie Victoria. Muszę wstać o piątej”.

Po powrocie do domu Sydney idzie prosto do ogrodu. Zgięty wpół Mark Edwards obrywa zeschnięte róże. Jest tak pogrążony w tym zajęciu, że zauważa jej obecność dopiero wtedy, gdy Sydney się odzywa:

- Cześć.

Przestraszony, prostuje się zbyt gwałtownie i kładzie dłoń na plecach. Ma na sobie starą flanelową koszulę i spodnie khaki poplamione na kolanach.

- Witam - mówi.

Róże są wspaniałe, w kolorze rdzy, lawendy, kości słoniowej i różowawego fioletu. Nie znajdziesz tu pospolitego szkarłatu czy krzykliwej żółci. Mimo że Sydney często widywała pracujących tu Julie i jej ojca, nigdy się do nich nie zbliżała. W centrum ogrodu różanego stoi kamienna ławka.

- Są piękne - mówi Sydney i nachyla się, by wciągnąć w nozdrza aromat łośosiowych płatków.

- Dziękuję. Czasami je zaniedbuję.

- Widziałam, że Julie też tu pracuje.

- Chyba sprawia jej to przyjemność.

Pan Edwards wie, że Sydney chce z nim porozmawiać, że nie wpadła tu na chwilę w drodze do domu. Sydney widzi, jak czeka cierpliwie z sekatorem w dłoni.

- Prawdę mówiąc - odzywa się, przesuwając palcami po róży - trochę się martwię o Julie.

- Jak to? - pyta mężczyzna. Jego twarz momentalnie poważnieje.

- Może mi pan poświęcić chwilę?

- Oczywiście. - Wskazuje ręką kamienną ławkę.

Sydney siada na jednym, jej pracodawca na drugim końcu. Dłonie ma brudne, paznokcie oblepione ziemią.

- Chciałabym porozmawiać szczerze, nie sprawiając nikomu kłopotów.

Mark Edwards kiwa głową, nie odrywając wzroku od twarzy Sydney.

- Być może pan o tym nie wie, ale wczorajszy wieczór Julie spędziła poza domem. Wymknęła się z jadalni, zanim ktokolwiek zdążył zapytać, dokąd się wybiera. Mniej więcej za piętnaście jedenasta pojechaliśmy z Jeffem na poszukiwania, ale nie mogliśmy nigdzie jej znaleźć. Wróciła do domu sama około północy. - Sydney na moment milknie. - Pijana. Bardzo pijana. - I znowu urywa. - Powinnaś powiedzieć, że niebezpiecznie pijana.

Pan Edwards zamyka oczy.

- Nie chciała albo nie mogła powiedzieć, gdzie była - dodaje Sydney. - Wymiotowała i myślę, że pozbyła się większości alkoholu z organizmu. Ale była w złym stanie. Jeff, Ben i ja na zmianę przy niej czuwaliśmy.

Ojciec Julie przeciągle wzdycha.

- Mówię o tym nie dlatego, że chcę, żeby Julie miała kłopoty. Nie o to mi chodzi, absolutnie nie. Uważam jednak, że ktoś powinien z nią porozmawiać o informowaniu nas... państwa... dokąd się wybiera.

- Tak.

- Wiem, że Julie jest...

- Tak, miałas wszelkie prawo bardzo się zaniepokoić. Przez całe lato Julie mniej lub bardziej pozostawiana jest samej sobie. Dla mnie twój przyjazd był darem, możesz mi wierzyć. Cieszyłem się, że ma towarzystwo. Widać wyraźnie, że cię uwielbia.

- Ja też...

- Ale bardzo mało wie o świecie. Szczerze mówiąc, nie myślałem, że już powinniśmy się tym przejmować, i byłem idiotą. Ona ma osiemnaście lat. Wystarczy na nią spojrzeć.

Sydney otwiera zaciśnięte dłonie.

- Martwię się, bo Julie wygląda na dziewczynę, którą ktoś może wykorzystać - mówi wolno.

- Porozmawiam z nią - obiecuje pan Edwards.

Sydney notuje w myślach, że nie było to: „Powiem Annie, żeby z nią porozmawiała”,

- Ona może nic nie pamiętać - dodaje jeszcze. - Albo bardzo niewiele.

- To dobra dziewczyna - mówi pan Edwards, dokładając usilnych starań, by zapanować nad emocjami.

- Och, to prawda - potwierdza Sydney pośpiesznie.

Następuje długa chwila milczenia, w czasie której nie patrzy na siebie. On splota dłonie na kolanach i przygląda się różom. On przesuwa wzrok po krzakach rosnących na obrzeżach posesji. Wstać i zostawić go samego wydaje się rzeczą złą, z drugiej jednak strony siedzenie z nim tutaj jest straszliwie trudne.

- Te róże są naprawdę piękne - mówi Sydney, ale jej głos brzmi nieprzekonująco.

- Tak myślisz?

- O tak.

- Z różami chodzi o to - zaczyna ojciec Julii, zaraz jednak zapomina, co zamierzał powiedzieć. - Z różami chodzi o to...

- Myślałam, żeby jutro pojechać z Julie do Portsmouth po materiały plastyczne.

Mark Edwards pytająco spogląda na Sydney, która odchrząka.

- Nasunął mi się pewien pomysł. Julie ma wielki talent do... z braku lepszego słowa... do układania kompozycji. Pomyślałam więc, żeby kupić jej kredki, może też farby. Nie chcę, żeby przeszkadzało to w korepetycjach, ale...

Mężczyzna macha ręką, jakby chciał powiedzieć, żeby nie przejmowała się korepetycjami.

- Wydaje mi się, że jest utalentowana w tej dziedzinie - dodaje Sydney. - Z tego, co wiem, przychodzi jej to bardzo łatwo.

Ojciec Julie kiwa głową i uśmiecha się, ale Sydney widzi, że jego oczy skupione są na czymś innym. Wciąż się zastanawia, co powinien powiedzieć córce. Sydney nie zazdrości mu tego zadania.

- Nie wiemy, gdzie była? - pyta.

- Nie. Poszła na przyjęcie, tylko tyle zdołałam z niej wydobyć.

Pan Edwards nabiera powietrza w płuca. Wygląda na znacznie starszego niż poprzedniego wieczoru i nie jest to tylko efekt roboczego ubrania, zgarbionych pleców, brudnych rąk.

- Jestem przekonana, że z Julie wszystko będzie w porządku - dodaje Sydney, nie mogąc się powstrzymać od wygłoszenia tego frazesu. Nagle pragnie, by siedzący obok mężczyzna nie musiał się martwić o córkę.

Wstaje. Podczas ich rozmowy zmierzch zgęstniał i zapadł wieczór. Sydney czuje na kostce ukąszenie komara. Słyszy rzekotki, nieustanny szum fal. W domu zapala się światło.

- No cóż - mówi - chyba lepiej już pójdę.

Mark Edwards także się podnosi, świadomie próbuje wyprostować kręgosłup.

- Dziękuję, Sydney - odpowiada. - Doceniam, że do mnie przysłaś.

Jego oficjalny ton jest niepokojący.

Sydney się odwraca. W progu domu ogląda się i widzi, że ojciec Julie wciąż stoi przy ławce.

Pani Edwards, otulona szlafrokiem, leży na jednej z białych sof. Na widok Sydney uśmiecha się zdawkowo. Sydney słyszy, jak w kuchni Wendy i Art grzebią w szafkach i lodówce, szukając czegoś do jedzenia. Nie rozróżnia słów, ale z tonu wyraźnie wynika, że się kłóca. Wyobraża sobie, że uraził ich brak posiłku po powrocie do domu. Pani Edwards sprawia wrażenie rozkosznie obojętnej na gości i spokojnie odwraca stronicę książki.

- Gdzie jest Julie? - pyta Sydney.

- Wcześniej zeszła i zjadła grzankę - odpowiada pani Edwards, nie odrywając wzroku od książki. - Zatrzymała się czymś.

- Dobrze się czuje? - Sydney zauważa, że podeszwy stóp pani Edwards nie są czyste.

- Och, nic jej nie będzie.

Sydney kiwa głową. Także jest głodna, ale postanawia pójść do pokoju i tam poczekać, aż burza minie. Kiedy stawia bosą stopę na pierwszym stopniu schodów, dzwoni telefon. Pani Edwards zrywa się na równe nogi, mimo że nikt się nie kwapi, by ją uprzedzić.

Na jej twarzy rozlewa się uśmiech. Wzrok ma zwrócony do wewnątrz, widzi tylko osobę na drugim końcu linii. Śmieje się, zadaje pytania, sprawia wrażenie, jakby nie chciała się pożegnać. Młoda kobieta dochodzi do wniosku, że pani Edwards ma wielki talent do przedłużania rozmowy. Sydney udaje, że ogląda odcisk na stopie.

- Do szybkiego zobaczenia - pieje matka rodziny, po czym czeka sekundę, na wypadek gdyby jej rozmówca za-

mierzał coś dodać. Wreszcie odkłada słuchawkę i mocniej wiąże pasek szlafroka. Patrzy na Sydney.

- To był Jeff - oznajmia z bezbrzeżną satysfakcją. - Dojechali bezpiecznie.,

Podwórce za szeregowymi domami w Troy porastały stare krzewy. Bez, funkia, orzech włoski. Morwy i wysokie kępy hortensji. Dzikie i niepielegnowane, nieprzycinane i rozplenione. Matka Sydney stawiała na parapecie w kuchni butelki po mleku z pierwszymi w sezonie różami: staroświeckimi różowymi różami o pomarszczonych płaskich płatkach i zdradzieckich kolcach.

Nad zlewem była czerwona kraciasta tapeta. W oknach wisiały żółte zasłony. Gdzie się podział zegar z ochrowego bakelitu, ten z postrzępionym kabelkiem? Sydney pamięta brązową lodówkę marki Norge, pamięta dzień, gdy zainstalowano pralkę i suszarkę. Podłogę w piwnicy wciąż pokrywał brud. Tydzień później matka zesła z koszem prania do piwnicy i zobaczyła szcúra wielkości małego psa. Zapędziła go w kąt i na oczach córki zatłukła na śmierć. Był to akt zapalczywości i gwałtu, który na wiele godzin odebrał Sydney mowę.

Sydney pamięta kruszące gipsowe ściany. Wąskie niepolakierowane deski podłogowe prawie czarne w długim holu. Linoleum w kuchni. Mieli dwie sypialnie, salon i łazienkę, na końcu korytarza mieściła się kuchnia. Pokój Sydney wyposażony był w łóżko, biurko i meblóściankę, połyskliwe czerwone zasłony i różową kołdrę. Koło łóżka stał plastikowy stolik nocny z szufladami, do których wkładała lakier do paznokci, pamiętnik, nagryzmolone notatki od przyjaciółek, kartki urodzinowe. Kiedy wracając codziennie ze szkoły, wchodziła na cementowy ganek i kierowała się do swojego pokoju, od-

nosiła wrażenie, że przepłynąwszy krótki odcinek przeszłości, bezpiecznie dobija do teraźniejszości.

Miała trzynaście lat, kiedy pewnego dnia po szkole zastała w mieszkaniu niezwykle porządek. Matka czekała na nią w kuchni. Poprosiła, by Sydney usiadła przy stole.

- Posprzątałaś? - zapytała Sydney, patrząc na gołe półki.

- W pewnym sensie.

Matka oznajmiła, że obie z Sydney wyjeżdżają, że zamieszkają w prawdziwym domu w Massachusetts. W jej ujęciu brzmiało to jak świetna zabawa. Sydney będzie miała dwa domy, dwa komplety przyjaciół, dwa pokoje. Będzie jeździła z Massachusetts do Nowego Jorku i z powrotem.

Matka nie powiedziała jej natomiast, że ma już po uszy brązowej lodówki i cementowego ganku, że znużyło ją czekanie, aż mąż zrealizuje swe artystyczne obietnice. Nie wyjawiała, że poznała innego mężczyznę. Nie przyznała się, że jeszcze o niczym nie mówiła ojcu Sydney.

Tamtego wieczoru, kiedy obie z matką przeprowadziły się do domu w Massachusetts wyposażonego w zmywarkę, mikrofalówkę i nieskazitelnie czystą suszarkę, zadzwonił telefon. Sydney odebrała i słuchała. Jej ojciec płakał.

Obecnie Sydney myśli o rodzicach w sposób następujący: granica biegnie w górę od Manhattanu, topografia jest jasna, po lewej stronie jedna figurka z patyczków, po prawej druga.

W poniedziałek rano Sydney jedzie do Portsmouth, skąd wraca ze szkicownikiem, płótnem, kredkami, farbami olejnymi oraz dwiema książkami, jedną na temat rysowania, drugą o malowaniu. Ojciec Julie chce zapłacić za te zakupy, ale Sydney wyjaśnia, że to jej eksperyment.

Tego samego dnia wieczorem widzi, jak pan Edwards wchodzi do pokoju córki. Kiedy go opuszcza, oczy ma zaróżowione i szuka w kieszeni chusteczki. Sydney notuje w myślach, że wybrał na tę rozmowę czas, gdy pani Edwards była na przyjęciu koktajlowym. On także otrzymał zaproszenie, ale się wymówił, podając jako pretekst ból żołądka.

Mija tydzień. Z północnego wschodu nadchodzi sztorm. Deszcz zalewa okna. Przejście do samochodu oznacza wystawienie się na tak gwałtowne podmuchy wiatru, że człowiek potyka się i chwieje. Deszcz pada przez wiele dni i Sydney zapomina, jak wyglądała plaża w słońcu. Wydaje się jej, że lato od zawsze, że na taką pogodę od początku się godziła.

Spędza całe godziny w pokoju Julie. Czasami uczy ją matematyki, głównie jednak obserwuje, jak dziewczyna układa przedmioty i rysuje. Trochę się dziwi, dlaczego żadne z rodziców nie dostrzegło wcześniej talentu córki. Może sądzili, że nie ma sensu poddawać próbie jej zdolności. Ale czy nie ma żadnych rysunków z dzieciństwa? Obrazków, które mała przynosiła ze szkoły?

Julie pociągają gruszki. Sydney przypisuje to czemuś więcej niż tylko zbiegowi okoliczności, który sprawił, że kiedy dała dziewczynie materiały plastyczne, w kuchni na granitowym blacie stała misa z gruszkami. Sama także jest zaintrygowana kształtem owocu, ciężką bulwiastą dolną połową, sposobem, w jaki asymetrycznie się układa, płaskimi fragmentami na jego powierzchni, których wcześniej nie zauważała.

Julie kładzie gruszki jedna naprzeciwko drugiej na toalecie, gdzie przedtem leżały gumki do włosów i biżute-

ria. Przystępuje do rysowania z takim samym skupieniem, z jakim układa puzzle z tysiąca elementów.

Czasami Sydney łapie się na rozważaniach, co robi Jeff. Wyobraża go sobie w dusznym gabinecie w jakimś budynku na MIT. Próbuje odgadnąć, w co ubiera się do pracy. Koszula i spodnie khaki? Szorty, kiedy nie ma zajęć? Czy wstaje od biurka, żeby pójść na lunch? Idzie w deszczu ulicami Cambridge do swojego mieszkania z podniszczonym płóciennym plecakiem przewieszonym przez ramię? I co robi w domu? Siada wygodnie w fotelu, ogląda mecz Red Soksów i popija piwo Rolling Rock? Czy wtedy dzwoni telefon, a w słuchawce odzywa się Vicki? Czy Vicki będzie miała plany na wieczór?

Pod koniec pierwszego tygodnia Sydney wyciąga farby. Kiedy Julie rysowała, ona czytała książki o sztuce. Musiała pojechać drugi raz do Portsmouth po materiały, o których wcześniej nie wiedziała, że będą potrzebne. Terpentyna. Olej lniany. Kalka kreślarska. Sydney najlepiej, jak umie, wyjaśnia Julie ideę obrazu olejnego: gruntowanie płótna, malowanie tła, cierpliwość konieczna podczas wysychania farby. Powtarza jak papuga tekst z książki.

Julie szkicuje na płótnie trzy gruszki. Sydney odkrywa, że kształty gruszek są seksualne - fakt, nad którym wcześniej się nie zastanawiała. Nie potrafi powiedzieć, jaką część anatomii męskiej lub żeńskiej przypominają, ale są jednoznaczne w swej sugestywności. Zastanawia się, czy ta cecha pociąga Julie. Zastanawia się też, czy jej uczennica zdaje sobie z tego sprawę.

Dziewczyna ostrożnie traktuje farby i rezultaty nie są zaskakujące. Cierpliwość za to nie będzie stanowiła problemu. Julie odznacza się cierpliwością mnicha iluminującego

manuskrypt. Sydney obserwuje, jak dziewczyna nakłada ochrową farbę na zielone tło, a potem zostawia swoją podopieczną i idzie na lunch. Albo na spacer w deszczu. Kiedy wraca, Julie wciąż pracuje nad tym samym fragmentem płótna, nad którym pracowała przed trzema godzinami.

Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z obecności Sydney. Nie je, dopóki ta nie stawia przed nią talerza i nie szturcha jej w łokieć. Może, myśli Sydney, Julie słabo radziła sobie w szkole, ponieważ zbyt wiele wymagano od niej naraz. Może powinna wykonywać jedną czynność przez wiele tygodni? Ta myśl wydaje się Sydney obserwującej Julie zdrową polityką edukacyjną.

Pani Edwards tego nie pochwała.

-Wszystko to pięknie, ładnie, ale co z egzaminami? Powiedziałam wyraźnie, że Julie codziennie przez dwie godziny ma się uczyć matematyki.

Później Sydney słyszy, jak pani Edwards dyskutuje z mężem; nie rozróżnia wprawdzie słów, ale ton jest jednoznaczny. Mark Edwards bierze na siebie całą winę. Jego nie można zwolnić.

Sydney notuje w myślach, by nigdy nie zaczynać zdania od słów: „powiedziałam wyraźnie”.

Mijają dni. Dwa tygodnie wydają się ciągnąć bez końca. Domownicy dowiadują się z „Boston Globe”, że prognozy nie są dobre, pogoda się nie poprawi. Kolejny sztorm zbliża się do wybrzeża.

- Och, na litość boską - wzdycha pani Edwards.

Pewnego wieczoru matka, ojciec i córka idą z przyjaciółmi na kolację. Sydney także zaproszono, ale się wymówiła, jako powód podając wirus, który „krąży po okolicy”. Pan Edwards dziwnie na nią spogląda.

— Cóż, jeśli zgłodniejesz, w lodówce są krewetki - mówi pani Edwards.

- Och, proszę nawet nie wspominać o jedzeniu - odpowiada Sydney, kładąc dłoń na brzuchu.

Po ich wyjściu Sydney leniwie krąży po domu. Wchodzi do pokoi, do których jej nie zapraszano. Wydaje się to rzeczą konieczną, jeśli ma zrozumieć rodzinę, z którą mieszka. A może po prostu jest ciekawska.

Na piętrze znajduje się długi korytarz z wieloma sypialniami. Sydney najpierw otwiera drzwi do sypialni chłopców. Stoją tam trzy łóżka, dwa z jednej strony okna, trzecie z drugiej. Kraciasta pościel pochodzi z czasów, kiedy Sydney chyba nie było na świecie. Na podłodze leżą arkusze papieru do pakowania i rolka taśmy klejącej. Na oparciu łóżek wiszą rozmaite czapki baseballowe, większość Red Soksów, jedna z prywatnej szkoły na zachód od Bostonu. Sydney wyobraża sobie Jeffa, Victorię i Bena śpiących jak dzieci w trzech identycznych łóżkach. Zastanawia się, które łóżko należało do Jeffa.

Pokoje gościnne w uśpieniu czekają na swoich mieszkańców. Na ścianach wiszą hafty, widać próby współczesnienia wystroju białą pościelą, ale tu i tam przeziera ją poprzednie wcielenia. Klonowa toaletka z lustrem. Pluszowy abażur. Czerwono-brązowa szydełkowana narzuta rzucona na drewniane krzesło.

Sydney zna pokój Julie niemal tak dobrze jak własny, ale nigdy nie przekroczyła progu sypialni Edwardsów, która znajduje się na końcu holu. Z szacunku do gospodarzy waha się, nim leciutko uchyla drzwi. Potem wierzchem dłoni popycha je mocniej. Przewyciężywszy skrupuły, wchodzi do środka.

Zaskakuje ją małżeńskie łóżko: jest niewiele większe od pojedynczego. Edwardsowie są ludźmi sporej postury.

Niemożliwe, by nie dotykali się na takim małym pościelaniu.

Narożny pokój ma kilka okien. Pod jednym stoi biurko zavalone rzeczami należącymi do mężczyzny, jak sądzi Sydney. Są tam rachunki, ceramiczny kubek z ołówkami, metalowa taśma do mierzenia, spore brązowe radio, starsze chyba od Sydney. Podchodzi do biurka i przygląda się stojącemu na nim zdjęciu, które przedstawia młodą smukłą kobietę z długimi jasnymi włosami, ubraną w jednoczęściowy kostium kąpielowy. Szczupły mężczyzna obejmuje ją od tyłu i z uśmiechem muska ustami jej ramię. Kobieta jest oszałamiająco piękna i mocno opalona, oczy ma zwrócone na mężczyznę. Jeśli Sydney ciekawiło, z jakich powodów Edwards ożenił się z panią Edwards, znajduje odpowiedź w spojrzeniu, które wymieniają kobieta i mężczyzna na zdjęciu.

Pod ścianą stoi komoda, która może należeć tylko do pani Edwards. Jest na niej pleksiglasowy pojemnik z kosmetykami: krem nawilżający, opakowanie z drogim podkładem, długie tubki błyszczącej szminki. Sydney rozpoznaje marki. Na mahoniowym blacie leżą rozrzucone bananowe kłamry do włosów i jaskrawoniebieskie wąłki. Na skraju stoi pusta butelka po wodzie Poland Spring.

Młoda kobieta zauważa inne przedmioty w pokoju: wieszak, na którym pan Edwards zostawił koszulę, plastikowy kosz z nieposkiadany praniem, zdjęcie trojga dzieci upozowanych na tle oceanu, ale to małżeńskie łóżko raz po raz przyciąga wzrok Sydney. Dochodzi do wniosku, że jednak nie jest podwójne - po prostu duże pojedyncze - a przecież w tym pokoju zmieściłoby się dwa razy większe. Fakt, że Edwardsowie spiąją w takim małym łóżku, dezorientuje ją, burzy przyjęte z góry założenia.

Jeff przyjeżdża wczesnym piątkowym popołudniem w weekend, od którego bracia mieli rozpocząć urlop. Matka na jego widok wydaje okrzyk zdziwienia. Sydney, która czytała w salonie, wstaje, by zobaczyć powód zamieszania. Patrzy, jak Jeff otrząsa się z wody na końcu mrocznego holu, stawia na ziemi płócienną torbę i wiesza na haczyku przy drzwiach wiatrówkę. Włosy ma zmierzwił oceanicznym powietrzem i wiatrem, jakby przyszedł pieszo z dworca autobusowego. Nic nie wskazuje na to, że dostrzegł Sydney, i rusza prosto do kuchni.

Sydney zmienia pozycję tak, by przez otwarte drzwi mogła patrzeć na ruchomy obraz tworzony przez matkę, ojca i syna. Pani Edwards przyciska dłoń do ust i odwraca się w stronę zlewu. Jej mąż stoi z rękami w kieszeniach, wolno kiwając głową. Sydney próbuje odgadnąć, jakie wieści przywiózł Jeff. O śmierci przyjaciela? O zwolnieniu z pracy? O przyłapaniu na plagiacie?

Po jakimś czasie Jeff opuszcza kuchnię. Zarzuca na ramię torbę, a kiedy się odwraca, widzi stojącą w holu Sydney. Nie wita się, ale idzie prosto ku niej. Kołnierzyk koszuli ma przemoczony, na twarzy zarost. Jego milczenie wprawia ją w zdenerwowanie.

- Cześć - mówi.

- Cześć - odpowiada Jeff.

Sydney szuka w myślach pytania. Wykorzystuje imię osoby, o której wie, że jest bliska Jeffowi.

- Gdzie Vicki?

Jeff nie od razu odpowiada. Sydney świadoma jest jego wzroku, ale nie potrafi spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie mam pojęcia - mówi wreszcie.

Sydney wychodzi na ganek i siada na tekowym leżaku. Za markizą widać zasłoną deszczu, szarą tafłę oceanu znaczą blizny po kroplach. Jakiś mężczyzna łowi ryby na

plaży, dość blisko domu. Czy to dobra pora na wędkowanie?, zastanawia się Sydney. Jaka zdobycz warta jest wychodzenia w taką ulewę? Bass morski? Tasergal?

Splata ramiona na piersiach, próbując się ogrzać. Przydałaby się ciepła kurtka.

Kilka minut wcześniej pani Edwards podeszła do siatkowych drzwi, wyjrzała i wróciła do domu. Julie z pewnością jest na piętrze i maluje gruszki. Czy Ben o wszystkim wie? Musi wiedzieć, jako że bracia mieli przyjechać z Vicki. Sydney jest pewna, że taki był plan.

Słyszy, jak drzwi siatkowe otwierają się, a potem z trzaskiem zamykają. Jeff zapina wiatrówkę pod szyją i siada na krześle obok.

Wziął już prysznic i ogolił się.

- Co u ciebie? - pyta.

- W porządku - odpowiada Sydney.

Jeff odwraca wzrok, a potem znowu na nią spogląda.

- Pytałaś o Vicki.

Sydney czeka.

- By użyć powszechnie stosowanego zwrotu, robimy sobie przerwę.

-Jak długa?

- Długa. - Twarz Jeffa w szarym świetle jest blada.

- Czy decyzja zapadła za obustronną zgodą? - pyta Sydney.

- Niezupełnie.

Jeff opiera łokcie na kolanach i bacznie przygląda się jej twarzy, jakby wpłaciwszy sowitą zaliczkę na biżuterię, pragnął lepiej obejrzeć swój nabytek.

- Przecież musisz wiedzieć, o co tu chodzi - mówi cicho.

Sydney nie może powiedzieć na głos rzeczy oczywistych. Urzeczywistnienie myśli, pragnienia jest zdumie-

wającym aktem natury fizycznej. Jak błyskawica na wodzie. Jak lot.

Jeff przesuwa palcem od kolana Sydney do mankietu jej szortów; to jego pierwszy świadomy dotyk. Dotyk jednoznaczny, który mówi wszystko, co trzeba powiedzieć, na wypadek gdyby Sydney nie słuchała.

Nie wyobrażała sobie, że nastąpi to tak szybko, że Jeff nie będzie miał żadnych wątpliwości. Odruchowo cofa nogę.

- Może wciąż jesteś pogrążona w żałobie - mówi Jeff.
- Zaczynam zapominać.
- Więc... o co chodzi?
- Kiedy się zorientowałaś?

Jeff chwilę się zastanawia.

- Tamtego dnia na ganku - mówi, zaraz jednak koryguje swoje słowa. - Nie, wtedy, kiedy pływałaś na falach i wyszłaś z wody. Świetnie się bawiłaś. Sprawiałaś wrażenie całkowicie rozluźnionej.

Sydney zastanawia się: czy takie rzeczy są możliwe? Spojrzeć na kogoś i od razu wiedzieć? Przedrzeć się przez wszystkie obronne warstwy i wiedzieć?

- Trudno w to uwierzyć - mówi. Próbuje się uśmiechnąć, nadać swoim słowom lekkie brzmienie.

-Widzę to teraz, z perspektywy czasu. Nie mogę stwierdzić, że wiedziałem już w tamtym momencie.

- Miałaś się zaręczyć - zauważa Sydney.

Jeff opiera się o poręcz krzesła.

- Wiedziałem, gdy nie powiedziałem jej o Julie. Wydawało mi się to naturalne, jakbym w ciągu tych godzin, kiedy szukałem z tobą Julie po miasteczku, przeszedł z jednego życia do drugiego. Jeśli nawet wcześniej miałem wątpliwości, wtedy wszystkie się rozwiały.

-Więc po powrocie do Bostonu powiedziałeś jej? - pyta Sydney

- Coś w tym rodzaju.

- Była zła? Smutna?

Jeff spogląda ponad balustradą na ocean.

- Raczej urażona. Zirytowana, że to ja ją uprzedziłem. Powiedziała mi o tym w czasie kłótni. Też miała wątpliwości. Propozycje, o których nie wiedziałem. Choć naturalnie pozostała wobec mnie lojalna. Wyraźnie to podkreśliła.

- Nie wspomniałeś...?

- O tobie? Nie. Nie uwierzyłyby.

Ta myśl rani. Vicki nie uwierzyłyby Jeffowi, ponieważ Sydney jest o wiele mniej od niej atrakcyjna? A może chodziło mu o to, że nikt by nie uwierzył, iż tak wiele opiera się na tak kruchych podstawach? Istotnie, Sydney także nie potrafi w to uwierzyć.

- Nie chciałem cię w to wplątywać - wyjaśnia Jeff. - Nie chciałem wymieniać twojego imienia, chociaż od tamtego czasu często je powtarzałem. Niekiedy na głos. - Śmieje się, jakby na wspomnienie swojego zachowania.

Sydney próbuje to sobie wyobrazić. Jeff jest w mieszkaniu, które ona musi sobie wymyślić, i powtarza jej imię, gotując jajka. Jeff stoi w korku na Central Square i mówi jej imię do okna.

Jak bardzo ją wyprzedził.

Jeff odsuwa kosmyk włosów z jej czoła.

- Ben będzie wściekły - mówi. Pochyla się, by ją pocałować.

Pocałunek zaskakuje Sydney, Jeff trafia w kącik jej ust. Kiedy się odsuwa, Sydney czuje się przytłoczona i nie może na niego spojrzeć.

Nagłe rozdarcie w gęstych chmurach rozjaśnia dzień. Sydney nie zauważyła, że deszcz przestał padać. Ganek staje się miejscem mniej intymnym, jest narażony na wtargnięcie intruzów.

- Jak się miewa Julie? - pyta Jeff, znowu opierając się o poręcz krzesła.

-Julie?

Sydney nie od razu zbiera myśli, wciąż drży, zaskoczona pocałunkiem.

- Julie czuje się świetnie.

-Naprawdę?

Jest dezorientowana. Czy przed chwilą Jeff nie powiedział jej, że zerwał z Victorią, żeby być z nią?

- Maluje - wyjaśnia Sydney.

- Maluje obrazy?

-Tak.

- Jak do tego doszło? - Jeff wydaje się niezwykle spokojny. Czy on też nie powinien być choć trochę zdenerwowany?

- Zastępuję matematykę plastyką. - Sydney z przeciągłym westchnieniem układa się na leżaku. Splata dłonie.

- Julie ma niezwykłą zdolność do koncentrowania się na jednym zadaniu.

- Musiała "odziedziczyć to po tacie - zauważa Jeff, kiwając głową.

- Nic nie wiem o sztuce - ciągnie Sydney. - Zatrudniono mnie, żebym pomogła jej w angielskim i matematyce.

- To bez znaczenia.

- Powiedziałam twojemu ojcu.

Teraz to Jeff nie od razu rozumie.

- O tamtej nocy?

- Czułam, że powinien o tym wiedzieć. Powiedziałam mu na osobności. Twojej matki wtedy nie było w domu. Sprawiał wrażenie, że go to zasmuciło.

Jeff gwizdże.

- Założę się, że tak.

- Wydaje mi się, że rozmawiał z Julie. Następnego dnia wieczorem widziałam, jak wychodził z jej pokoju. Wyglądał na poruszonego.

- Julie coś mówiła?

- Nie mnie.

Jeff patrzy w przestrzeń, jakby próbował wyobrazić sobie scenę pomiędzy Julie i ojcem.

- Czy przyjechałeś, bo ktoś ma urodziny? - pyta Sydney.

- Ojciec.

Sydney rozluźnia dłonie.

- Kiedy?

- Jutro, ale dzisiaj będzie przyjęcie.

- Szkoda, że mnie nie uprzedzono.

Jeff przechyla głowę.

- Nikt nie oczekuje, że dasz mu prezent.

- Ale chcę. Bardzo go lubię.

- Wiem o tym - odpowiada z uśmiechem. Kładzie dłonie na kolanach. - Chyba pójdę na kajak - mówi. - Chcesz iść ze mną?

Sydney usiłuje mu odpowiedzieć, ale nie potrafi.

- Zdenerwowałem cię.

- Ja...

Jeff czeka.

-Ty..?

Sydney przygląda się Jeffowi, mężczyźnie, którego ledwo zna. Jeff znowu się nachyla i znowu ją całuje. Tym razem jego usta nie chybają. Sydney czuje, jak staje się coraz lżejsza, tak lekka, że mogłaby unieść się w powietrze.

Potem z leżaka obserwuje morze. Jeff, najpierw w kamizelce ratunkowej, a potem w kajaku, pojawia się w polu jej widzenia. Nie odprowadza go wzrokiem. Myśli, że będzie czas, mnóstwo cudownego czasu.

W myślach odtwarza dotyk jego palców. Pierwszy pocałunek. Drugi. Nieznaczne doznanie - słabe poruszenie w podbrzuszu, znajome i nie do końca zapomniane - sprawia, że Sydney się uśmiecha.

Chwilowe przebłyski jedwabistego błękitu w chmurach nie obiecują pogodnego weekendu. Meteorolodzy przemówili. Będzie lato do poniedziałku.

Sydney zastanawia się, czy Julie wie już o Victorii. Wątpi, by dziewczynę ta wiadomość zasmuciła. Zgaduje, że Mark Edwards wycofał się do ogrodu różanego, i nie chodzi o to, że źle przyjął zerwanie Jeffa z Victorią, tylko o to, że źle przyjęła tę wiadomość jego żona. Gdyby pozostał w domu, musiałby wziąć na siebie impet jej gniewu.

Smuga promieni słonecznych pada ukośnie na ocean. Sydney dostrzega w niej cząsteczki i fragmenty, materię tworzącą atmosferę. Przez chwilę morze wibruje kolorami. Mewa, jak błyskawica przecinająca niebo, nabiera odcienia koralowego. Sydney siada prosto - każdy by tak zrobił - podziwiając tę sztuczkę światła. Pragnie, by ten widok trwał dłużej, choć wie, że to niemożliwe. Pragnie, by Jeff pojawił się w smudze koloru. Nie robi tego, już dawno zniknął za odległymi skałami.

Deszcz bije w okno na piętrze. Sydney podpisuje kartkę urodzinową i wkłada do małej torebki z brązowego papieru, która zawiera jej prezent dla Edwardsa: kilka opakowań czerwonych, ciągnących się cukierków tak słodkich, że bołą ją od nich zęby, ale wie, że solenizant bardzo je lubi. Prezent jest skromny, ale zawsze to coś.

Paznokciem kciuka precyzyjnie odtwarza drogę, jaką palec Jeffa przebiegł po jej udzie.

Wykapie się, pomaluje paznokcie. Włoży długą koronkową spódnicę i bluzkę z czarnego jedwabiu, strój, który zachowywała na wyjątkowe okazje - idealny na przyjęcie urodzinowe.

Ale Jeff będzie wiedział, dlaczego ubrała się tak starannie, Ben będzie wiedział. Pani Edwards też będzie wiedziała.

Kroki na ganku rozlegają się w całym domu. Słychać szcęk metalu o metal, gdy patelnia uderza o palnik. Sydney nie potrafi określić, czy w tym dźwięku jest gniew, czy też nie. Pani Edwards szykuje na dzisiaj czarne muszle świętego Jakuba, ulubione danie jej męża. Jutro wieczorem miało się odbyć następne przyjęcie, nie dla głowy rodziny, lecz na cześć syna i jego narzeczonej. Co teraz będzie z tym przyjęciem?

Schodząc na dół, Sydney słyszy głosy przy frontowych drzwiach, obce głosy, z czego się cieszy. Inni ludzie są dla niej buforem. Najpierw rozlega się głos Bena (kiedy przyjechał?), potem szczere powitanie wygłoszone przez gospodarza. „Nie trzeba było”. Z kuchni dochodzi niedwuznacznie agresywny warkot miksera. Pani Edwards robi ciasto z likieru Kahlua i półsłodkich czekoladowych czipsów.

Sydney kładzie obok siebie brązową torebkę z cukierkami. Przyjmuje wygodniejszą pozycję. Jeff otwiera siatkowe drzwi i przecina salon, kierując się na górę, żeby wziąć prysznic. Jest spóźniony, idzie energicznym krokiem. Wygląda jak człowiek, który intensywnie stawiał czoło żywiołom: policzki ma zaczerwienione, włosy przyklejone do głowy, stopy mokre. Koło Sydney przystaje i mówi zwyczajnym tonem, jakby był po prostu synem gospodarza, który komplementuje przyjaciółkę:

- Ładnie wyglądasz.

Omija Sydney i biegnie, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Sydney uświadamia sobie, że nie będzie żadnych zasad. Żadnych zasad, ale przypuszczalnie mnóstwo niespodzianek.

Usta pani Edwards zaciskają się w wąską kreskę. Pani domu wciąż ma na sobie fartuszek, co wyraźnie wskazuje na jej stan emocjonalny. Goście, starzy przyjaciele, muszą wyczuwać, że coś jest nie tak, ale wydają się tylko nieznacznie poruszeni panującym między małżonkami chłodem. Może w kręgu towarzyskim Edwardsów mąż i żona często nie odzywają się do siebie w czasie przyjęć.

Ponieważ ze względu na pogodę drinki nie mogą być serwowane na ganku, goście i domownicy siadają na białych sofach. Sofy zezwalają na dwie pozycje: wygodne usadowienie się albo przycupnięcie na skraju. Dzisiaj wieczorem wszyscy wybierają tę drugą możliwość, nawet Ben, który zwykle ostentacyjnie szuka komfortu. Sydney siada na brzeжку drewnianego krzesła; w ten szczególnie wieczór nie ma prawa do żadnej wygody. Julie siedzi na pufie z kolanami przy brodzie i pije dietetyczną colę. Od czasu do czasu uśmiecha się i nieśmiało zerka na Sydney.

Artystka w natchnieniu, myśli Sydney. W ekstazie.

Jeff schodzi ubrany w granatową koszulkę polo w paski i szorty khaki. Przyrządza sobie dżin z tonikiem, po czym siada obok matki: świadome posunięcie mające na celu ugłaskanie jej.

Wydaje się, że Ben, który mierzy Sydney wzrokiem znad szklaneczki, zauważył, iż ona świadomie odwraca oczy od Jeffa. Ale któż wie, co Ben zauważa, a czego nie? Jego spojrzenie może po prostu wyrażać podziw, jako że

Sydney ubrała się dzisiaj z większą starannością niż zwykle. Spódnica. Bluzka. Włosy zebrane z tyłu w luźny węzeł.

- Otwórz prezenty! - woła Julie.

- Och, nie trzeba było - powtarza pan Edwards.

Sydney cieszy się z tej przerwy i po raz pierwszy zanurza się w atmosferze wieczoru. Upija wielki łyk i z niejakim zdziwieniem stwierdza, że to też jest dżin. Kto podał jej szklaneczkę? Nie potrafi sobie przypomnieć. Wzięła cudzą?

Pan Edwards ze zdenerwowania albo gorliwości przy zrywaniu papieru przypadkiem rozdziera obwolutę wielkiego albumu o malarstwie marynistycznym. Mówi: „Ojej”, i raz po raz przeprasza. Książka jest prezentem od żony, która patrzy w sufit. Solenizant wygładza krawędzie rozdartej obwoluty i zapewnia, że ją skleji. Więcej, zrobi to tak, że nikt nie zauważy szkody. Dodaje, że tę książkę od jakiegoś czasu miał na oku i cmoka żonę w policzek. Pani Edwards ze względu na obecność gości uśmiecha się.

Julie, co nie jest zaskoczeniem, daje ojcu rysunek gruszek. Obdarowany albo szczerze podziwia obrazek, albo tak przekonująco udaje.

- Oprawię go - mówi.

Julie wstaje i obejmuje ojca. Przytuła się mocno i przez chwilę Mark Edwards, wyraźnie wzruszony, zamyka oczy.

Ben i Jeff mają dla ojca wspólny upominek: nowoczesne urządzenie nawigacyjne do motorówki. Ben zajmuje się napełnianiem szklaneczek gości. Pani Edwards dostrzega fartuszek i zdejmuje go. Wyciąga szyję, chcąc spojrzeć na zegar. Julie zrywa się z pufy, by zanurzyć krewetkę w koktajlowym sosie. Układ pokoju jest taki, że przekąski mogą stać tylko przy jednej sofie. Sydney z nie-

wiadomego powodu jest strasznie głodna, ale nie może zaufać swoim nogom.

- A to taki drobiazg - mówi, wręczając papierową torebkę solenizantowi.

Pani Edwards pośpiesznym ruchem unosi brwi, co jest komentarzem albo do opakowania, albo do przekonania Sydney, że powinna przynieść jakiś prezent. Obdarowany wyjmuje z torebki czerwone cukierki w kształcie homarów.

- Och, ona zna moje słabości - mówi z uśmiechem.

Podczas kolacji Ben oznajmia, że dokonał wielkiej transakcji: sprzedał apartamentowiec z sześcioma lokalami firmie ubezpieczeniowej zamierzającej przeznaczyć go dla przyjezdnych członków zarządu. Sydney wyobraża sobie, iż takim samym tonem chłopiec mówi mamie i tacie, że został przyjęty do drużyny futbolowej college'u. Zastanawia się, czy Jeff w podobny sposób informował rodzinę o swoich sukcesach. Co to było? Najlepsze oceny z egzaminu? Wybór na prezesa klubu dyskusyjnego?

Sydney pojęła już, że życie rodziny Edwardsów koncentruje się wieczorami przy stole. To wtedy ogłasza się triumfy, przedstawia poglądy polityczne, opowiada kłamstwa, a od czasu do czasu ujawnia prawdę.

Patrzy na Jeffa, który chyba dostrzega nagły jej ruch, bo kieruje na nią wzrok. Uśmiecha się, wywołując w Sydney uczucie zbliżone do paniki. Czy ktoś widział jego uśmiech? Pani Edwards? Ben?

- Mieliśmy nadzieję, że Vicki Beacon przyjedzie na tę kolację - mówi pani Edwards.

Widelec Jeffa zawisa w połowie drogi. Jeff czeka na dalszy ciąg. Sydney też czeka na dalszy ciąg.

Ben, jak zawsze pomocny, wyjaśnia gościom, że Jeff i Vicki byli parą, ale zerwali. Coś w jego tonie - nie jest to właściwie sarkazm - intryguje Sydney.

- Znamy Vicki - odzywa się jedna z kobiet. Sydney przypomina sobie, że Victoria przez lata należała do tej nadbrzeżnej wakacyjnej społeczności. - Taka słodka dziewczyna.

Ben z uśmiechem potakuje. Sydney zadaje sobie pytanie, czy on nie ma zamiaru zadzwonić do Vicki.

Rozprawiając się z kwestią Victorii Beacon, pani Edwards próbuje dostosować się do sytuacji. Żartuje z wieku męża, mówi, że przygotowała jego ulubiony deser. Solenizant rumieni się na myśl o przyjemności.

Sydney postanawia wykorzystać rzadki objaw dobrego humoru pracodawczyni i proponuje swoje towarzystwo na jedną ze sławetnych wypraw do Emporii. Ale pani Edwards nie jest głupia. Przejrzyj jej zamysł na wylot.

Kiedy pani Edwards przynosi tort, jest on koślawy, jakby piekarnik stał na nierównej powierzchni. Dołożono wisiłków, by uzupełnić lukę zastygłym kremem czekoladowym *ganache*. Edwards zamyka oczy niczym dziecko wypowiadające życzenie. Goście klaszczą, kiedy wszystkie świece gasną jednocześnie. Dym z sześćdziesięciu ośmiu knotów unosi się nad stołem. Sydney zastanawia się, czego życzył sobie Mark Edwards. Zdrowia dla całej rodziny? Bezpiecznej przystani dla Julie? Roku wzajemnej dobrej woli w małżeństwie?

Deser jest zaskakująco pyszny, o wilgotnej konsystencji, a *ganache* ma smak drogiej gorzkiej czekolady. Sydney komplementuje panią Edwards i pochłania swój kawałek. Kiedy pada propozycja dodatkki, podstawia swój talerz. Po drugiej stronie stołu Jeff uśmiecha się i z podziwem mówi:

- Dziewczyna ma apetyt.

Po włożeniu naczyń do zmywarki (z Edwardsem i Benem, który nigdy nie oferował pomocy przy zmywaniu)

Sydney zdejmuje z haczyka granatowy płaszcz przeciwdeszczowy i bierze latarkę.

Idzie szybko plażą, mokra spódnica przywiera jej do nóg. Za wielki kaptur chroni jej twarz przed deszczem. Widzi, że domy znowu spróbowały swojej starej sztuczki i odsunęły się od brzegu, co czynią każdego wieczoru.

Po jednej stronie ma wodę, po drugiej wał. Przypomina sobie, że może zabłądzić.

Na horyzoncie widać światła. Barka? Statek wycieczkowy? Czy to, co przed chwilą słyszała, to był grzmot? Sydney przez całe życie obawia się błyskawic bez żadnego konkretnego powodu, poza tym, że błyskawic bała się jej matka. Siedziały z matką w samym środku holu; matka nalegała, by Sydney z nią pozostała. „Najbezpieczniejsze miejsce w domu”, powtarzała i wypalała dwa, trzy papierosy, zanim pozwoliła córce odejść. Ojciec obserwował widok z ganku.

Jeff dogania ją bezszelestnie. Kiedy zdziwiona Sydney się odwraca, wkłada dłonie pod jej kaptur. Włosy ma wilgotne i sklezione. Biegł.

- To może być pomyłka - mówi Sydney.

Jeff całuje ją, usta ma mokre od deszczu.

Sydney udaje się wypowiedzieć jego imię.

Jeff odnajduje suwak pod jej brodą i rozpina go. Dłonie ma zimne i Sydney drży.

Jest zdecydowany. Wrażenia, których Sydney nie doświadczała przez ponad dwa lata, zaskakują ją, a potem zdumiewają. Budzą się wspomnienia i pożądanie, jedno rywalizuje z drugim, tak że w rezultacie wydaje się, iż żaloba po Danielu osiąga swój szczyt, gdy jej ciało reaguje na pieszczoty Jeffa. Kiedy Jeff w nią wchodzi, doznania seksualne zwyciężają. Jest w tym pewna ulga: Sydney zdaje sobie sprawę, że zostawia Daniela, teraz liczy się tylko Jeff. To on staje się wszystkim.

Znajdują schronienie na podłodze opuszczonej altany i kładą się w samym jej środku, by nie padał na nich deszcz. Mijają minuty. Godziny. Co pewien czas Sydney uświadamia sobie, że tuż za nimi rozciąga się ocean.

- Która godzina? - pyta Sydney.

Jeff spogląda na zegarek, ale nie potrafi odczytać cyfr. Sydney szuka latarki i zapala ją, kierując promień światła na tarczę.

- Czwarta czterdzieści pięć — mówi Jeff.

- Wszyscy na pewno już się położyli. Mogę usmażyć ci jajka.

Sydney widzi siebie i Jeffa w kuchni: ona stoi przy patelni z łyżką w dłoni, on siedzi przy stole. Pali się jedna mała lampka, wokoło zalegają cienie. Przy lepszej pogodzie będą jadać na ganku. Chodzić na spacer i oglądać wschód słońca. Popołudniami, kiedy domownicy znajdują się gdzie indziej, oboje będą drzemać w jej łóżku.

Gożąca kąpiel byłaby cudowna, myśli Sydney.

Ze względu na zimno nie rozebrali się. Czarna bluzka Sydney powędrowała w górę, odsłaniając piersi. Jeff ściga ją wolną dłonią.

- Utrata męża musiała być ciężkim przeżyciem - mówi łagodnie.

- To prawda.

Jeff odgarnia włosy z twarzy Sydney.

- Przykro mi.

- Teraz jest lepiej.

- Czas?

-Tak.

-Jaki on był?

Zaskakuje ją to pytanie.

- Inteligentny i dowcipny. I cierpliwy. Myślę, że byłby z niego doskonały wykładowca. Wiesz, w klinice.

Jeff spogląda w bok.

- Był przystojny? - pyta po chwili.

- Tak - mówi Sydney szczerze.

Wydaje się, że Jeff zastanawia się nad jej odpowiedzią.

- Masz zdjęcie?

- Tak, w pokoju. Chcesz zobaczyć?

Jeff pogrąża się w zadumie.

- Nie wiem - oświadcza wreszcie - chyba nie.

Przesuwa palcem po jej ramieniu.

- Twoja matka mnie nie lubi - zauważa Sydney.

- Wiem.

- Będzie przekonana, że ponoszę winę za twoje rozstanie z Victorią.

- Bo to prawda. - Jeff całuje ją, kładąc dłoń na jej talii.

- Nigdy jej się nie podobało, że jestem w połowie Żydówką. Teraz będzie myślała o tym z nienawiścią.

Jeff milczy.

- Tobie to przeszkadza? - pyta Sydney.

Całuje ją w ramię i Sydney myśli o fotografii w sypialni Edwardsów.

- Przeszkadza, ale bardziej jako abstrakt niż rzeczywistość. Wolałbym myśleć, że moja matka nie jest taka, ale niewiele mogę na to poradzić. Wiele lat temu odbyliśmy wszystkie kłótnie, jakie mogą prowadzić syn z matką. Po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie jej zmienić.

- Powinnam chyba stąd wyjechać.

- Jeśli wyjedziesz, pojedę za tobą. I gdzie się wtedy znajdziemy? W moim zapuszczonym mieszkaniu w Cambridge? - Obejmuje Sydney i przyciąga do siebie.

- Już uwielbiam twoje zapuszczone mieszkanie w Cambridge.

- Nie bądź taka pewna.

Później Jeff pomaga jej wstać. Sydney czuje, jak bez dotyku jego ciepłej dłoni przenika ją ziąb. Jeff zapina zamk błyskawiczny jej płaszcza pod samą brodę. Bierze ją za rękę i prowadzi na piasek. Boso, z butami w dłoniach, ruszają w kierunku domu.

Zaskoczona Sydney widzi, że w domu wciąż pali się światło. Kiedy wchodzi na ganek, usta ma zmarznięte. Nie może nimi poruszać. Chciałaby powiedzieć Jeffowi coś, co oddałoby znaczenie aktu dokonanego na plaży, ale jej myśli są niemal tak samo sztywne jak usta.

Przekroczywszy próg domu, Jeff się waha. W kuchni pali się światło. Za plecami Jeffa Sydney widzi Bena siedzącego przy stole. Przerzucił się z dżinu na bourbon, obok niego stoi w połowie opróżniona butelka Maker's Mark.

Jeff i Sydney wchodzi do kuchni, mrużąc oczy, choć tylko jedna lampa rozprasza mrok pomieszczenia. Mają wrażenie, że ich przyłapano i wezwano do raportu. Że zostaną poddani przesłuchaniu. Ben przygląda im się w milczeniu. Sydney dostrzega, że jest bardzo pijany. Widać to w jego twarzy, rozlanych rysach.

- Julie odeszła - mówi Ben.

Julie odeszła - powtarza Ben; w uniesionej dłoni trzyma list. Kipi ze złości, jego przystojną twarz wykrzywia gniew, gdy popycha po blacie w kierunku brata wyrwaną z zeszytu kartkę. Jeff wyciera z czoła słone krople deszczu i czyta list.

*Przepraszam ale dobrze sie czuje. Wyjechałam Jade na małą wycieczkę z kimś kogo nie znacie nic znaliście. To tylko krótka wycieczka wakacje na kilka dni. Niedługo do was zadzwonię. Nie martwcie sie bo dobrze się czuje
UMNIE WSZYSTKO OKAY! (Dziękuję Sidney.)*

- Nie ma jej? Wyjechała?

Jeff, w najlepszym razie błądy, sprawia wrażenie, jakby opuściła go cała życiowa energia, widoczna wcześniej w takim nadmiarze.

- Na to wygląda.

- Gdzie są rodzice?

- Na posterunku policji.

- Nie wzięli listu?

- Policja już tu była.

Sydney zauważa dwa kubki z łyżeczkami, dzbanuszek ze śmietaną i cukiernicę. Nikt z rodziny Edwardsów nie pije kawy z cukrem i śmietanką.

- Przyjechali i pojechali - mówi Ben, strzelając palcami. - Julie ma osiemnaście lat, a wszystko wskazuje na to, że wyjechała z własnej woli. Radzili, żeby poczekać do rana, przypuszczalnie zadzwoni.

- Tata powiedział im, że ona jest...?

- Opóźniona? Tak, Jeff, powiedział im, że Julie jest opóźniona.

Gniew Bena znajduje ujście w sarkazmie, myśli Sydney, a to utrudni im dowiedzenie się, co Edwardsowie przekazali policji, a czego nie.

Jeff rzuca wiatrówkę w powietrze. Kurtka spada koło zlewu, gdzie ciekawski Tullus trąca ją nosem.

- Więc gdzieście byli? - pyta Ben obojętnie.

- To poważna sprawa - mówi Jeff.

- Takie odnoszę wrażenie - odpowiada Ben, rozmyślnie źle interpretując słowa brata.

Sydney siada przy stole i przysuwa do siebie list. Kiedy go czyta, coś świta jej w pamięci, ale zaraz niknie. Ponownie przesuwa wzrokiem po wersach, usiłując odtworzyć ową myśl, obraz. Zamyka oczy i próbuje się skupić.

- Gdzie to zostawiła? - pyta.

- Na swojej poduszce - odpowiada Ben. - Nikt niczego nie zauważył, dopóki nie zaczęliśmy jej szukać.

Jeff wsuwa palce we włosy gestem człowieka w rozpacz.

- Powinniśmy...

- Co, Jeff? - pyta Ben. - Wsiąść w samochód i szukać jej? A w jakim kierunku powinniśmy jechać? Na północ? Południe? Do Portsmouth? Do Bostonu?

Jeff opuszcza dłonie.

- Tata musi szaleć ze strachu.

- Tak sądzisz?

Ben huśta się na drewnianym krześle. W dłoni trzyma

szklaneczkę z bourbonem i sprawia wrażenie, że studiuje gładką powierzchnię alkoholu.

- Wiesz co, Jeff, bardzo dobry jesteś.

Jeff łapie wiszącą na drzwiach lodówki ścierkę, po czym wyciera twarz i włosy.

- Powiedziałeś Vicki kiedy, we wtorek wieczorem? Tak, we wtorek, bo w środę zadzwoniła do mnie do pracy. Czyli tak... dzisiaj jest sobota, więc był piątkowy wieczór, kiedy ty już... hmm... przywoździłeś, by tak to ująć, naszą Sydney.

„Ben będzie wściekły”, przypomina sobie Sydney.

- Zamknij się, Ben.

- Szybko działa - mówi Ben, odwracając się do niej. - Zawsze taki był. Jesteś pod wrażeniem? Powinnaś być pod wrażeniem.

- Wasza siostra zaginęła - przypomina im obu Sydney. Gdzieś tam, myśli, Julie jedzie samochodem, Julie je hamburgera albo się śmieje.

- Tak. Jesteśmy popierdoleni - przyznaje Ben. Siada prosto, nogi krzesła z hukiem uderzają w podłogę. Sydney wzdyga się, zarówno z powodu słowa, jak i hałasu.

Jeff rzuca ścierkę na granitowy blat.

- Jesteś pijany, Ben. Idź się położyć.

- Tak. Jesteśmy popierdoleni. Cała ta rodzina jest popierdolona.

Sydney czuje, że jej nogi oblepia mokra, zapiaszczona spódnica. Zsuwa płaszcz przeciwdeszczowy z ramion. Kiedy unosi wzrok, widzi, że Ben wpatruje się w jej bluzkę. Czyżby w ciemności źle zapięła guziki?

- Ciesz się, że Julie odeszła - oznajmia Ben, przenosząc wzrok na Jeffa. - Co za życie tu miała? Była jak w więzieniu. No tak, malowała. Wielka sprawa, cholera.

Och, i pracowała w różanym ogrodzie. Była więzieniem we własnym domu. Nigdy by się nie uwolniła.

„Myślę, że to mąż znajdzie ją”.

„Mam nadzieję, że nie za szybko”.

„Nie, nie za szybko”.

- Zastanówmy się nad tym - mówi Sydney.

- Ona teraz chce pomóc - wyjaśnia Ben bratu.

- To nie na miejscu - zauważa Jeff z dziwną uprzejmością naukowca.

- Nie na miejscu? Nie na miejscu? - Ben stawia szklankę na stole. - W takim razie zróbmy tak, żeby było na miejscu! - Pochyliła się na krześle. - Julie znika, a gdzie jest Sydney, jej nowa najlepsza przyjaciółka? Pieprzy się z moim bratem na piasku, oto gdzie.

Jednym szybkim ruchem Jeff podnosi stół i popycha na Bena. Ten cofa się, a stół bokiem pada na podłogę. Butelka Maker's Mark rozbija się u stóp Sydney, która patrzy, jak list Julie ląduje w kałuży bourbona. Schyla się i podnosi kartkę.

Jakby zwabiony hałasem, Mark Edwards otwiera drzwi kuchni i przepuszcza żonę.

-Co...?

Sydney zauważa, że tamci oboje mają czerwone oczy - albo z braku snu, albo od łez.

- Czy Julie wróciła? - pyta pan Edwards.

Bracia, przed minutą pełni nienawiści, błyskawicznie tworzą zespół. Sydney podejrzewa lata praktyki z dzieciństwa.

- Co powiedzieli na policji? - Jeff swoim pytaniem unieważnia pytanie ojca.

Pan Edwards wchodzi do kuchni.

- Do diabła, co się tu stało?

Przygarbiona pani Edwards przyciska do piersi torebkę.

- Potknąłem się - wyjaśnia Jeff. - Wpadłem na stół. Ben, podaj mi to pudełko, dobrze? Pozbieram szkło.

Sydney patrzy zdumiona, jak bracia działają ramię w ramię niczym ekipa sprzątająca, by usunąć ślady niedawnego zajścia. Podchodzi do blatu i łagodnie osusza list papierowym ręcznikiem.

Kiedy się odwraca, stół stoi na czterech nogach.

- Chyba powinniśmy usiąść - oznajmia Mark Edwards, przytrzymując się oparcia krzesła. Strach sprawia, że wydaje się jakby drobniejszy.

Krzesło jest za małe. Ben, który nagle wygląda na bardzo trzeźwego, opiera się o blat.

- Sydney - mówi Edwards. Od przyjęcia urodzinowego postarzał się o dziesięć lat. Życzył sobie zbyt wiele, kiedy zdmuchiwał świece? Rozgniewał bogów? To okrutne, że tak szybko zesłali na niego nieszczęście. - Wiem, że trudno pozbierać myśli, ale zastanów się. Czy Julie regularnie wychodziła z domu? Może spotykała się z kimś?

Sydney jest świadoma spojrzeń wszystkich czworga. Dla dobra Julie, dla dobra Marka Edwardsa pragnie wypowiedzieć się tak jasno i precyzyjnie, jak to możliwe.

- Nie przebywałam z nią przez cały czas - zaczyna. - Wychodziłam na spacer albo byłam u siebie w pokoju. Przypuszczam, że to możliwe, choć na pewno nie robiła tego regularnie. I nigdy na moich oczach.

- Myśl! - rozkazuje jej pani Edwards.

- Ona myśli - łagodzi polecenie pan Edwards, przykrywając dłonią pięść żony.

- Powinnaś była jej pilnować - rzuca gniewnie pani Edwards. - Za to ci płaciliśmy. - Wydaje się, iż jej twarz się zamyka, tworząc regularny kwadrat z wąskimi kreskami w miejscu ust i oczu.

- Mamo - mówi Ben.
- W każdej chwili? - pyta Jeff.
- Cóż, trudno mi uwierzyć, że moja córka nawiązała z kimś znajomość bez wiedzy Sydney.

Przez moment oskarżenie zawisa nad stołem - bez odpowiedzi, bez obrony - a za plecami obecnych barometr z brązu i drewna spokojnie odmierza ciśnienie atmosferyczne.

- Jednego nie rozumiem - odzywa się pan Edwards. - Dlaczego Julie nie powiedziała, że dokądś się wybiera? Po co ta cała tajemniczość?

- Ponieważ pojechałbyś po nią i przywiózł ją do domu - odpowiada Ben.

- Och, wolałbym nawet o tym nie myśleć - ciągnie ojciec Julie, ujmując głowę w dłonie - ale czy waszym zdaniem to możliwe, że zmuszono ją do napisania tego listu?

Sydney, która ma list przed sobą, czyta go ponownie. Litera w większości są rozmazane, ale znajomość treści umożliwia ich odcyfrowanie.

- To napisała Julie - zapewnia na głos. - Nie chodzi tylko o sam charakter pisma, ale w taki sposób ułożyłaby zdania. Tak by powiedziała. Świadczy o tym także błąd w moim imieniu.

- Więc znasz ją na tyle dobrze, by wiedzieć, jak napisałyby list - zauważa oskarżycielsko pani Edwards, rzucając słowami niczym frisbee nad stołem - ale nie znałaś jej dostatecznie, by wiedzieć, że planuje ucieczkę? - Gniew sprawia, że głowa jej się trzęsie.

Sydney podejmuje próbę wyjaśnień.

- Po pierwszym incydencie nie było najmniejszych powodów uważać...

-Jakim incydencie? - pyta pani Edwards, doskonały słuch nie zawodzi jej nawet w rozpaczy.

Zbyt późno Sydney przypomina sobie, że jej pracodawczyni nie wie o pijackiej eskapadzie Julie.

- Dwa tygodnie temu Julie wróciła do domu w nocy - wyjaśnia pośpiesznie Jeff. - Piła.

- Co piła?

- Nie wiemy dokładnie.

- Chcesz powiedzieć, że była pijana?

-Tak.

- Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

W kuchni zapada milczenie.

- Wszyscy wiedzieliście? - pyta pani Edwards, podnosząc głos. - Mark, wiedziałeś?

Edwards z ociąganiem patrzy żonie w oczy. Sydney widzi, jak wiele go to kosztuje.

- Tak, wiedziałem - przyznaje się. - Sydney powiedziała mi pewnego wieczoru, kiedy nie było cię w domu.

To nie do końca prawda, myśli Sydney. Pani Edwards leżała na sofie i czytała książkę.

Kobieta zaciska usta, po czym głośno wypuszcza powietrze.

- Nie potrafię pojąć, dlaczego mnie, jej matce, nikt o tym nie powiedział. I jeszcze jednej sprawy nie rozumiem. Dlaczego - pani Edwards wyrywa list z dłoni Sydney - dlaczego Julie dziękuje Sydney? Za co?

- Myślę, że za... - zaczyna Sydney, ale do głowy wpada jej pewna myśl. - Czy ci policjanci byli w pokoju Julie?

-Tak.

Ale mogli nie wiedzieć, czego szukać. Sydney wstaje od stołu.

- Zaraz wracam - mówi.

Wychodzi z kuchni i rusza schodami na górę. Drzwi do pokoju dziewczyny są otwarte. Sydney wchodzi do środka i bacznie się rozgląda.

Oszołomiona, wyciąga za siebie rękę, szukając łóżka, i siada na jego skraju. Po raz pierwszy zniknięcie Julie uderza w nią z całą siłą. Przyciska ręce do brzucha.

Obrazy roześmianej Julie na przednim siedzeniu samochodu mieszają się z niedawnymi wspomnieniami Jeffa śmiejącego się na podłodze altany. Gwałtowność pragnienia, absurdalność namiętności, teraz zaspokojonej. Dorosły mężczyzna i kobieta szarpiący się z mokrymi ubraniami, by się wzajemnie obnażyć. Pamięta kości policzkowe Jeffa przyciśnięte do swojej twarzy. Coś, co szepnął z ustami na jej szyi, a czego nie dosłyszała. I niezwykłą czułość, z jaką się na niej położył. Kiedy przyciągnął ją do siebie, z płaszcza przeciwdeszczowego poleciał jej na szyję i obojczyk strumyczek wody. Zadrżała. Stopy miała zziębnięte. Czuła deszcz na nagiej skórze. Uniosła stopy i wsunęła pomiędzy uda Jeffa, który przykrył je dłonią.

- To powinna być taka szczęśliwa noc - mówi Jeff, stając w progu.

Sydney próbuje się uśmiechnąć.

Jeff siada obok niej na łóżku, ciężar dwóch ciał tworzy głębokie V w miękkim materacu.

- Postąpiłem impulsywnie - mówi. - Może nawet beztrzesko. Ale czułem absolutną pewność.

Sydney potakuje.

- Co czujesz teraz? - pyta Jeff. Sydney w jego głosie słyszy cień. niepokoju. Czy denerwuje się jej odpowiedzia?

Ujmuje jego dłoń, by zrozumiał, że wciąż z nim jest.

- Smutek - mówi Sydney. - Julie naprawdę odeszła.

- Skąd wiesz?

- Zabrała płótna i farby.

Jeff odwraca głowę w kierunku kąta, gdzie powinny stać sztalugi. Ramiona mu opadają i Sydney wyczuwa raczej, niż słyszy westchnienie.

Puszcza jego dłoń i podchodzi do okna. Przez szybę widzi słoneczne popołudnie, Julie stojącą w wodzie, Wreszcie potrafi sprecyzować owo mgliste wspomnienie, które nasunęło jej się, gdy czytała list Julie.

„Ze mną wszystko OK”.

Młoda kobieta w mokrym kostiumie skacząca na falę.

- O co chodzi? - pyta Jeff.

- Chyba wiem, z kim uciekła Julie - oznajmia Sydney.

- Kim on jest?

- Niewykluczone, że to nie jest on - odpowiada, odwracając się ku Jeffowi.

2003

RS

Zielonkawy połysk na tafli oceanu. Woda jest gęsta, galaretowata. Nad niebie żółte chmury więżą upał. Sydney przeczekuje serię fal, by wybrać najwyższą. Źle ocenia czas. Nie potrafi wpaść we właściwy rytm.

Dzisiaj i jutro wieczorem do domu przy plaży przyjadą goście. Jedzenie dostarczy Harriet, miejscowa dziewczyna, która „zajmuje się tego rodzaju sprawami”, choć w miasteczku i domach przy plaży z całą pewnością nie odbywa się dość wesel, by utrzymać firmę cateringową w biznesie. Sydney myśli, że Harriet musi też szykować przyjęcia koktajlowe, na których małżonkowie czasami ze sobą nie rozmawiają.

W weekend pogoda ma być „niepewna”, słowo to kraży w powietrzu jak lotka do badmintonu. Sydney słyszy je z holu na piętrze, z kuchni. Nikt nic więcej nie chce dodać.

Przy niepewnej pogodzie ślub odbędzie się na ganku. Przy gorszej ceremonia zostanie przeniesiona do salonu, z którego usunie się meble. Przyjęcie będzie skromne, tylko najbliżsi przyjaciele i rodzina. Ta fraza niepokoi Sydney: kojarzy się z pogrzebem.

Jej rodzice przyjadą osobno. Ślubu udzieli pastor z Needham, który z radością zainstalował się w najlep-

szym pokoju gościnnym na piętrze. Przyjaciółki Sydney, Emily i Becky, spodziewane są jutro. Jeff będzie liczniej reprezentowany przez Iversa, Sahira, Petera i Franka - družbowie w nadmiarze.

Sydney oblicza, że dzisiaj do kolacji zasiądzie jedenaście osób. Formalnie rzecz biorąc, będzie to próbne przyjęcie, aczkolwiek sama próba potrwa dziesięć minut. Za ślub nie zapłacą rodzice Sydney, jak nakazywałyby zwyczaj, zresztą i tak mogliby się nie zgodzić na wybór miejsca uroczystości. Koszty obu przyjęć, próbnego i ślubnego, pokryją państwo Edwardsowie, a organizacją zajmie się pani Edwards. Przemysłnymi aluzjami i kartoteką pełną nazwisk firm usługowych dała wyraźnie do zrozumienia, że potrafi poradzić sobie ze wszystkimi irytującymi szczegółami.

Chociaż przyszli teściowie nalegali, by Sydney zwracała się do nich po imieniu, ona wciąż nie umie myśleć o nich inaczej jak tylko o panu i pani Edwards.

- Nie będzie jarmułek ani nic w tym rodzaju. - Tak na dość wczesnym etapie przygotowań pani Edwards oznajmiła Jeffowi, ostatecznie rozwiązując kwestię żydowską. Nie do przyjęcia.

- Nie bądź śmieszna - odpowiedział.

Sydney zauważa w oddali wyjątkowo wysoką falę. Wie, że powinna się cofnąć, pozwolić, by prąd uderzył ją i mocno pchnął na piasek. Albo skorzystać z okazji i zanurkować głową nisko w falę, by uniknąć jej siły. Rozgląda się na wszystkie strony. Nikogo nie widzi, zresztą dzisiaj ocean nie zachęca do kąpieli, woda wygląda na brudną.

Fala nachodzi. Sydney słyszy jej gniewny szum, odwraca się tyłem i czeka. Sztuczka polega na skoczeniu na

grzebień. Dzika brawura, może nawet własny gniew każe jej unieść ramiona i spleść dłonie. Gwałtowny prąd o mało nie podcina jej nóg. Przed nią są plaża, dom, wodorosty, ale niczego nie widzi. Jest tak, jakby słyszała oczami.

Nie może się wahać. Musi wybrać idealny moment. Kiedy fala jest nad nią, Sydney skacze. Za późno pojmuję, że źle obliczyła czas. Fala uderza ją mocno w plecy, woda ciska jej w twarz piasek. Sydney próbuje stanąć, ale nie może. Pod stopami nie ma dna. Z resztkami powietrza w płucach daje się nieść fali. Obojętna woda wyrzuca ją bokiem na plażę i ustępując, przetacza po stromym brzegu. Sydney jest zabawką.

Wyczerpana nie może uciec przed następną falą i znowu zalewa ją woda. Wbijają palce w piasek. Otwiera szeroko usta, z trudem łapie powietrze, w plecy uderza ją trzecia fala. Czwarta sprawia, że szoruje brzuchem po piasku. Wreszcie wyczołguje się poza zasięg fal. Kiedy wyciera szczypiącą w oczy sól, widzi znajomą sylwetkę mężczyzny, który trzyma w dłoniach ręcznik. Jeff otula ją w róż i łagodnie kołysze. Opiera brodę na jej szyi.

- Jesteś boginią - mówi.

- Nie umiem dzisiaj trafić na odpowiedni moment. Nie udaje mi się.

- Tę nerwy.

- Tak myślisz?

Jeff wsuwa palce za pasek jej bikini na biodrach. Stary jednocześnie kostium zniknął. Jeff nalegał.

Po zniknięciu córki zrozpaczony Mark Edwards rozwiesił wykonane w domu plakaty w zagrodzie wodnej i sklepie. Nie minęła godzina, gdy zadzwoniła młoda kobieta mówiąca z akcentem francuskiej Kanadyjki.

- Widziałam tę dziewczynę z plakatu - powiedziała. -
Była na przyjęciu z Helenę.

- Jaka Helene? - zapytał ojciec Julie przez ściśnięte gardło,

- Surfuje. Myślę, że mieszka w Montrealu.

Pan Edwards podjął strajk okupacyjny na posterunku w Portsmouth, przekonując władze, by wykorzystały nowoczesną technologię do śledztwa w sprawie przypuszczalnego porwania, mimo że list Julie wykluczał taką możliwość. Helene Lapierre, która przekroczyła granicę w wieczór zniknięcia dziewczyny, zapadła w pamięć celnikowi dzięki olśniewającemu uśmiechowi oraz uwadze, że spędziła urlop na surfowaniu na wybrzeżu New Hampshire. Odnaleziono ją i poddano krótkiemu przesłuchaniu. Dalsze działania nie były konieczne, jako że w czasie nieoczekiwanej wizyty kanadyjskiej policji Julie Edwards, skupiona, pogrążona w pracy oraz cała i zdrowa, siedziała przy sztalugach i malowała gruszki. Dziewczyna, którą zaskoczył cały ten zamęt, oznajmiła:

- Och, zaraz zadzwonię.

Natychmiast też podeszła do telefonu.

Polały się łyzy, pozostali zarazili się od ojca. Julie po kilku minutach także szlochała.

- Chciałabym porozmawiać z Sydney - powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

Sydney wzięła słuchawkę.

- Chcą przyjechać, ale myślę, że to powinnaś być ty - powiedziała Julie. - Chcę, żebyś zobaczyła mieszkanie Helenę. I ją poznała.

Jakie to w stylu Julie, pomyślała Sydney, tak uszeregować priorytety.

Odbyta się krótka narada rodzinna i podjęto decyzję.

- Do Montrealu pojedą Jeff i Sydney - oznajmił pan

Edwards. -Julie najlepiej zareaguje na nią, a ja nie chcę, żeby Sydney podróżowała samotnie.

Jeff z ochotą wyraził zgodę.

Bena nie było na naradzie, wyjechał do Bostonu kilka godzin po kłótni z bratem.

Sydney musiała domyślać się toku rozumowania Marka Edwardsa: gdyby Jeff pojechał sam, autonomia Julie, nie wspominając już o fizycznym bezpieczeństwie Helene, mogłaby zostać zagrożona.

Jeff i Sydney pojechali do White River Junction położonego w Vermoncie, tuż za granicą z New Hampshire, gdzie wsiedli do pociągu jadącego do Montrealu. Okoliczności podróży: poczucie misji, rytmiczny stukot kół oraz światła niknące w oddali, tworzyły dziwne i wyjątkowo nie na miejscu wrażenie podróży poślubnej.

Taki sam wpływ miała ich fizyczna bliskość. Sydney nawet przez krótki czas (kiedy na przykład Jeff stał w kolejce w wagonie restauracyjnym, by kupić dla nich lunch) nie potrafiła znieść jego nieobecności. Jakby od tamtego wieczoru na plaży popadła w inny stan, w którym proste fakty i trzeźwy umysł nie miały znaczenia.

Wydawało się, że Jeff podziela jej potrzebę bliskości. Siedzieli, stykając się biodrami i udami, Jeff nieustannie jej dotykał, drzemiąc na jej ramieniu albo przesuwając palcami po plecach i głowie zaskakująco intymnym gestem, który u Sydney wywołał niemal hipnotyczne oszłomienie.

- Masz rozkoszną skórę - szepnął jej do ucha i po kręgosłupie Sydney przebiegł dreszcz.

Każde wyobrażało sobie Helene i żadne nie miało racji. Sydney, która widziała ją przelotnie, wyobraziła sobie muskularną kobietę z połyskliwymi czarnymi włosami.

Według Jeffa - zdaniem Sydney snuł typowo męską fantazję - była to umalowana, delikatna lesbijka z blond lokami. Upierał się przy tym obrazie, nawet kiedy Sydney przedstawiła mizerne dowody świadczące o czymś wręcz przeciwnym.

Jeff pozostał w hotelu, a Sydney taksówką pojechała pod wskazany adres. Helene, która otworzyła drzwi na czwartym piętrze kamienicy w starej części miasta, nie była ani delikatną lesbijką, ani mocno zbudowaną brunetką, ale raczej drobną kobietą o jasnobrązowych włosach i wyraźnie europejskim wyglądem (mokry kostium wydłużył sylwetkę, woda nadała ciemniejszy odcień włosom). Julie zeskoczyła z taboretu w kącie i gorąco uściśkała Sydney. Nie była to spontaniczność osoby uwolnionej, pomyślała ta, ale raczej świeżo wyzwolonej.

Podczas wizyty Helene taktownie nie dotknęła Julie - żadnych pieszczot, żadnych zaborczych gestów - pozwałała natomiast Julie, by dziewczyna w swym uniesieniu przytulała się do niej, gdy parzyła herbatę w spartańskiej kuchni świadczącej o domowej dyscyplinie, którą widać było w całym niewielkim mieszkaniu, nawet w prostej łazience z dobrym wyposażeniem: frotowe ręczniki, marmurowa podstawa umywalki, pojemnik z rżniętego szkła na niezwykle skuteczny krem do rąk.

Najbardziej godną uwagi cechą skromnego poza tym mieszkania były wychodzące na ulicę wielkie okna w ścianie pokrytej ciemną boazerią, każde składające się z szesnastu oprawnych w ołów szybek. Sydney przy określonym świetle odnosiła wrażenie, że przeniosła się do siedemnastowiecznej Holandii i gdyby odwróciła głowę, zobaczyłaby Julie, z jej buzią niderlandzkiej piękności, w długiej sukni i z tamborkiem w dłoni.

- Przepraszam, Sydney. Tak mi przykro. Powinnam

była ci powiedzieć. Tylko że myślałam... - Dziewczyna ją-kała się, wzruszona i pełna skruchy.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją Sydney. - Rozumiem, naprawdę. Chodzi o to, że przeraziłaś rodziców. Wszystkich nas przeraziłaś.

- Ale zatrzymalibyście mnie! - zaprotestowała Julie, przygotowana do obrony.

Sydney zadzwoniła do hotelu po Jeffa. Kiedy przekroczył próg mieszkania Helene, ogarnęło ją denerwujące wrażenie, że bierze udział w podwójnej randce. Wobec Helene zachowywała się z dystansem, ale uprzejmie (nie chcąc doprowadzać do niepotrzebnego kryzysu), Jeff natomiast był surowy. Zażądał wyjaśnień, w jaki sposób Kanadyjce udało się namówić Julie, by opuściła dom i rodzinę. Dopiero przy herbacie i doskonałych ciastkach, po długiej dyskusji, której obcy akcent Helene i vermeerowskie okna nadały zdecydowanie zagraniczny ton, Jeff dał się przekonać, że to Julie uprosiła Helene, by ta zabrała ją do Montrealu.

Zadzwonił do domu. Chociaż, co zrozumiałe, trudno było oczekiwać, że pan Edwards przyjmie nowiny z radością (Sydney podejrzewała, że tęskni za swoją piękną córką i bez niej jest samotny, nie wspominając już o kwestii porzucenia przez nią szkoły), uzgodniono kompromis.

W następny weekend Julie przyjedzie do domu przy plaży z Helene, Jeffem i Sydney. Celem jest osiągnięcie cywilizowanego zawieszenia broni.

Przesłano pocztą paszport Julie, dzięki czemu mogła legalnie przekroczyć granicę. (Sydney dowiedziała się, że można bez paszportu wjechać do Kanady, ale wrócić do Stanów się nie uda). Jeff i Sydney spędzili tydzień jego urlopu nie w domu na plaży, gdzie chaos w każdej chwi-

li groził wybuchem, ale w Montrealu, w małym hotelowym pokoju z dwoma wyjątkowo wąskimi żelaznymi łózkami.

Kiedy wracali z pierwszej wizyty u Julie, Sydney zauważyła, że Jeffowi trzęsą się dłonie.

- Myślisz, że zostały kochankami? - zapytał, gdy wchodzili do hotelowej windy pochodzącej z początku dwudziestego wieku.

- Tak - odparła Sydney, ostrożnie stawiając stopy na pochyłej podłodze. Nie lubiła wind, przebywając w nich, myślała o możliwości urwania się lin, o awarii dźwigu.

- Ja tylko... To wydaje się takie...

- Wiem.

Jeff oparł się o rurkę na ścianie małej kabiny. Sprawiał wrażenie wyczerpanego.

- Według ciebie wyglądała na szczęśliwą? - zapytał.

- Bardzo.

- Ona ma dopiero osiemnaście lat.

- Cieszę się z jej szczęścia - oświadczyła Sydney.

- I nie uważasz, że Helene ją wykorzystuje?

- W jakim celu?

- Seks? Bo może nad nią sprawować kontrolę?

Sydney zamyśliła się.

- Oba te wyjaśnienia mogą być prawdziwe. Chodzi o seks, to nie ulega wątpliwości, Julie jest piękna. Jest także ufna. Ale nie byłabym pewna, że zdobycie kontroli nad nią jest takie łatwe, jak ci się wydaje. Mnie nie bardzo się udało. Spędzałam z nią właściwie całe dni, a mimo to nie wiedziałam, że widuje się z Helene.

- Powinienem się martwić? - zapytał Jeff.

- Trochę powinniśmy się martwić - przyznała Sydney, włączając w to także siebie. -I mieć na nie obie oko. Pro-

siłam Helene, aby mi obiecała, że da nam znać, jeśli będą mieć w planie podróż. Nie chcę, by twój ojciec znowu przez to przechodził.

- Czy ty... - zaczął Jeff z namysłem, szukając najlepszego sposobu na ujęcie w słowa delikatnej kwestii. - Zauważyłaś coś, co mogło doprowadzić cię do przekonania, że Julie jest lesbijką?

- Byłam tak samo zaskoczona jak ty.

- Zastanawiałem się tylko, czy ona kiedykolwiek...

- ...zalecała się do mnie? Nie.

Winda drgnęła i zatrzymała się na ich piętrze.

- Ile twoim zdaniem Helene ma lat?

- Dwadzieścia pięć. Zapytałam ją.

Drzwi się rozsunęły i Sydney wyszła na mroczny korytarz starego hotelu. Jeff poprowadził ją przez labirynt wytapetowanych korytarzy do pokoju. Otworzył drzwi i cofnął się, by zrobić jej przejście. Pokojówka już zaciągnęła zasłony.

- Jesteś głodna? - zapytał Jeff. - Chcesz coś zjeść? Powinienem był wcześniej zapytać.

- Chcę się położyć. Sydney zrzuciła sandały i położyła się na wąskim łóżku. Jeff także zdjął buty.

Poczuła ulgę. Patrzyła, jak rozpiął trzy górne guziki koszuli i sprawiło jej to przyjemność. Przez chwilę wydawał się taki zagubiony. Wiedziała, że wciąż martwi się o Julie, rozpatruje w myślach najrozmaitsze scenariusze, testuje dawne formuły, stawia hipotezy, bada dane. Kiedy wreszcie odwrócił się ku niej, przesunęła się i zrobiła mu miejsce, choć zmieściłaby się tam ledwo stopa.

Jeff wybuchnął śmiechem.

Przyglądał się jej, zatrzymując dłużej wzrok na nogach. Jego twarz ulegała zmianie, wyraz czujności bladł, szczęka się rozluźniała. Może już nie potrzeba było więcej słów.

Ukląkł na dywanie i pocałował kolana Sydney. Centymetr po centymetrze podnosił jej spódnicę.

Siedząc na bidzie w hotelowej łazience, Sydney mimo usilnych starań nie potrafiła przypomnieć sobie szczegółów dotyczących seksu z dawnymi kochankami i mężami. Mogła przywołać czułość, lecz nie pozycje czy konkretne szczegóły. Uważała, że to kobieca cecha. Nie miała wątpliwości, że Jeff, gdyby go poproszono, pamiętałby wiele sytuacji.

Kiedy wróciła do pokoju, Jeff był ubrany.

- Wyjdźmy - powiedział. - Umieram z głodu.

Poszli bocznymi uliczkami do miłego bistro. Sydney popatrzyła na zegarek. Była prawie dziesiąta, a ludzie, nawet rodziny z dziećmi, zasiadali dopiero do kolacji.

Zamówiła *moules frites*. Kiedy podano małże z frytkami, przez dobrych dziesięć minut jadła w milczeniu.

- To chyba najlepsze danie, jakie w życiu dostałam - oświadczyła, patrząc na Jeffa. Przyglądała mu się uważnie przez chwilę z łokciami opartymi na stole, a potem powiedziała: - Jesteś podobny do ojca.

- Naprawdę? - Napił się czerwonego wina.

- Masz jego oczy i budowę.

Wolno pokiwał głową.

- Myślę, że jesteś taki jak on. Uczciwy.

Jeff sięgnął po frytkę. Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Tak sądzisz?

- Twoja matka walczy o pozycję - wyjaśniła Sydney. - Twój ojciec osiąga ją bez wysiłku.

Jeff wyjął z kieszeni paczkę *gauloise'*ów i ku zdumieniu Sydney zapalił.

- Nic wiedziałam, że palisz.

- Kupiłem je w hotelu, kiedy cię nie było. Odniosłem wrażenie, że tak należy zrobić. Kiedy wszedłeś między wrony...

Rozejrzała się po niewielkim wnętrzu. Rzeczywiście, Jeff nie był jedynym, który tu palił.

- Przeszkadza ci to?

- Nie, jeśli ktoś pali od czasu do czasu.

Jeff zaciągnął się głęboko; Sydney pomyślała, że trzyma dym w płucach trochę za długo jak na kogoś, kto pali tylko przy okazji.

- Nie sądziłem, że można tak zwięźle przedstawić dynamikę naszej rodziny - powiedział.

- Przykro mi, nie powinnam była...

- Niepotrzebnie.

- Nie zamierzałam...

- Ty przecież nie jesteś wścibska, tylko obserwujesz. Kiedy się słucha Julie i taty, można by uznać, że jesteś członkiem rodziny.

- Myślę, że twoja matka widzi to nieco inaczej - odparła Sydney lekkim tonem. W jej myśli wdarła się nieproszona Victoria, której łóżko Jeff tak niedawno opuścił, zjawa w żółtej sukience na ramiączkach. - Myślisz jeszcze o Vicki? - zapytała. - Nie żałujesz swojej decyzji?

- Jak możesz o to pytać? - Jeff uniósł do ust filiżankę espresso.

Sydney patrzyła na niego bez słowa.

- Wiedziałem od chwili, kiedy wyszłaś z oceanu - dodał.

Wszystko wskazywało na to, że Victoria jest duchem dręczącym wyłącznie Sydney.

W pozostałe wieczory kolację jedli z Helene i Julie, pograżonymi we własnym szczęściu. Sydney miała mgliste pojęcie, co może się dzieć w łóżku w mieszkaniu z sie-

demnastowiecznymi niderlandzkimi oknami, i wołała nie wnikać w szczegóły. Chociaż Julie nie była dzieckiem i miała wszelkie prawo do seksualnego zaspokojenia - istotnie, nigdy wcześniej nie wyglądała tak promiennie - zapewne potrzeba będzie czegoś więcej niż kilku dni oraz paru niezaprzeczalnych faktów, by Jeff i Sydney przyzwyczaili się do jej nowego życia.

A owe niezaprzeczalne fakty się ujawniły. Po wejściu Julie do wody tego dnia, kiedy Sydney wzięła ją za rękę (i dziwnym okrzyku dziewczyny „Ze mną wszystko OK”, który powtórzony w liście obudził wspomnienia Sydney), nastolatka ubrała się i wróciła na plażę. Usiadła, obejmując kolana rękami, i obserwowała surfującą Helene. Jak zwykle bezradna w werbalizowaniu własnych doznań, Julie mogła tylko powiedzieć: „To było takie piękne”, na myśli mając albo Helene w mokrym kostiumie, albo sam akt surfowania.

Kiedy kobieta wyszła na brzeg, nawiązały rozmowę. Padła propozycja pójścia na imprezę.

- Gdzie? - zapytał Jeff, wciąż czując urazę po bezskutecznych poszukiwaniach.

- W domu przy plaży, gdzie chodzą wszyscy surferzy - wyjaśniła Helene uprzejmie.

To, że dziewczyna się upiła, było niezamierzonym i nieszczęśliwym wypadkiem. Helene wydobyła od niej adres (więcej niż tamtej nocy zdołała Sydney) i odwiozła ją pod dom, resztę zostawiając samej Julie.

I na tym może by się skończyło, gdyby Julie nie odzukała Helene w czasie swoich spacerów wzdłuż plaży. (Jakich spacerów?, pytała Sydney. Czy Julie wymykała się z domu kilka minut po jej wyjściu?). Nie było jasne, czy uprawiały seks już w czasie pierwszej pijanej nocy, czy też ich znajomość nabrała takiego charakteru z czasem, ale ani Jeff, ani Sydney o to nie pytali.

Kiedy nadszedł czas powrotu nowej przyjaciółki do Montrealu, Julie ubłagała ją, by także mogła pojechać. Na początku Helene odmawiała, wreszcie się zgodziła. (Sydney wyobrażała sobie, że uczyniła to z radością).

Helene nie wiedziała, że walizka Julie zawiera płótna i farby, zorientowała się dopiero wtedy, gdy zapach terpentyny i oleju lnianego przedostał się z bagażnika starego peugeota na przednie siedzenie. Wtedy były już w Burlington i żadna nie miała ochoty wracać.

Szczęście dziewczyny było wyraźne, namacalne i musiało przytłumić szczęście wszystkich wokoło. Chociaż Sydney nie wątpiła, że Helene jest szczerze przywiązana do Julie, radość Kanadyjki przez porównanie wydawała się mniejsza.

Także szczęście ich obojga gasło w obecności Julie; fakt ów niepokoił Sydney, jakby oznaczało to, iż w królestwie namiętności ona i Jeff nigdy nie będą w stanie sprostać kryteriom.

Ale gdy była sam na sam z Jeffem, miała wrażenie, że jej życie jest kompletne. Jedzenie, wino, ciągłe wrażenie senności wywołane częstym i spontanicznym uprawianiem seksu składały się na poczucie rozkoszy i swobody. Cały ten tydzień był czasem szczęścia, który określał przyszłe oczekiwania i miłe wspomnienia. Niewykluczone jednak, że pojawiły się już drobne aluzje świadczące o braku dopasowania. Choć Sydney zachowała to dla siebie, zauważyła skłonność Jeffa do wychodzenia na długie samotne spacerunki, podczas gdy ona czytała w hotelu, a także jego roztargnienie, błądzenie myślami gdzie indziej. Nie skomentowała, mimo iż wyraźnie je dostrzegała, zmian w zachowaniu kochanka: miasto rozpaliło w nim pragnienie włóczęgi i ogromne upodobanie do europejskich rzeczy, w szczególności do papierosów i wina. Uznała jednak, że to niewarte wzmianki drobiazgi.

Po tygodniu wszyscy czworo pociągiem przekroczyli granicę kanadyjską i z White River Junction przyjechali do domu przy plaży. Sydney z pozycji płatnej korepetytorki nagle przeniosła się na wyższy poziom i była to okoliczność, która czasami kazała jej się zastanawiać, czy skomplikowane algorytmy radości, rozczarowania, napięcia seksualnego i ledwo maskowanego antysemityzmu kiedykolwiek dadzą się rozwiązać w kontekście dynamiki rodziny.

Pierwsze spotkanie z Edwardsami odebrała jako fortunne. Tak wielką uwagę skupiono na wyraźnie zakochanych w sobie Julie i drobnej Kanadyjce, że Jeff i Sydney umknęli szczegółowym oględzinom. W gruncie rzeczy oboje pełnili funkcję dyplomatów, usadowieni pomiędzy Edwardsami a ich córką i jej kochanką. Niekiedy Sydney służyła jako tłumaczka. W pewnej chwili złapała się na tym, że mówi:

- Julie chce powiedzieć, że jej zdaniem jest dostatecznie dorosła, by samodzielnie podejmować decyzje.

Nazajutrz Julie i Helene wyruszyły na północ z obietnicą Edwardsa, że on i jego żona wkrótce je odwiedzą („zawsze chciałem jeszcze raz zobaczyć Montreal”), Sydney i Jeff natomiast pojechali na południe do Cambridge. Pożegnanie było godne uwagi, dlatego że pani Edwards po raz pierwszy, aczkolwiek bez uścisku, podziękowała Sydney za przywiezienie córki. Ani słowem nie wspomniała o godzinach poświęconych na uczenie Julie czy też szczęśliwym przypadku odkrycia jej talentu, choć zdaniem Sydney talent i tak sam by się ujawnił. Gruszki w Montrealu były wyjątkowo udane.

Mieszkanie Jeffa wyglądało jak lokum kawalera otrzymującego przyzwoitą pensję, który wołał jednak wyda-

wać pieniądze na inne rzeczy niż wystrój. Było świeżo wyremontowane, a okna wychodziły na lukę między budynkami, w której jaśniała rzeka Charles. Skórzana sofa i dwie lampy zostały przypuszczalnie kupione na początku, gdy Jeff próbował jeszcze urządzić wielki pokój z oknem wykuszowym i widokiem na wąski pas połyskliwej wody. Ale ów drobny estetyczny wysiłek spełził na niczym z powodu nawału pracy albo obojętności, ponieważ stolik do kawy pochodził z całkiem innej epoki i był strasznie porysowany (spadek z Needham?). Pozostałe pomieszczenia uderzyły Sydney jako puste w zdecydowanie męski sposób.

Nie uległo wątpliwości, że Victoria nie mieszkała u Jeffa, chociaż Sydney znalazła w szafie w holu buty z aligatora rozmiar siedem i pół oraz zwinięte markowe dzinsy w szufladzie, która poza tym była pusta (to musiała być „szuflada Vicki”). W chwili słabości przymierzyła je; pasowały w biodrach, ale były za długie. Złożyła dzinsy i na powrót wsunęła je do szuflady. Kiedy spędzała noc u Jeffa, świadomie unikała komody, używając własnej walizki jako czegoś w rodzaju toaletki.

Chociaż w mieszkaniu Jeffa panował nieład, było przestronne, a duszne mieszkanko Sydney z jedną sypialnią i widokiem na RadioShack w Waltham wydawało się przy nim miniaturowe. Przekroczywszy jego próg po wielu miesiącach nieobecności, od razu pojęła, dlaczego propozycja spędzenia całego lata na plaży była tak pociągająca. Wprawdzie uwagę zwracały meble (razem z Daniellem kupili kilka pięknych sprzętów), całość jednak sprawiała wrażenie miejsca, w którym nikt nigdy nie mieszkał. Wynajmując je, Sydney nie miała zamiaru przekształcać go w dom. Po prostu pragnęła schronienia.

Jesienią przyjęto ją na studia podyplomowe na Boston University. Rozpoczęła naukę w styczniu; program zajęć był podobny do programu w Brandeis, chociaż zaliczono jej tylko kilka ocen, a wcześniej prowadzone badania okazały się zupełnie nieprzydatne. Często udawała się na drugą stronę rzeki Charles, czasami wracała do domu przed Jeffem, który poza wykładami miał stałe dyżury w biurze. Wieczorami pili wino (bardzo dużo wina, tak wydawało się Sydney, którą zaczynało to niepokoić) i jedli ugotowany przez nią posiłek albo w pobliskiej restauracji spotykali się z przyjaciółmi Jeffa. Ivers, dziennikarz sportowy z „Boston Globe”, wiedział więcej o drużynie Boston Red Sox niż jakikolwiek inny znajomy Sydney. Frank, w przeszłości niecierpliwy kolega Jeffa w MIT, obecnie był bezrobotny i próbował swoich sił jako pisarz. Sahir, współlokator Jeffa z czasów college'u, pracował w banku w śródmieściu i niekiedy odbierał telefony z egzotycznych miejsc. Mówił w urdu, raz po raz z emfazą powtarzając słowo, które brzmiało niczym kichnięcie: Ahaa! Po jedenastym września Sahir, muzułmanin, niewysoki, o wyglądzie na pierwszy rzut oka zdradzającym pakistańskie pochodzenie, dwukrotnie został zatrzymany przez policję i raz wyrzucony z baru. Co dziwne, wydawał się ze stoicyzmem przyjmować owe prześladowania, jakby były brzemieniem, które musi nieść. Przychodził też Peter, który z pamięci powtarzał słowo w słowo dialogi z *Office Space*. Wieczory z Peterem, obsługującym akcelerator cząsteczkowy w MIT, upływały w radosnej atmosferze, pełnej zabawy i śmiechu. Żaden przyjaciel Jeffa nie był żonaty. Na żadnym szczególnego wrażenia nie zrobiło zastąpienie Victorii przez Sydney.

Raz w miesiącu Sydney i Jeff lecieli do Montrealu. Julie rozkwitała. Późną wiosną pokazała jeden obraz na wy-

stawie zbiorowej na targach rzemiosła. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna ma wielki talent i daleko zajdzie; Sydney była przekonana, że wystawiony przez nią obraz od razu znajdzie nabywcę. (Nieprawda, nie znalazł i Julie dała go Sydney. Pięć gruszek w błękitnej misce z Delft, w tle pokrojona cytryna na stole. Sok z cytryny sprawiał wrażenie tak rzeczywistego, że chciało się go polizać). Niepytana o to Julie oznajmiła, że Ben odwiedził ją dwukrotnie; przypuszczalnie nie miała pojęcia o kłótni braci, chociaż mogła się zastanawiać, dlaczego Ben nie pojawił się na obiedzie w Święto Dziękczynienia, czym sprawił rodzicom zawód. Sydney także było przykro i puszczała wodze fantazji, w wyobraźni prowadząc z Benem rozmowy, mające na celu doprowadzenie do zgody między braćmi. Zadawała sobie pytanie, czy Ben przyszedłby, gdyby jej nie było, ale Jeff, który cichł, słysząc imię brata, sądził, że to bez znaczenia. Ben był wściekły na niego.

W Boże Narodzenie Ben wypłynął w rejs.

Sydney nie potrafiła skłonić Jeffa, by powiedział, czy bardzo cierpi z powodu kłótni i czy odczuwa żal albo gniew. Dostrzegła jednak na jego twarzy przelotny wyraz niepokoju, gdy wchodząc do restauracji w Bostonie, sprawdzał, czy nie zobaczy w tłumie brata. Przez cały ten rok, odkąd się poznali, Sydney i Jeff ani razu nie byli nad brzegiem morza, w North End ani w dzielnicy finansowej, gdzie mogli wpaść na Bena.

Podczas swej pierwszej wizyty w Needham Sydney była zafascynowana siedzibą rodu i pracami Marka Edwardsa. Starszego pana cieszyło jej zainteresowanie. Minęło trochę czasu, odkąd ktoś pytał o oprawne szkice architektoniczne, które wisały tu i tam; większość skromnie kryła się w gabinecie pana domu.

Siedziba rodu mieściła się w budowli w stylu kolonialnym stojącej na wzgórzu. Dom z wieloma pokojami był za wielki w stosunku do dziedzica, swymi rozmiarami przygniatał także sąsiednie budynki. Wzniesiono go w latach trzydziestych dwudziestego wieku i miał wiele uroczych cech: długi pokój z przeszklonymi kredensami po obu stronach, łukowe drzwi do salonów, izdebkę na uboczu, gdzie można było pograżyć się w lekturze na niewielkiej sofie, przeszklone i wyposażone w siatki na owady przestronne balkony. Kolację podawano na stole Hepplewhite otrzymanym w spadku przez Annę Edwards, z której rodziny, jak wyedukowała Sydney, pochodziła większość pieniędzy. Posiłki były skomplikowane i oficjalne, gotowała sama pani domu. Sydney czasami żałowała, że nie ma tu służącej; przyrządzanie wielu dań sprawiało, że pani Edwards była spięta i niekomunikatywna, kiedy jedzenie lądowało na stole.

Prawdę mówiąc, pani domu coraz bardziej przypominała kogoś, kto walczy z silnymi podmuchami wiatru, jakby miotaały nią zmiany zachodzące w rodzinie.

Julie zawsze przyjeżdżała z Helene, Jeff z Sydney; Sydney myślała, że wszyscy trochę za bardzo się starają, żeby wizyty były udane. Od czasu do czasu unosiła wzrok i widziała, że pani Edwards wpatruje się w nią, jakby szukała jednoznacznych oznak żydowskiego pochodzenia, całym jak ktoś, kto w niedawno odkurzonym pokoju szuka miejsc, które pominięto przy sprzątanii.

Pani Edwards nigdy nie wypowiadała nazwiska Sydney, a kiedy prezentacja była absolutnie konieczna, przedstawiała ją jako „przyjaciółkę Jeffa, Sydney”.

Pewnego wieczoru, niedługo po tym, jak Sydney wprowadziła się do mieszkania w Cambridge, Jeff stał na

krześle i wymieniał żarówkę. Miał na sobie bokserki i T-shirt, a Sydney, która przypomniała sobie pierwszą przejażdżkę łądzką z oboma braćmi, impulsywnie pocałowała go w udo. Jeff spojrział na nią z góry.

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał.

- Co?

- Zgodzisz się za mnie wyjść?

Zaskoczona Sydney zrobiła krok w tył i usiadła na kuchennym krześle.

- Byłam dwukrotnie zamężna - powiedziała.

- Wiem o tym.

- Nigdy nie pytałeś o moich mężów.

- Nie chcę ich sobie wyobrazić. Poza tym nie jestem w stanie konkurować z pilotem sportowym.

- Ależ wręcz przeciwnie.

- Wciąż startuje w zawodach?

- Nie. Miał wypadek i złamał nogę.

- Skąd o tym wiesz?

- Od przyjaciela.

- Och. - Jeff milczał chwilę. - Co teraz robi?

- Wykłada.

- I o to mi chodzi - stwierdził.

Tamtej nocy Sydney, leżąc w łóżku i słuchając oddechu Jeffa przy sobie, drżała tak samo jak wtedy, gdy przesunął palcem po jej udzie. I tamten gest, i dzisiejsze oświadczenia wydawały się działaniem pod wpływem chwili, impulsywnym, może nawet zaborczym. Mimo to Sydney nie wątpiła w uczucia Jeffa. Czy nie powtarzał jej wiele razy, jak bardzo ją kocha? Czy bez śladu wahania nie mówił o swojej pewności od dnia, gdy się poznali? Sydney już wcześniej kogoś kochała, a chociaż uważała porównania za niesprawiedliwe i zwodnicze (czy można

dokładnie pamiętać miłość?), była przekonana, że jej uczucia do Jeffa są równie silne jak wcześniej do Andrew i Daniela.

Może więc niepokoił ją sam fakt wyjścia za męża. Dwukrotnie planowała uroczystość, zapraszała gości, brała ślub i bawiła się na przyjęciu; w obu wypadkach małżeństwa zakończyły się źle. To musi być rodzaj post-traumatycznego syndromu małżeńskiego, jak po spryskaniu środkiem toksycznym albo udziale w nieudanej misji, która przyniosła ofiary śmiertelne, myślała. Czy terapia mogłaby okazać się skuteczna?

Przekręciła się do Jeffa i pocałowała go w ramię. Zwrócił się ku niej, usiłując oprzytomnieć.

- Tak - powiedziała Sydney.

Jeff spojrzał na nią jednym okiem.

- Czy o coś cię pytałem?

- Tak, wyjdę za ciebie.

Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Już to powiedziałaś.

-Tak.

Pokręcił głową.

- Musiałam to powtórzyć - wyjaśniła Sydney.

W następnym tygodniu pojechali do Needham, by powiedzieć Edwardsom o swojej decyzji.

- To powinno być zabawne - powiedział Jeff.

- Twoja matka będzie zachwycona. - Sydney spojrzała w boczne lustro, by się upewnić, czy dobrze nałożyła szminkę. - Mogłeś zadzwonić.

- To byłoby tchórzostwo - odparł Jeff, skracając na stromy podjazd.

- Przynajmniej twój ojciec się ucieszy - uznała Sydney, wkładając rękawiczki. Chociaż Boże Narodzenie dawno minęło, na frontowych drzwiach wisiał wieniec.

Jeff zaciągnął ręczny hamulec.

- Myślę, że jesteśmy dla niego ostatnią nadzieją.

Były powitania, ciepłe ze strony Edwardsa, chłodne ze strony pani Edwards, jakby oboje z góry wiedzieli, co usłyszą. Jeff i Sydney nigdy sami nie proponowali, że przyjadą do Needham, aczkolwiek zawsze chętnie przyjmowali zaproszenia. Tym razem to Jeff zadzwonił i zapytał, czy mogą przyjechać.

Gdy zdjęli okrycia, płaszcz Sydney zsunął się z wieszaka na dno szafy. Sydney nie była zaskoczona, kiedy pani Edwards po prostu zamknęła drzwi.

Wszyscy czworo w milczeniu weszli przez łukowe drzwi do jednego z dwóch salonów; tego, w którym stały wielkie sofy i fotele obite perkalem, masywne otomany. Na kremowych stolikach tłoczyły się cenne stare drobiazgi, wszystkie białe. Kamienne ptaki, filigranowe świeczniki, stos książek (Sydney ciekawa była, czy ktoś kiedyś je czytał).

Nie zaproponowano im herbaty ani drinków. Jeff i Sydney usiedli razem na sofie, Sydney ze zsuniętymi kolanami, stopami ustawionymi równo na podłodze, dłońmi splecionymi na udach; gość, który nie zna rodziców Jeffa i pragnie zrobić dobre wrażenie. Przyjęła taką pozycję, a próba zmiany sprawiłaby, że uwaga pozostałych skupiłaby się na niej.

- Sydney i ja zamierzamy się pobrać - oznajmił bez wstępów Jeff.

Pan Edwards wstał. Po raz kolejny Sydney dostrzegła jego lekko pochylone plecy. Podszedł do syna, który także się podniósł.

- Gratulacje - powiedział z radością. Jeff, nagłe wzruszony, objął ojca, tak jak robią to mężczyźni, i mocno pokleпали się po plecach.

Pani Edwards przycisnęła ręce do brzucha, odpierając kolejny cios.

Mark Edwards nachylił się ku Sydney, która z uśmiechem przyjęła jego pocałunek w policzek. Wziął ją za rękę i ucisnął.

- Moja droga... - zaczął, ale nie był w stanie mówić dalej.

Sydney objęła go pośpiesznie, ponad swoim ramieniem dostrzegając, jak mała wydaje się pani Edwards w wielkim fotelu. Kiedy pan Edwards ją puścił, Sydney musiała znieść wzrok jego żony. Wyobrażała sobie, że matka Jeffa oblicza procent żydowskiej krwi w żyłach swoich wnuków.

- Bardzo jesteśmy radzi - powiedziała pani Edwards. Nie wstała z fotela.

Sydney stuknęła swoim kieliszkiem szampana w kieliszek przyszłego teścia, który znowu pocałował ją w policzek. Przez kilka godzin upajała się jego szczęściem i zadowoleniem Jeffa ze szczęścia ojca. Ale też zauważyła fałsz w tej radości, jakby ci, którzy są szczęśliwi, nawet Jeff, nasłuchiwali niskiej wibrującej nuty podobnej do dźwięku kamertonu, nuty, która w każdej chwili może się zmienić w szorstką i piskliwą.

Podczas kolacji ustalono datę. Jako miejsce wybrano dom przy plaży. Powiadomiona telefonicznie Julie piała do słuchawki:

- Nigdy nie miałam siostry!

Wspomniała tęsknie o podwójnym ślubie, co Sydney zachowała dla siebie, aczkolwiek mogła wskazać moment, w którym Julie to samo powtórzyła matce. Pani Edwards wyraźnie zadrzała i odrzekła:

- Nie bądź niemądra.

W jej głosie zabrzmiała stanowczość.

Nic dziwnego, że ta kobieta wygląda, jakby miotają ją podmuchy wiatru, pomyślała Sydney. Jeden syn żeni się z Żydówką. Córka jest lesbijką. Drugi syn, choć bez wątplenia heteroseksualny, na czas nieokreślony odsunął się od rodziny.

A winę za to wszystko ponosiła Sydney.

Mniejszymi niebezpieczeństwami najeżona była podróż do zachodniego Massachusetts, gdzie mieszkała matka Sydney, oraz do jej ojca w Troy. Oboje rodzice wcześniej dwukrotnie słyszeli taką wiadomość od córki, co odebrało obecnym wizytom uroczysty nastrój. Choć jednak byli uprzedzeni do małżeństwa, każde pragnęło, by Sydney po tragicznej śmierci Daniela znalazła spokój i szczęście.

Na matce Sydney wielkie wrażenie zrobił MIT.

- Musisz być bardzo bystry - powiedziała do przyszłego zięcia. - Wygląda na bystrego, prawda? - dodała, zwracając się do córki.

- Bardzo. - Sydney posłała Jeffowi uśmiech.

Mężczyzna, dla którego matka opuściła ojca Sydney, dawno odszedł (przeniesiono go do Minneapolis), ale warunki jej życia poprawiły się znacznie dzięki nieoczekiwanemu spadkowi po własnej matce. Obecnie pracowała jako sekretarka w biurze przyjęć w college'u.

- Zawsze potrafię takich wyłowić - oświadczyła ze znanstwem.

W Nowym Jorku ojciec Sydney podał na kolację przyrządzone przez siebie spaghetti. Niewiele rzeczy robiło na nim wrażenie.

- Moja córka jest twarda - powiedział do Jeffa po posiłku.

Ponieważ było późno, Sydney i Jeff spali w jej dawnym pokoju na poddaszu, w którym różowe zasłony i la-

wendowe półki pozostały nietknięte; fakt ten złamałby serce Sydney, gdyby nie była taka szczęśliwa. Oboje z Jeffem położyli się na wąskim łóżku przytuleni powściągliwie do siebie.

- Lubię twój ojca - szepnął Jeff do ucha Sydney. Mieli do dyspozycji małą poduszkę, która nie obiecywała dobrego snu.

- Oboje mamy szczęście do ojców.

- Twoja matka wydaje się sympatyczna - zauważył Jeff.

- Nie jestem pewna, czy jej wybaczyłam, że mnie stąd zabrała.

Jeff pocałował ją w ucho. Sydney czuła obok siebie jego długie, chłodne ciało. W innym łóżku, w innych okolicznościach stwardniałby i przycisnął się do niej, ale tej nocy był miękki jak chłopiec.

Niedługo po przekazaniu wiadomości rodzicom Jeff i Sydney siedzieli w kafejce niedaleko MIT, czekając na Iversa. Hinduskie jedzenie było tanie, a kolejka kupujących dania na wynos długa. Odnosiło się wrażenie, że stoły z blatami z formiki i krzesła na jednej nodze służą jedynie do rzucania na nie stosów płaszczy, szali i plecaków. Okno obok Sydney, oświetlone neonem z zewnątrz, zaparowało od środka, tworząc mgiełkę podobną do likieru Chartreuse.

- Musimy powiedzieć Benowi - odezwała się Sydney.

Jeff, który siedział bokiem do stolika, rytmicznie uderzał nożem w blat, czekając, aż podadzą im jedzenie. Ubrany był w granatowy sweter i niewyprasowaną koszulę. Włosy mu urosły i podwijały się na kołnierzu w sposób, który Sydney bardzo się podobał. Pragnęła natychmiast dotknąć loczków na jego karku.

Przesunęła nogi pod stołem, usiłując założyć jedną na drugą. Miała na sobie džinsy i czarny sweter, rodzaj lutowego uniformu. Włosy, które uczesała w koński ogon, naelektryzowały się od zimna. Ciepło panujące w kafejce sprawiło, że z nosa jej ciekło. Na zewnątrz w najlepszym razie było minus siedem.

- Jestem pewien, że tata już mu powiedział - odrzekł Jeff.

- W takim razie powinniśmy go zaprosić - zasugerowała Sydney i wyjęła z plecaka chusteczki higieniczne.

- Powinniśmy? - powtórzy Jeff, przedrzeźniając ją. - Powinniśmy?

Sydney wytarła nos. Nie znosiła, kiedy Jeff tak się zachowywał.

- I tak by nie przyszedł - dodał łagodniejszym tonem.

- Czy to, kto zaczął, tak wiele dla ciebie znaczy? - zauważyła.

Jeff oparł łokcie o stół.

- O ile pamiętam, ty tam byłaś.

- On był pijany.

- Mówił poważnie.

- Nie zgadzam się.

- Zadzwoił? - zapytał Jeff. - Zadzwoił z przeprosinami, kiedy nie było mnie w domu?

Usiadł prosto, kiedy stawiano przed nim talerz z *tikka* z kurczaka. Sydney dostała miskę pieczonego kalafiora. Nad jej głową Jeff zobaczył wchodzącego Iversa.

- Jest Ivers - oznajmił.

- Porozmawiamy o tym, kiedy wrócimy do domu? - zapytała Sydney.

- Porozmawiamy? - powtórzył Jeff.

W następną środę Jeff brał udział w zebraniu na uniwersytecie, które miało się przeciągnąć do kolacji. Syd-

ney pojechała taksówką do dzielnicy finansowej. Czekała w śniegu przed budynkiem na State Street. Kiedy w drzwiach pojawił się Ben, podeszła do niego.

Stanął bez ruchu, jakby nie był pewien, czy ją poznaje. Usta miał zaciśnięte, oczy szeroko otwarte.

- Sydney - powiedział wreszcie.

- Witaj, Ben.

- To nie jest przypadek.

- Nie.

- To zasadzka.

- Coś w tym rodzaju.

Ben wolno pokiwał głową. Podniósł kołnierz granatowego płaszcza, osłaniając się przed śniegiem.

- W takim razie chodźmy.

Szli w milczeniu po błocie, kuląc się przed zawieją. Przy następnej przecznicy Ben zatrzymał się i otworzył drzwi do baru. Przytrzymał je przed Sydney.

Sala już była w połowie zapełniona mężczyznami w garniturach, z wełnianymi szalami owiniętymi wokół szyi. Pili szybko i dużo. Kiepska pogoda wywołała poczucie osamotnienia.

Benowi i Sydney wskazano mały stolik z kałużą na podłodze. Ben, który zdjął płaszcz w ciepłym wnętrzu, zamówił skomplikowane martini. Sydney poprosiła o szklanekę wody; pragnienie nagle okazało się przemożne.

- Nie pijesz. Chcesz zachować trzeźwość. Co znaczy, że przysłaś coś mi powiedzieć - zgadywał Ben.

Pomimo początkowego szoku wyglądał bardzo dobrze. Był opalony.

- Poprosić cię o coś - skorygowała Sydney.

Ben rozluźnił krawat, szacując ją wzrokiem, jakby obliczał cenę nowego loftu w dzielnicy, gdzie dawniej wyrabiano produkty ze skóry. Jego badawcze oczy wprawiły

Sydney w zdenerwowanie tak wielkie, że pożałowała, iż jednak nie zamówiła czegoś mocniejszego. Próbowała odpowiedzieć mu tym samym, ale nie była w stanie wytrzymać jego spojrzenia.

Chociaż wyglądał zdrowo, oczy nadawały mu wygląd starszego. Pojawił się w nich twardy wyraz, którego nie było latem.

- Czuję się odpowiedzialna... - zaczęła Sydney.

- Przestań.

Urwała zniechęcona, by po chwili dodać:

- Cokolwiek się zdarzyło, nie może to być powodem zerwania z bratem.

- Z całym szacunkiem - powiedział Ben, obserwując kelnerkę, która stawiała na stole martini i szklankę wody dla Sydney - ale nie sądzę, byś miała pojęcie, co się dzieje między braćmi.

To prawda. Sydney nie miała pojęcia.

- Wychodzisz więc za męża - odezwał się po jakimś czasie. - Gratulacje. - Uniósł kieliszek w drwiącym toaście. Sydney nie przyłączyła się do niego. - Słyszałem, że już wprowadziłaś się do niego - dodał.

- Chcę, żebyś przyszedł na ślub - powiedziała Sydney, korzystając z chwili, która wydała jej się otwarciem.

- I dlatego tu jesteś.

Milczała. Czy dlatego tu przyszła?

- A Jeff? - zapytał Ben.

-Jeff?

- Czego on chce?

Sydney upiła łyk wody.

- Nie mogę się wypowiadać w jego imieniu.

- Nie, wcale tak nie myślałem. - Ben popijał zielone martini. - W takim razie obawiam się, że musisz wyjść za męża beze mnie.

- O co ci chodzi? - zapytała Sydney, pochylając się ku niemu i opierając dłonie na stole. - Nie rozumiem tej sprawy z żadnego punktu widzenia, ani twojego, ani Jeffa. Ojciec nie jest dla ciebie ważny? Nie przejmujesz się, że sprawiasz mu ból?

- Ojciec jest dla mnie ważny - odpowiedział Ben, patrząc w bok.

-Więc dlaczego nie puścisz w niepamięć całej tej sprawy?

- Nie mogę - odparł po chwili.

-Dlaczego?

- Bo nie chcę.

Oparł się na krzesło. Siedzieli w bezruchu, otoczeni przyjemnym gwarem. Przyjście tu było błędem, pomyślała Sydney. Jeff wpadnie w furję, jak się dowie. Ale ona nic nie powie Jeffowi. To była jej misja i nie musi mu mówić, że poniosła klęskę.

- Wyjeżdżamy do Afryki - oznajmiła.

- Czyżby? - rzucił Ben.

- Jeff musi wyjechać w związku z badaniami.

- A dokładnie dokąd?

- Do Nairobi. Nigdy tam nie byłam.

- Nawet z twoim lotnikiem? - Ben uśmiechnął się znad swojej szklanki.

Nieznacznym gestem dłoni dał znak barmanowi, że prosi o następnego drinka. Sydney dostrzegała symptomy świadczące, że Ben może być stałym bywalcem baru i co wieczór po pracy wstępuje tu na dwie kolejki zielonego martini, a być może drugie wypija w towarzystwie kobiety, która wpadła mu w oko. Zastanowiła się przelotnie nad życiem seksualnym Bena. Zdumiało ją, jak mało o nim wie.

- Chyba nie mam nic przeciwko temu, że będziesz moją bratową - powiedział nagle.

Sydney owinięła szal wokół szyi i wstała. Ben nachylił się szybko i złapał ją za rękę.

- On nigdy nie będzie kochał cię tak bardzo jak ty jego - oznajmił.

Wyrwała dłoń, słysząc ponure proroctwo. Przypomniała sobie wieczór, kiedy poszli surfować, i owo śliskie ukradkowe dotknięcie.

- Twoja mama przyjechała - mówi Jeff, kładąc ręcznik na piasku w odpowiedzi na prośbę Sydney, by posiedzieli chwilkę, zanim wejdą do środka. - Moja matka dała jej zajęcie, wypisywanie kart na stół.

- Zawsze miała piękny charakter pisma. Czy mój tata już przyjechał?

- Nie widziałem, ale byłem na spacerze.

- Żeby wszystko jeszcze raz przemyśleć? - pyta Sydney, łagodnie trącając go łokciem.

- Poszedłem z Tullusem - ciągnie Jeff, co nie jest żadną odpowiedzią. Kopie w piasku patyczkiem jak mały chłopiec. - Ivers nigdy nie pozwoli mi o tym zapomnieć. Opuści dwa mecze Jankesów, dzisiaj wieczorem i jutro.

- A wy nawet nie macie tutaj telewizora.

- Całkiem oszaleje.

- Upijemy go - proponuje Sydney.

- Dobry pomysł. - Jeff przygląda się Sydney. Jego oczy pozostają na jej twarzy odrobinę dłużej niż powinny.

-Jeff?

- No i Sahir - mówi, odwracając wzrok. - Sahir nie nawidzi plaży. - Chichocze i kręci głową.

- O co chodzi? - pyta Sydney.

- Jak to o co?

- O czymś myślisz?

-Jutro będę żonatym mężczyzną.

Sydney opiera się na łokciach. Gdzieś z wnętrza domu dobiega ją cichy kobiecy śmiech.

Godne uwagi jest to, że na ślubie nie będzie drużby, świadkiem ich obojga zostanie promienna Julie. Ona także chodzi teraz w mokrym kostiumie, co zdumiało Sydney, gdy pierwszy raz ją w nim zobaczyła. Sydney, która pewnej nocy przy koktajlach pomyliła namiętność fizyczną z artystyczną ekstazą.

- Pomyślałem, że po kolacji wszyscy tu przyjdziemy i rozpalimy ognisko - mówi Jeff. - Solidnie popijemy. No, nie będziemy pić za wiele. Zakopimy Sahirowi buty.

Chociaż słońce nie świeci, woda połyskuje nieprzyjemnie. Sydney mruży powieki.

- Rok temu nie byłabym w stanie sobie tego wyobrazić - mówi. - Uczyłam Julie matematyki i angielskiego. Nawet nie znałam ciebie i Bena.

Czasami, kiedy najmniej tego chce, to imię jej się wymyka. Świadomie nie wymieniłaby go dzisiaj.

Jak zawsze Jeff reaguje milczeniem na imię brata. Więcej nie będą o nim rozmawiać.

- Wstrętna pogoda - zauważa Sydney.

- Istnieje szansa, że się wypogodzi.

-Jeff, w czym problem? Sprawiasz wrażenie... sama nie wiem...

Jeff odwraca się i całuje ją w nagie ramię. Przesuwa palcami po wewnętrznej stronie jej ud.

- Będę szczęśliwy, kiedy wsiądziemy do samolotu.

Zaproponował, żeby w podróż poślubną pojechali do Afryki Wschodniej, ale zdaniem Sydney Afryka za bardzo przypominałaby pracę. Mimowolnie przez cały czas przeprowadzałyby ankiety. Nie, pojedą do Paryża, bo Sydney nigdy tam nie była, nawet z Andrew. Jeff będzie mógł

do woli zadawać jej pytania w małym hoteliku w Marais, który wybrała.

- Kocham cię - mówi Jeff z niejakim naciskiem. Wypowiada te słowa często, czasem dla niej, czasem dla siebie - jako zdumione uświadomienie sobie tego faktu albo wezwanie do raportu. Z tonu Jeffa Sydney wnioskuje, że dzisiaj jest raczej to drugie.

Przesuwa dłonią po zapiaszczonych włoskach na jego łydce, jakby prowadziła rozmowę z jego palcami na swoim udzie. W ciągu ostatniego roku ze zdziwieniem rozumiała, do jakiego stopnia stają się ikoną pierwotne wyobrażenia, talizmany, do których człowiek raz po raz powraca, mimo że nałożyły się na nie nowe obrazy. Dla niej będą to zawsze jego opalone nogi, spłowiałe kapielówki, oczy.

Jeff przystrzygł włosy na ślub. Sydney wołałaby, żeby miał dłuższe, ale nie zapytał jej o zdanie.

- O której jutro musimy być na lotnisku ?

- O ósmej - mówi Sydney. - Lot jest o dziesiątej.

W ciągu roku, kiedy są razem, nastąpił podział obowiązków. Ona organizuje podróże.

Opuszczają przyjęcie dość wcześnie.

- Szybko się zwiniemy - dodaje.

- Nie mogę się doczekać - odpowiada Jeff.

- Sydney! - woła matka, otwierając ramiona przed córką, która wciąż jest wilgotna od morskiej wody.

Sydney waha się, nieprzyzwyczajona do wylewnych powitań. Albo matka chce zirytować ojca Sydney, który zapewne także już przyjechał, albo zamierza podkreślić pokrewieństwo z Anną Edwards, przynależność do WASP-ów. Sydney pozwala jej na uścisk, przytula się do białego kostiumu ze spodniami i szala marki Talbots,

stroju przeznaczanego na próbną kolację, ale nie na trzy godziny oczekiwania. Wzrok Sydney pada na skórzaną torebkę. Jedwabne portmonetki z kobietami w czerwonych kabrioletach symbolizujące wolność dawno odeszły w przeszłość. Włosy matki prostują się w dusznym powietrzu, Sydney wyczuwa dłońmi wilgoć kostiumu - całe plecy mokre są od potu. Matka odsuwa ją na długość ramienia, mówiąc:

-I pomyśleć...

Co pomyśleć?, zadaje sobie pytanie Sydney. Że znowu wychodzi za mąż? Że nie umrze jako bezdzietna stara panna? Że w oczach matki to małżeństwo jest awansem społecznym? Może dom przy plaży przemówił do niej w sposób, w jaki dom Feldmanów w Newton nie zdołał.

- Kiedy przyjechałaś? - pyta, robiąc krok do tyłu.

- Jakieś pół godziny temu. Anna powiedziała, żebym przyjechała wcześniej. Zaproponowałam pomoc... - odpowiada matka, rozglądając się dokoła bezradnie.

- Ładnie wyglądasz - mówi Sydney.

- Pomyślałam, że mogę włożyć biel na próbną kolację. Ty dzisiaj nie ubierzesz się na biało, prawda?

- Jutro też nie.

- W takim razie wszystko w porządku. - Matka wygładza przód żakietu. - Chociaż nie przypuszczałam, że będzie tak gorąco.

- Wieczorem zrobi się chłodniej - pociesza ją Sydney.

- Kolację zjemy na ganku.

- Tak? - Matka nie kryje zdumienia. - Słyszałam, że pogoda będzie niepewna.

Ponad ramieniem matki Sydney widzi ojca. Nie będzie spał w domu, zatrzyma się w pobliskim pensjonacie. Siedzi przy kuchennym stole (tym samym, który Jeff wybrał

jako broń przeciwko Benowi; bluza Sydney czasami zachacza o pęknięcie na krawędzi) z panem Edwardsem, każdy trzyma w dłoni filiżankę kawy.

Ojciec od lat porządnie się nie ostrzygł. Nieregularne siwe kępkę włosów sterczą mu z okragłej łysiny, spod przemyconej jarmułki. Ma na sobie stary garnitur z marszczonej bawełny, przez lata białe prążki nabrały żółtawego odcienia. W każdej chwili może wyciągnąć srebrną papierośnicę, prezent ślubny od żony, i zapalić marlboro bez filtra, co sprowadzi z salonu krzyżącą panią Edwards.

Przez chwilę Sydney stoi w korytarzu. Nie będzie przerywała ojcu rozmowy, dopóki się nie przebierze. Ale coś w swobodnej postawie obu mężczyzn - pogrążonych w rzeczowej dyskusji okraszonych częstymi potakivaniami - napełnia ją nieoczekiwanym wrażeniem, że fortuna jej sprzyja.

Na ślub Sydney dostała swój stary pokój, co przyjęła z ulgą. Na drugim łóżku leży czarna walizka, którą zabierze do Europy. Sydney zawsze była dumna z tego, że umie podróżować bez wielkiego bagażu. Poza tym zaplanowała skromne zakupy; w końcu jadą przecież do Paryża. Na drzwiach szafy wisi jej suknia ślubna, jedwab w łososiowym odcieniu. Helene, która ujawniła niezwykle talent fryzjerski, przyrzekła upiąć włosy panny młodej w luźny kok, taki sam, jaki Sydney kiedyś podziwiała u Julie.

Jeff ubierze się po drugiej stronie holu w sypialni chłopców; dzieli ją z Sahirem i Iversem. (Peter i Frank zajmą jeden z licznych pokoi gościnnych). Sydney wyobraża sobie trzech dorosłych mężczyzn śpiących pod zielonymi kraciatymi kocami, z dziecięcymi baseballówkami wiszącymi na poręczach łóżek. Rok temu dołączyłby do nich Ben na składanym łóżku.

Ben, którego nikt nigdy nie wspomina. Jego nieobecność jest wyraźniejsza od obecności wszystkich pozostałych.

Ciche pukanie do drzwi sprawia, że Sydney mocniej wiąże pasek frotowego szlafroka.

- Proszę — mówi.

Julie wsuwa głowę do pokoju. W dłoni trzyma pakunek.

- Jak się miewasz? - pyta Sydney.

- Dobrze - odpowiada dziewczyna.

Sydney bardzo się podoba sposób, w jaki został zawiązany wąski czerwony szal Julie. Dziewczyna ma w uszach kolczyki - srebrne łańcuszki z wielkimi, ozdobionymi kryształkami kulkami na końcach. Wszystko to dzieło Helene. Sydney podziwiała strój, w którym Julie przyjechała kiedyś na rodzinną uroczystość, i na stronie powiedziała Helene, że bardzo by się cieszyła, gdyby miała kogoś, kto nauczyłby ją z takim polotem się ubierać. W odpowiedzi Helene zdjęła srebrny naszyjnik z szyi Sydney i wsunęła jej do kieszeni, następnie rozpięła dwa górne guziki żakietu i podwinęła rękawy. Sydney była bardzo zadowolona z efektu, gdy przeglądała się potem w lustrze w holu. Srebrne kolczyki w uszach i kilka centymetrów gołej skóry na dekolcie były nieporównanie bardziej eleganckie niż wcześniejsza biżuteria.

- Przyniosłam ci prezent - mówi Julie, wyciągając ku Sydney płaskie zawiniątko. Zapakowane zostało artystycznie: wstążka rozmyślnie umieszczona niesymetrycznie, nierówne końce tiulowej kokardki barwy mchu.

- Usiądź koło mnie - proponuje Sydney, wskazując dłonią łóżko. Waha się. - Czy będę płakała?

Julie z uśmiechem wzrusza ramionami.

W bibułce leży niebieska chusteczka do nosa zszyta z kawałków różnych materiałów. Sydney rozpoznaje kwadratowy skrawek tkaniny w dotyku przypominającej bawełnę Oxford, kolejny to jasnobłękitny jedwab, trzeci wygląda na krawat. Kładzie palec na czwartym i śmieje się.

- Czy to jest to, o czym myślę? - pyta, gładząc kawałek starych, wypłowiałych kąpielówek Jeffa.

Julie potakuje.

- Ukradłam je. Tygodniami szukał tych spodenek.

- Wiem. - Sydney wygładza chusteczkę na kolanach. W sumie składa się z dziewięciu kwadratów, w każdym rządku po trzy. Każdy kwadrat ma boki długości około pięciu centymetrów. - Ty to zrobiłaś - mówi z podziwem.

- Tak - potwierdza Julie. - Niebieska koronka jest z szarfy sukni ślubnej twojej babki, a bawełna z koszuli mojego taty. Krawat jest od twojego taty.

- Wszyscy o tym wiedzą?

- Każdy coś dał. - Julie milknie na chwilę. - No, prawie każdy. To - wskazuje jasnoblękitny jedwab - jest ode mnie, z bluzeczki, którą nosiłam zeszłego lata. A flanela jest ze starego szlafroka twojej mamy.

Sydney podnosi chusteczkę do twarzy i wciąga zapach flaneli, wyobrażając sobie, że wraca do wieczorów, kiedy leżała z głową na kolanach matki, która jej czytała, choć taki scenariusz w rzeczywistości być może nigdy nie był prawdą.

-A to, ufarbowane w nieregularne plamy, jest od twojej przyjaciółki Emily...

- Pamiętam tę koszulkę - wtrąca Sydney.

- Ten kawałek jest od mojej babci, której nie poznałaś, ale wiem, że chciałyby ci to dać. To fragment belgijskiego obrusa. Zawsze nakrywała nim stół, kiedy przychodziliśmy do niej na niedzielny obiad.

- Mama twojej mamy?

- Nie, taty. A to - Julie wskazuje dziewiąty, ostatni - jest z dziecięcego kocyka. Twoja mama powiedziała, że zawinięto cię w niego, kiedy się urodziłaś.

Sydney przesuwa palcem po tkaninie o fakturze wafli. Każdy kwadrat jest w innym odcieniu niebieskiego - kwiat kukurydzy, lawenda, indygo - i wszystkie jak

w patchworkowej kołdrze zostały starannie obszyte taśmą w kolorze wisterii.

- Julie, dziękuję ci! - Sydney przytula dziewczynę. - Będzie mi zawsze towarzyszyć. - Przez minutę nie jest w stanie wykrztusić słowa. - Nie wiedziałam, że potrafisz szyc - mówi wreszcie. Bierze chusteczkę higieniczną i wydmuchuje nos.

Dziewczyna znowu wzrusza ramionami, jakby szycie było umiejętnością łatwą do opanowania dla każdego.

- Skąd wzięłaś pomysł?

- Tak po prostu - odpowiada Julie, jak zwykle niezdolna do wyjaśnienia źródła swej kreatywności.

Sydney ponownie przygląda się kwadratowi. Zauważa w myślach, że nie ma kawałków materiału podarowanych przez panią Edwards i Bena.

Julie opiera się o zagłówek i rozgląda po pokoju.

- To twoja suknia?

- Tak, na jutro.

- Jest śliczna.

- Dziękuję.

- Pasuje do twojej cery. Dlatego wybrałaś tę?

- Spodobał mi się kolor.

- Szkoda, że Helene i ja nie możemy się pobrać - mówi dziewczyna tęsknie, podciągając kolana.

Zaskoczona Sydney odwraca się ku niej.

- Jesteś za młoda.

- Nie wiem, czy w Kanadzie byłoby to legalne - odpowiada z namysłem dziewczyna.

Julie ma dziewiętnaście lat - dość, by wyjść za mąż w jakimkolwiek kraju. Ale nie o to jej chodzi.

- Rozmawiałaś o tym z Helene?

- Mogłybyśmy urządzić uroczystość - mówi Julie radośnie - i zaprosić naszych przyjaciół.

Sydney kładzie dłoń na chusteczce.

- Przyszłabyś? - pyta Julie.

- Naturalnie, że tak. - Sydney odwraca się twarzą do dziewczyny i kładzie chusteczkę między nimi. - Julie masz przed sobą wiele, wiele lat.

- Jestem prawie cały czas szczęśliwa - zapewnia Julie w zręcznej obronie. - Teraz trochę mi tylko smutno z powodu Bena.

Sydney kiwa głową.

- Próbowałam go przekonać, żeby przyjechał.

- Naprawdę? I co powiedział?

- Niewiele. Myślę, że to Jeff powinien był go zaprosić.

- Nie rozumiem, co się stało.

- Ja też nie.

- Ale ty tu byłaś. Tata mówił, że się pobili.

- To nie była dosłownie bójka. Choć tak wyglądało.

- Kiedy byli mali, często się bili. Tata mi o tym opowiadał.

Sydney oblicza, że kiedy Julie się urodziła, bracia mieli odpowiednio siedemnaście i trzynaście lat.

- A potem Ben poszedł do college'u i przestali. Ale tatuś uważa, że w gruncie rzeczy nigdy sobie tego, no wiesz, nie wyjaśnili.

Sydney wyobraża sobie, jak na rodzinnym spotkaniu Mark Edwards próbuje wytłumaczyć Julie zaskakujące zachowanie Bena. Z całą pewnością nie potrafił znieść niezgody pomiędzy synami zarówno ze względu na córkę, jak i na siebie.

- W co się ubierzesz dzisiaj wieczorem? - pyta Julie.

- Niebieską sukienkę na ramiączkach. I sweterek, jeśli na ganku będzie chłodno. A ty?

- Helene wybrała mi sukienkę. Czarną. Czarna jest okay, prawda?

- Naturalnie.
- Jest trochę... sama nie wiem. Ma wielki dekolt z tyłu. Sydney odsuwa jej z czoła kosmyk włosów.
- To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałam.

Sydney bierze prysznic w łazience, którą dzieli z pastorem, próbując omijać leżący na ziemi egzemplarz „Hemmings Motor News” poznaczony plamami wody. Na haczyku wisi podniszczona kosmetyczka; Sydney nie chce domyślać się jej zawartości. Chociaż nawet nie próbuje, dostrzega małą szklaną butelkę płynu na odciski.

W swoim pokoju Sydney usiłuje ułożyć fałę nad czołem, w którą mogłaby wpiąć klamerkę z onyksu i kości, kupioną specjalnie na tę okazję. Pragnie uzyskać wygląd stylizowany na lata czterdzieste, pasujący do sukienki na ramiączkach z tamtego okresu, którą kupiła w sklepie z używaną odzieżą w Cambridge. Po kilku podejściach rezygnuje, czesze się w koński ogon i robi z niego węzeł.

Domyślając się, co zrobi Helene, Sydney przymierza, ale zaraz odrzuca kilka par kolczyków, ostatecznie decydując się na małe pączki z rżniętego szkła, kolejne znalezisko w sklepie z artykułami używanymi. Przygląda się sobie uważnie w niewielkim lustrze na drzwiach szafy. Jej twarz nabrała nieco koloru od rzadko w ostatnich dniach wychodzącego zza chmur słońca, ale wilgotne włosy wyglądają zbyt surowo. Rozpuszcza je, pozwalając, by spadły jej na ramiona. Sztuczna biżuteria w uszach jest doskonałym wyborem.

Suknia leży dobrze w talii i na biodrach, ale Sydney nic widzi w lustrze, jak układa się niżej, i musi zgadywać, dokąd sięga dół.

W ciągu roku z osoby, która może lub nie zostać przedstawiona gościom, zmieniła się w kogoś, na kim

skupiona jest uwaga wszystkich. Sydney wyczuwa, że w tak gwałtownej zmianie jest coś wewnątrznie niestabilnego. Guwernantka podniesiona do statusu żony, podejrzany awans.

Uświadamia sobie, że nie słyszała ani nie widziała Jeffa wracającego z plaży. Podchodzi do okna i widzi, że Jeff siedzi na kajaku, obserwując dwóch chłopców surfujących na deskach w małej lagunie utworzonej przez cofające się fale. Wygląda, jakby żałował, że nie może się do nich przyłączyć.

Sydney starannie składa nową chusteczkę i wsuwa do kieszeni niebieskiej sukienki. Pokaże ją Jeffowi i swojej matce, ale nie pani Edwards, którą też poproszono - a może nie - o kawałek materiału. Która może odmówiła. Sydney nabiera powietrza w płuca. Sądzi, że wieczór powinien być udany, i to pomimo niepokoju o ojca i matkę (obawia się, że zabójczy chłód może zepsuć przyjęcie, jeśli tym dwojgu każe się przebywać ze sobą wbrew ich woli), a także pomimo pragnienia, by nie zburzyć delikatnego rozejmu, jaki zdołała zawrzeć z panią Edwards, żeby nie wspomnieć już o próbach ignorowania dźwięczącej wprost w uszach nieobecności Bena.

Kiedy wychodzi na korytarz, słyszy męczyznę śpiewającego pod prysznicem - to bez wątplenia szczęśliwy pastor z motoryzacyjnymi zamiłowaniem. Z dołu dołatuje kobiecy głos, którego Sydney nie rozpoznaje. Przypuszczalnie to Harriet, która przygotowuje jedzenie na przyjęcie. Później słyszy odległy okrzyk zaskoczenia i radości pani Edwards, a ponieważ ta ostatnimi czasy rzadko okazywała tę drugą emocję, Sydney wcale nie jest pewna, czy właściwie ją zrozumiała. Jeśli Jeff jest wciąż na plaży, Sydney pójdzie do niego i powie, żeby szybko się przebrał. Niedługo przyjedzie Ivers, bez wątplenia po-

irytowany z powodu opuszczonych meczów Jankesów. Sydney okrąża słupek balustrady i schodzi na dół.

Widzi go w lustrze, okrągłym lustrze ze złotym warkoczem, które wisi nad stolikiem z telefonem. Koszula do garnituru świadczy, że przyjechał prosto z pracy. Przez ramię przewieszony ma worek z ubraniami, w dłoni niewielką płócienną torbę.

Sydney zatrzymuje się na schodach. On widzi ją w lustrze, ale w wyrazie jego twarzy nie zachodzi żadna zmiana. Teraz Sydney rozumie radość w głosie Anny Edwards. Za sekundę zawtórują mu okrzyki zaskoczenia pozostałych.

Sydney próbuje się uśmiechnąć, ale jego surowość ją onieśmiela. Schodzi z kolejnego stopnia i wtedy on rusza ku niej. Wygląda na przygnębionego, zbladł, policzki ma sine od całodziennego zarostu. Nie jest tak ogorzały jak wtedy, gdy rozmawiała z nim w barze. Sprawia wrażenie człowieka, który nie panuje nad sytuacją.

- Naprawdę myślałaś, że nie przyjadę na twój ślub? - pyta, kiedy Sydney stoi na ostatnim stopniu.

Nie na ślub Jeffa, tylko jej.

- Cieszę się, że jesteś.

- Nie przepuściłbym takiej okazji za skarby świata.

Wymija ją, jego worek przelotnie muska jej biodro. Sydney słucha kroków na schodach. Wkłada dłoń do kieszeni sukni i dotyka niebieskiej patchworkowej chusteczki.

Mark Edwards wielkodusznie zaproponował, że dostarczy róże na ślub; bardzo mu na tym zależało. Przed tygodniem wziął Sydney na obchód ogrodu, by je sobie wybrała. Uprzedził, że bukiet będzie prosty, bo potrafi hodować róże, ale brak mu umiejętności ich układania.

Sydney odparła, że prostota jej odpowiada, i wspólnie ustalili tonację, od barwy kości słoniowej do czerwono-pomarańczowej, wszystkie kwiaty tak dobrane, by pasowały do łososiowego jedwabiu. Pan Edwards owinie róże, by kolce nie pokłuły jej w palce. Sydney będzie je trzymać tak, jakby ktoś przed chwilą wręczył jej wiązanekę.

Jak łatwo przewidzieć, przyszły teść kłęczą. Sydney uważa, że nosi nakolanniki, rok temu zbędne. Na czole ma daszek, w dłoni sekator, którym obcina dzikie pędy. Jest początek lipca, szczyt sezonu różanego w New Hampshire. To, że udaje mu się hodować tak wiele odmian tuż nad oceanem, graniczy z cudem; ludzie znający się na ogrodnictwie często przystają, by obejrzeć kwiaty. Nikogo z domowników nie dziwi widok obcego samochodu zaparkowanego na ulicy ani nieznanego (kobiety lub mężczyzny), który za pozwoleniem właściciela wędruje między rzędami obsypanych kwieciami róż.

Przez jakiś czas Sydney stoi na skraju ogrodu, który ma kształt lekko zaokrąglonego prostokąta i jest cudownie utrzymany. Róże rosną na małych wzniesieniach w regularnych odstępach. Sydney wie, że wiatr od oceanu jest ciągłym utrapieniem; często, kiedy rano patrzy przez kuchenne okno, tak wiele płatków zostało nocą zdmuchniętych, że ogród wygląda jak miejsce po przyjęciu, na którym rozsypano worki konfetti.

Mark Edwards zauważa ją i na jego twarzy pojawia się wyraz radości.

- Proszę nie wstawać! - woła Sydney, ale jest za późno. Z troską obserwuje, jak mężczyzna się podnosi.

- Jestem brudny - mówi. Zdejmuje rękawice, pochyla się i całuje ją w policzek. - Jak się czuje panna młoda na dzień przed ślubem?

- Bardzo dobrze. Przed chwilą widziałam Bena.

- Wspaniale, prawda? Rozmawiałem z nim, kiedy przyjechał. Teraz poszedł wziąć prysznic. Co za niespodzianka. Anna jest zachwycona. Coś ci powiedział? Jak twoim zdaniem wyglądał?

- Powiedział mało. Wyglądał nieco... sama nie wiem... na zmęczonego.

- Też tak pomyślałem. Za ciężko pracuje. Czy on... hmm...? - Pan Edwards mocno uderza o siebie rękawicami. - Czy Jeff...?

Sydney kręci głową.

- Nie sądzę.

- To będzie dobre dla nich obu - oświadcza starszy pan zdecydowanym tonem. - Pogodzą się. Nierozmawianie ze sobą nie jest dobre. Nigdy. Na długie lata dzieli rodziny. Zwykle powodem takich rozłamów są pieniądze. Nie jestem pewien, co było przyczyną, jeśli chodzi o nich. Ale widać rodzaj lojalności, nie sądzisz? Może wiesz coś więcej?

Sydney ponownie kręci głową.

- Nie wiem.

Mark Edwards wskazuje dłonią cały ogród.

- Wybrałem już wszystkie kwiaty. Naturalnie zetnę je dopiero rano.

- Powinniśmy wziąć ślub tutaj. Tu jest tak niewiarygodnie pięknie.

- Nigdy nie urządź ceremonii ślubnej w ogrodzie różanym. Zerwie się wiatr i zostaniesz z pustymi łodygami.

- Przyszłam panu podziękować - mówi Sydney.

- Mam okazję się pochwalić - wyznaje mężczyzna. - Nie wiesz, że każdy ogrodnik w głębi serca jest chwali-piętą?

Sydney uśmiecha się do niego.

- Cieszę się, że tutaj bierzecie ślub - mówi ojciec

Jeffa, wskazując dom. - Wiele historii się z tym wiąże. Chcesz usiąść?

Sydney widzi wyraźnie, że jej przyszły teść musi usiąść.

- Tak - odpowiada.

Pan Edwards bierze niewielką miotełkę opartą o bok kamiennej ławki i starannie czyści siedzenie.

- Interesujesz się historią? - pyta, strzepując grudki ziemi ze spodni.

- Trochę.

- Ten budynek ma niezwykłą historię. Sprawdzałem w miejscowej bibliotece, towarzystwie historycznym i tak dalej. To stało się moim hobby. Naturalnie dom mający ileś tam lat musi mieć swoją historię, ale w tym działa się więcej niż w większości innych. Wiedziałaś, że zbudowano go jako klasztor?

Zdziwiona Sydney spogląda na wiekową budowlę, zatrzymując wzrok na sypialniach. Cele zakonnice?

- To był francuski zakon z Quebecu. Dwadzieścia sióstr. Zakon kontemplacyjny.

- Idealne miejsce do kontemplacji.

- Potem wybuchł skandal związany z księdzem i młodą nowicjuską. - Milknie i kręci głową. - Czasami myśle, że nie zmienia się nic poza datą.

Sydney czuje zimny, wilgotny powiew na ramionach. Płatki róż, ciemne i połyskliwe, zdają się wibrować w powietrzu.

- Po skandalu, a możemy się tylko domyślać, na czym on polegał - ciągnie pan Edwards - dom sprzedano pewnemu wydawcy magazynu literackiego w Bostonie. Nie wiele o nim wiem, wiem natomiast, że jego córka otworzyła tutaj później schronisko dla niezamężnych matek, co wywołało kolejny skandal. Nie potrafię sobie wyobra-

zić, w jaki sposób niezamężne matki mogłyby komuś zagrozić, ale tutejsi mieszkańcy dokładali starań, by je wyrzucić. Uważali, że źle wpływają na moralność miejscowych dziewcząt.

Sydney znowu spojrzała na sypialnie na piętrze. Najpierw zakonnice, potem niezamężne matki. Przypuszczalnie wiele dzieci urodziło się w tych pokojach.

- Co się działo z dziećmi? - pyta.

- Nie wiem. Pewnie oddawano je do adopcji. To przerażająca sprawa, nie sądzisz? Kiedy zabiera się kobiecie dziecko. Choć podejrzewam, że w tamtych czasach było to lepsze od drugiej możliwości, czyli wyrzucenia na bruk.

Sydney potakuje.

- Miejscowym chyba się udało z nieślubnymi matkami, ponieważ w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym pojawiła się wzmianka o sprzedaży opuszczonej nieruchomości człowiekowi nazwiskiem Beecher. Mam wrażenie, że wydawał prasę marksistowską, zajmował się kwestią tworzenia związków zawodowych. W Ely Falls były przedzalnie. Mam egzemplarz ich gazety, nazywała się „Lucky Strike”; znalazłem go w antykwariacie. Bardzo interesujące, jednocześnie zaciekle i inteligentne, dziwna kombinacja, jakby się czytało „Daily Workera” pomieszanego z „New Yorkerem”. - Mark Edwards kładzie rękawice na ławce. - I to znowu tylko mój domysł, ale przypuszczam, że to tutaj Ku-Klux-Klan zaatakował grupę radykalnych związkowców i zabił jednego z członków.

- Doszło tu do morderstwa?

- Nie pomyślałabyś, że KKK działał tak daleko na północy, prawda? Niedługo potem Beecher uciekł. Dom wystawiono na sprzedaż i kupiła go kobieta, średniej kla-

sy dramatopisarka. Mieszkała w Nowym Jorku, a tutaj spędzała lato. Słyszałaś o Vivian Burton?

Sydney kręci głową. Pan Edwards pochyla się i zrywa przekwitłą różę.

- Jej sztuki wystawiano na Broadwayu. Była właścicielką domu do swojej śmierci w roku trzydziestym dziewiątym, później przeszedł on w ręce rodziny Richmondów. Dom najwyraźniej był nie tylko wylęgarnią skandali, ale inspirował rozwój talentu, jako że ów Richmond, na imię miał Albert, tworzył malowidła *trompe l'oeil*. Był artystą, nie malarzem pokojowym.

- Oszukać oko - mówi Sydney, której wiedza na temat sztuk pięknych od ubiegłego roku znacznie się pogłębiła.

- Właśnie. Całkiem wyszły z mody, ale są bardzo dobre, w stylu Harnetta i Peto. Jeden wisi w Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie. Mam zamiar go obejrzeć, tylko ciągle brakuje mi czasu.

- Wyberzmy się razem - proponuje Sydney. - Potem zjemy lunch.

- Cudowny pomysł - odpowiada z entuzjazmem starszy pan.

Następuje przerwa w rozmowie, w czasie której oboje wyobrażają sobie przyszłość. Może znajdzie się w niej miejsce na kilka wspólnych posiłków, spacerów, rozmowy, wnuki.

- I ten malarz Richmond - podejmuje opowieść pan Edwards - wysłał trzech synów na drugą wojnę światową. Sam był za stary, by walczyć, ale miał synów. Przypuszczalnie też córkę. Tak często się słyszy o poświęceniach, na które musiały zdobyć się matki, a rzadko myślimy o ojcach.

Sydney milczy, wyobrażając sobie ojca odwożącego kolejno trzech synów na stację, żegnającego ich przed po-

dróżą do Europy lub na Pacyfik, niewiedzącego, czy kiedyś ich zobaczy.

- Czy synowie wrócili? - pyta.

- Nie wiem - odpowiada ojciec Jeffa. - Żaden nie odziedziczył domu, lecz to nie musi znaczyć, że wszyscy zginęli. Los okrutnie doświadczyłby ojca, gdyby ich stracił, nie sądzisz?

- Trudno to sobie wyobrazić.

- Kolejnymi właścicielami byli Simmonowie, ale wykorzystywali dom wyłącznie jako lotnisko. Obawiam się, że go zapuścili. W latach osiemdziesiątych kupił go pilot z Vision i jego żona. Słyszałaś o katastrofie.

- Tak.

- A ja - to znaczy my, Anna i ja, kupiliśmy go od wdowy. Nie podoba mi się żerowanie na cudzej tragedii, i tak jednak ktośby go kupił. Lubię myśleć, że dbamy o niego najlepiej, jak się da.

- Jest uroczy - zapewnia go Sydney. - Zawsze mi się podobał. Teraz chyba nie będę mogła myśleć o nim tak jak wcześniej.

- A teraz ty także będziesz częścią jego historii - mówi Mark Edwards z wielką, jak się wydaje, satysfakcją.

- Pan także - zauważa Sydney.

- Sydney, jesteś szczęśliwa? - pyta nieoczekiwanie ojciec Jeffa.

To pytanie zbija ją z tropu.

- Tak - odpowiada, przykładając dłoń do piersi. - Miałam nadzieję, że to widać.

- Bardzo się cieszę. Bałem się, że ta sprawa między Benem a Jeffem może zburzyć twoje szczęście. Zastanawiałem się też, czy nie wzdragasz się przed kolejnym małżeństwem. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że o tym wspominam.

- Nie. To fakt. Ale się nie wzdragam. Może powinienam.

- Mój syn jest dobrym człowiekiem - mówi pan Edwards. Dziwna to deklaracja, zważywszy na okoliczności.

- Wiem, że tak - odpowiada Sydney, poruszona tym objawem ojcowskiego przywiązania.

Wibracja połyskliwych różanych liści zmieniała się w trzepot. Niebo, przedtem szare i nijakie, teraz nabrało dramatycznego wyrazu, zarówno groźnego, jak i obiecującego: ciemne chmury na zachodzie, przebłęski błękitu na wschodzie.

Sydney patrzy na dom. Zakonnice i ksiądz. Niezameżne matki. Marksista i ofiara morderstwa. Dramatopisarka i malarz. Czy jadał samotnie i co wieczór studiował mapy, zaznaczając chorągiewkami miejsca, gdzie, jak sądził, przebywają jego synowie? A potem wdowa po pilocie, która musiała się zmagać z medialnym obłęzieniem. Sydney pamięta twarze tamtych pilotów w telewizji. Wyglądali tak zwyczajnie.

Przesuwa wzrokiem po krawędzi dachu, patrzy na ganek. Zastanawia się, czy w tym domu odbywały się inne wesela. Przypuszcza, że tak, liczne wesela, narodziny i śmierci. Ma nadzieję, że w ostatecznym rozliczeniu więcej było tu radości niż cierpienia.

- Przyjeżdżali tu dla piękna - mówi jeszcze pan Edwards.

Sydney idzie przez dom, podziwiając jego nową szatę. Julie i Helene zajęte są dekorowaniem schodów wstążkami i białymi kokardami. Na stole w jadalni i na stolikach do kawy w salonie ustawiono misy białych róż. W kuchni jest istny młyn, pani Edwards z ożywieniem kieruje ru-

chem. Sydney podchodzi do długiego, sięgającego od sufitu do podłogi okna i spogląda na plażę. Ani śladu Jeffa. Może jest w sypialni chłopców, przebiera się do próbnej kolacji. Sydney ma nadzieję, że bracia spotkali się i porozmawiali. Mimo wszystko Jeff będzie wzruszony przyjazdem Bena. Oznacza to przecież, że Ben skapitulował. Nikt nie jest w stanie odrzucić takiego gestu.

Sydney rozgląda się za Iverssem. Przypuszcza, że ojciec poszedł na spacer. Wie, że matka położyła się w swoim pokoju. Ganek na zmianę rozświetla się od nagłych promieni słońca i zanurza w mroku.

Jeff przeniósł wszystkie swoje rzeczy do sypialni Sydney i siedzi teraz koło walizki na wolnym łóżku. Stos ubrań przerzucił na krzesło i podłogę. Jeff wciąż ma na sobie kąpielówki i T-shirt. Wydaje się nie zwracać najmniejszej uwagi na swoje zapiaszczone stopy.

- Mogłaś mnie uprzedzić - mówi.

Na taki zarzut nie ma odpowiedzi. Sydney zamyka drzwi. Tak, mogła uprzedzić narzeczonego, że jego brat, z którym się poróżnił, jest w domu. Zamiast tego poszukała schronienia w ogrodzie z ojcem rodziny.

- To twoja sprawka, prawda? - pyta Jeff. - Tak wynika z jego słów.

Sydney zauważa, że Jeff nie nazywa brata po imieniu.

- Myślałam, że będziesz się cieszył - odpowiada.

Jeff unosi brwi.

- Rozmawialiście? - pyta Sydney.

- Jasne, że rozmawialiśmy.

Sydney nie pyta, o czym rozmawiali. W tej chwili nie jest pewna, czy chce to wiedzieć.

- Ta sprawa rzuciła cień na ślub - wysuwa argumenty na swoją obronę. - Wyczuwałam to, wszyscy wyczuwali.

Nigdy byśmy o tym nie zapomnieli. I nigdy nie dałoby się tego naprawić.

- Powinnaś była najpierw mnie zapytać.

Sydney opiera się o szafę.

- Jeff...

- Tak? - Nawet na nią nie patrzy.

- Myślę, że zachowujesz się jak ktoś nierozsądny.

W duchu myśli, że gorzej nawet: przychodzi jej do głowy określenie „nadąsany”.

- Między Benem a mną są nieporozumienia - mówi Jeff. - Nie sądzę, żeby kiedykolwiek dały się wyjaśnić do końca. Przykro mi, że tobie się to nie podoba. Mnie też się nie podoba, ale taka jest prawda. Możesz mi wierzyć, on nie przyjechał tutaj z miłości do mnie.

- Więc z jakiego powodu? - pyta Sydney.

Ale Jeff milczy, nie chcąc lub nie będąc w stanie jej odpowiedzieć.

- Posłuchaj, Jeff.

- Co?

- Dziadek opowiadał mi, co zaszło pomiędzy nim a jego bratem - mówi Sydney. - Kiedy byli chłopcami, brat zniszczył kilkanaście drewnianych modeli samolotów, które mój dziadek długo budował. Nie wiem, dlaczego to zrobił, o coś się pokłócili. Nie rozmawiali przez sześć lat.

Jeff siedzi na łóżku, ręce ma zaplecione na piersi. Sydney wyczuwa, że puszcza jej słowa mimo uszu.

- Potem wybuchła druga wojna światowa i brata mojego dziadka, który służył w siłach powietrznych, wysłano do Europy. Rodzice odprowadzili go na stację, ale dziadek nie chciał pójść.

Sydney zadaje sobie pytanie, co sprawiło, że przypomniała sobie opowieść, o której od lat nie myślała.

Wzmianka pana Edwardsa o wojnie? Malarz czekający na powrót synów?

- W ostatniej chwili dziadek pomyślał, że brat może zginąć w Europie i więcej go nie zobaczy. Biegł przez całą drogę na stację. Kiedy wpadł na peron, pociąg akurat odjeżdżał. Dziadek uściśnął dłoń brata i pożegnał się z nim.

Jeff spogląda na nią.

-A brat poległ.

- Nie, nie zdarzyło się nic równie dramatycznego,

- Więc po co mi o tym opowiadasz?

- No cóż, myślę, że Ben przyszedł na stację - mówi Sydney.

Ivers swoim zwyczajem rzuca ciekawostkami o baseballu z szybkością karabinu maszynowego.

- Co roku to samo. Czwartego lipca mecz Soksów z Jankesami. Wells na pozycji miotacza w zespole Nowego Jorku. Lowe w drużynie Bostonu. Można by pomyśleć, że tym razem odda punkty, ale dzięki przyłożeniom Jacksona - czterdzieści dwie bazy domowe w czerwcu, dwadzieścia w ostatnich pięciu meczach, jednaście w ostatnich dwóch - nic nie może się zdarzyć. Postawcie wszystkie pieniądze na Soksów. Sydney, czy już wiesz, że zabiję cię za ten ślub jutro po południu?

- Ustawimy telewizor na ganku - mówi Sydney.

- Naprawdę? - W głosie Iversa pojawia się nutka nadziei.

- Ivers, nie - odpowiada Sydney z uśmiechem.

Siedzący po drugiej stronie stołu Sahir prowadzi gorącą dyskusję z panem Edwardsem. Tematem są małżeństwa gejów, których Sahir wydaje się żarliwym zwolennikiem. Anna Edwards nerwowo zerka na Julie. Całą serią

gwałtownych mrugnięć i grymasów, z powodu których sprawia wrażenie osoby dręczonej mnóstwem nerwowych tików, usiłuje dać znak mężowi, żeby przerwał rozmowę, ale on albo nie jest świadomy intencji żony, albo zapomniał o orientacji seksualnej córki. Julie nikt nie pyta o zdanie w tej kwestii.

Jeff, pamiętając o swoich obowiązkach gospodarza, rozmawia z matką Sydney o najlepszej trasie samochodowej do Portsmouth z zachodniego Massachusetts, aczkolwiek Sydney wie, że prawdziwym powodem owej uwagi tak intensywnie okazywanej przez Jeffa przyszłej teściowej jest to, by mógł udawać, że nie widzi Bena, gdy ten w końcu zejdzie na kolację.

Stół, pięknie nakryty białym obrusem, tonie w różach, goście ubrani są o stopień staranniej niż zwykle. Koszule z podwiniętymi rękawami, bez krawatów. Sydney dostrzega, że Jeff ma klapki, co może, choć nie musi, wynikać z faktu, że zostawił buty w sypialni chłopców. Teraz nie przekroczy jej progu.

Wzrok Sydney mimowolnie spoczywa na butach Sahira: ciemnych, wypolerowanych na wysoki połysk trzewikach z grubą podeszwą. Przychodzą jej na myśl mężczyźni z lat pięćdziesiątych, kiedy drogie obuwie świadczyło o dobrym pochodzeniu.

Ben człapie po schodach, jakby brał udział w ważnej naradzie, i teraz przychodzi, kilka minut spóźniony, na nie tak istotne spotkanie. Wziął prysznic i przebrał się, a na progu pokoju podwija rękawy. Opuścił samą próbę, dziwnie pozbawioną życia scenkę, w której główne postaci, stojąc twarzą do białej sofy, powtórzyły krótkie kwestie. Przedstawieniu brakowało choreografii, światła, nie było w nim nawet cienia dramatyzmu. Zwłaszcza Jeff wydawał się drewniany, jakby to nie był jego pomysł. Zi-

rytowana Sydney usiłowała zatuszować jego zachowanie nerwowym śmiechem, w czym walnie dopomógł jej iverc. Z czego właściwie się śmiali, nie potrafiłaby powiedzieć. Na sofie Anna Edwards wzdychała często, jakby uważała, że dzieci zachowują się niegrzecznie.

Uwaga Sydney ulega podziałowi: jedna kamera skierowana jest na Bena, druga na Jeffa, wciąż pogrążonego w rozmowie z przyszłą teściową i z uporem ignorującego obecność brata. Julie, w eleganckiej czarnej sukience bez pleców, podrywa się z sofy i ściska Bena. Mark Edwards przedstawia go pastorowi i rodzicom Sydney, którzy uśmiechają się i kiwnięciem głowy witają zbłąkaną owieczkę. Anna Edwards macha do niego gorączkowo, by usiadł obok niej. Gdyby ktoś się nie orientował, mógłby pomyśleć, że panem młodym jest Ben, a nie jego brat.

Jeff dłużej nie może udawać, że jest zajęty. Kiedy odwraca się do Sydney, oczy ma szkliste i mętne.

Kolację podaje kobieta w czarnych spodniach i białej bluzce. Duszone homary serwowane są w pękatach glinianych kokilkach; Sydney nie sądzi, by te naczynia pochodziły z Emporii. Zapach róż miesza się z wilgotnym morskim powietrzem, tworząc oszałamiający aromat, który wydaje się specjalnie przygotowany na tę okazję.

Sydney dotkliwie uświadamia sobie obecność Bena po jednej stronie i Jeffa po drugiej. Ledwo śmie oddychać w obawie, by jej ciało nie przekroczyło granic przestrzeni dla niej wyznaczonej. Dotknięcie Jeffa, co powinno być rzeczą zwyczajną, a nawet pożądaną, teraz wydaje się gestem niepotrzebnym, który przypomni Benowi powód tego spotkania, a to z kolei może zwrócić jego myśli na braterski rozłam, rok zranionych uczuć.

Dotknięcie Bena nie wchodzi w grę.

Momentami Sydney czuje, że traci orientację, nie jest tak wnikliwą obserwatorką jak niegdyś; że jakimś sposobem w ubiegłym roku stopniowo zamieniła inteligencję na emocje. W spokojniejszych chwilach zadaje sobie pytanie, czy to korzystna zamiana.

Mark Edwards wstaje i wygłasza toast.

- Dzisiaj wieczorem - zaczyna - dopisujemy kolejny rozdział do historii tego cudownego domu, rozdział radosny, jako że wprowadzamy do naszej rodziny uroczą i miłą Sydney Sklar. Do naszego syna uśmiechnął się los. Jest takie słowo w jidysz, które w wolnym tłumaczeniu znaczy „ich przeznaczeniem jest być razem”. Mam nadzieję, że wypowiem je prawidłowo. *Beshert*. - Unosi kieliszek. - *Beshert*.

Goście unoszą kieliszki i powtarzają za nim, pani Edwards czyni to bez entuzjazmu. Sydney zastanawia się, czy jako pierwsza Żydówka stanie się po części właścicielką domu, chociaż będzie to prawo własności wynikające z małżeństwa i dość niepewne. Zadaje sobie także inne pytanie: czy istotnie przeznaczeniem jej i Jeffa jest być razem? I kto lub co o tym decyduje? Czy ich losy związały się przez skomplikowany splot okoliczności, który sprawił, że Jeff znalazł się na ganku dokładnie w chwili, gdy Sydney wyszła z wody? Kto uwierzyłby w ową niewidzialną rękę? Czy Daniel musiał umrzeć, by mogło się wypełnić przeznaczenie? Cóż za okrutny, obojętny i kapryśny bóg postąpiłby tak bezdusznie? I w jakim celu?

Jeff nie podnosi się z miejsca, by podziękować ojcu. Pełne napięcia milczenie przedłuża się. Ivers wstaje i bierze na cel pana młodego, dla dobra panny młodej zdradzając, zanim nie jest za późno na odwołanie ślubu, kilka mało znanych faktów z życia Jeffa Edwardsa. Ujawnia, że pan młody, przegrawszy w Cambridge zażartą debatę na temat

prawomocności NATO, oddał mocz na pomnik Johna Harvarda. Kiedy go złapano i postawiono przed komisją dyscyplinarną college'u (Brown), jej członkowie wstali i powitali go oklaskami. Ivers pragnie też, by Sydney wiedziała, iż jej narzeczony popadł w stan hipnotycznej zadumy, kiedy zeszłego lata w telewizji oglądał zawody w pływaniu synchronicznym na igrzyskach olimpijskich. Jeff oznajmił, że to „naprawdę trudny” sport. I czy Sydney wie, że jej przyszły mąż jest w głębi duszy hazardzistą; założył się raz, że Jankesi zwyciężą Soksów przewagą czterech baz. Ze względu na te niewybacalne i godne pożałowania braki Ivers jest więcej niż szczęśliwy, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny odda tego faceta Sydney. A gdyby ktoś chciał wiedzieć, wynik meczu brzmi następująco: Boston - trzy, Jankesi - zero.

Rozlegają się oklaski i Ivers siada.

Kobieta podaje drugie danie, krewetki po tajsku. Jeff sprawia wrażenie całkowicie skupionego na posiłku, jakby był krytykiem piszącym o restauracjach. Ben często sięga po szklanekę wody i przesuwa spojrzeniem po zebranych. Sydney przypomina sobie dzień, kiedy Victoria po raz pierwszy przyjechała do domu przy plaży i Ben obserwował z podestu rozgrywającą się w holu scenę.

Z powodu wcześniejszej rozmowy z panem Edwardem Sydney mimo woli myśli o ludziach, którzy przypuszczalnie zjedli dziesiątki posiłków w tym właśnie pokoju. Siostry w ciemnych habitach (czy nie marzły w zimie?). Człowiek pióra (czy na kolacji miewał szacownych gości z trójczłonowymi nazwiskami, jak na przykład Edward Everett Hale i John Greenleaf Whittier?). Niezameżne matki ze swymi niemowlętami (no bo gdzie miałyby się podziąć niemowlęta, gdy matki szły do jadalni?). Marksiści (czy marksiści zasiadali do wytwornych

posiłków, czy raczej uważali je zbyt burżuazyjne?). A co z dramatopisarką? Albo z malarzem, którego trzej synowie poszli na wojnę? Sydney widzi go samotnego przy długim stole; wszystkie krzesła są puste, ogromny blat z drewna wiśniowego lub mahoniowego zaścielają mapy Europy. A potem oczywiście była wdowa z córką. Nie, one nie korzystały z jadalni, dochodzi do wniosku Sydney. Posiłki, jeśli w ogóle jakieś przygotowywały, jadały przy stole w kuchni, słuchając okrzyków zgromadzonych na ulicy dziennikarzy.

Sydney pije wino. Kiedy przygląda się gościom siedzącym przy orzechowym stole z nierównym blatem, odnosi wrażenie, że jej osobista historia zmalała, że teraz jest mniej dramatyczna, nie tak podniosła jak sprawy z przeszłości. W porównaniu z katastrofami lotniczymi, morderstwem, niezamężnymi matkami i wojną mało co wydaje się ważne. W latach, które nadejdą, o bytności Sydney w tym domu nie będzie się mówiło, nie zasłuży nawet na jedną anegdotę.

A przecież, rozważa Sydney, odstawiając kieliszek, także i teraz można znaleźć przy stole historie pełne dramatycznych tonów, opowieści, których zakończenia jeszcze nie są znane. Myśli o Julie porzucającej ten dom i rodzinę dla miłości. Czy jej nieprawdopodobne szczęście będzie trwało? Albo spór, najwyraźniej zadawniony, pomiędzy dwoma łagodnymi braćmi. Czy sobie wybaczą? Jest też matka tych trojga, która ledwo potrafi ukryć zazdrość i pogardę dla młodej kobiety mającej wkroczyć do rodziny, matka, która nawet teraz dotyka ręki najstarszego syna, jakby w każdej chwili mógł się rozpuścić w powietrzu. Sydney myśli również o swoich rodzicach, niegdysь zakładających rodzinę, przypuszczalnie darzących się miłością, którzy teraz, stojąc osobno, patrzą, jak ich córka, jedyne dziecko, po raz trzeci wychodzi za mąż.

A co z pastorem rozpływającym się nad krewetkami po tajsku? Czy w tajemnicy przebiera się w damskie ciuszki? Jest doskonałym bilardzistą? A może jest tylko tym, na kogo wygląda, skromnym, pobożnym człowiekiem nieodpornym na rozkosze wygodnej sypialni nad morzem i wyśmienitego posiłku?

- Zanim tu zszedłem, sprawdziłem pogodę. Jutro ma być piękne popołudnie - mówi Ben, świadomie wnosząc pozytywny wkład w rozmowę. A może ten komentarz ma być dowodem, że wzniosł się ponad urazę?

Pani Edwards ogłasza, że kawa i deser będą podane na ganku. Sydney wstaje i czeka na Jeffa, który z kolei czeka na jej matkę, z wielkim trudem podnoszącą się z krzesła. Artretyzm w kolanach, wyjaśnia; często skarży się na tę dolegliwość, aczkolwiek najwyraźniej nie próbuje nic w tej kwestii zrobić. Ustalono, że „młodzi”, jak pieszczotliwie określił ich pan Edwards, przez jakiś czas posiedzą na ganku ze „staruszkami”, a potem się przebiorą i zjedzą na plażę, gdzie rozpalą ognisko i, jak można przypuszczać, będą się bawić o wiele lepiej.

Jeff przeprasza i wychodzi, by powitać Petera i Franka, których zatrzymały korki. Przez czysty przypadek Ben siada obok Sydney na twardym tekowym krześle. Zignorowanie pustego miejsca nie jest w stylu Bena. Sprawiłoby, że ściągnąłby większą niż obecna uwagę na braterskie nieporozumienia. Przez jakiś czas Sydney i Ben przysłuchują się pogawędkom, z których żadna nie jest ważna, prawdziwe życie przeniosło się gdzie indziej. Oboje jednocześnie unoszą filiżanki i piją. Sydney czuje się zażenowana taką synchronizacją.

W chwili, gdy wybuchają głośne śmiechy, Sydney pyta go, czy rozmawiał z Jeffem.

- Rozmawialiśmy.

- Co mu powiedziałeś?
- Nazwaliśmy się wzajemnie dupkami i uścisnęliśmy sobie ręce.
- I to wszystko?
- I to wszystko.

W swoim pokoju Sydney zdejmuje niebieską sukienkę na ramiączkach, po czym wkłada lniane szorty i białą koszulkę bez rękawów. Na ramionach wiąże granatową bluzę. Już słyszy śmiech na plaży i dostrzega ogień z okien sypialni na piętrze. Wieszając suknię w jednej z dwóch płytkich szaf, Sydney znowu myśli o zakonnicach z francuskojęzycznej Kanady. Czy te szafy zrobiono dla nich? Są wąskie, bo siostry miały tak mało ubrań?

Zgodnie z obietnicą Jeff, Ivers, Peter i Frank rzucają Sahira na piasek i ściągają mu buty. Sahir protestuje, ale bez przekonania. Julie robi *s'mores*, kanapki z ciemnego chleba, czekolady i podgrzanych na ogniu pianek, i rozdaje po kolei wszystkim; lepka słodycz znika błyskawicznie, jakby godzinę wcześniej nikt nie zjadł solidnego posiłku. Większość obecnych przebrała się w szorty i T-shirty, strój wyraźnie kontrastujący z ubiorem „starsuszków”, których głosy i słabnący śmiech wciąż słychać na ganku, mimo że tworzą mniej liczną grupę. Sydney niemal oczekuje, że Anna Edwards w spódnico-spodniach i bluzce na ramiączkach zejdzie po schodach, nie zamierzając pominąć imprezy, w której uczestniczą jej synowie.

W powietrzu unoszą się iskry. Od czasu do czasu płomień strzela wysoko. Sydney czuje ciepło na piersiach i chłód na plecach. Ben, z rękoma nad głową i uniesionym kolaniem, usadowił się na jedynym leżaku, dzięki

czemu jak zwykle jest mu wygodnie. Jeff i Sydney siedzą na pniu. Co jakiś czas przyjaciele braci wyłaniają się z mroku otaczającego ognisko i przystają, by pogratulować młodej parze. Wieść o bliskim ślubie obiegła plażę. Inni młodzi mężczyźni i kobiety, stali bywalcy letniska, przychodzą objęci, z piwem w rękach - skarbnice dziecięcych wspomnień teraz przywoływanych i okraszanych okrzykami. Sydney wita nieznajomych i na tym się kończy jej udział w rozmowie, nikt zresztą więcej od niej nie oczekuje, nie brała bowiem udziału w owych zdarzeniach, je więc pianki i obserwuje iskry wypisujące w mroku wiadomości, których nie potrafi odczytać.

Zakupuje stopy w chłodnym piasku. Obok niej Julie i Helene siedzą po turecku. Wcześniej Julie włożyła *s'more* do ust Helene, która śmiała się jak pan młody na weselu. Może, myśli Sydney, to dla nich najbardziej zbliżona do prawdziwej namiastka uroczystości zaślubin.

Sydney czuje palec wędrujący po jej ramieniu.

- Idę do domu - mówi Jeff.
- Teraz? - pyta zdziwiona Sydney. - Tak szybko?
- Ivers zajmie się ogniskiem.

Kiedy Sydney się podnosi, Ben odwraca spojrzenie, jakby coś na oceanie nagle całkowicie zajęło jego uwagę.

- Dobranoc wszystkim! - woła Sydney, machając obiema rękami. Popełniłaby nietakt, gdyby została na plaży sama, bez narzeczonego. - Dziękuję, żeście przyszli. Pan młody musi się wyspać. - Uśmiecha się, słysząc jęki rozczarowania.

- Ale nie zapominaj, nie możesz spać z Jeffem w noc przed ślubem - mówi Ivers. - To wróży pecha na przyszłość. A przy okazji, wynik dziesięć do dwóch.

Sydney unosi pięść w geście zwycięstwa. Pochyla się i całuje Julie i Helene.

- Przyjdźcie jutro o dziesiątej, dobrze?
- Nie za wcześnie? - pyta Julie.
- Nie, w sam raz - odpowiada Sydney.

Na ganku jest pusto, starszycy udali się do łóżek. Jeff w milczeniu idzie przez dom ku schodom. W swojej sypialni Sydney siada i strzepuje piasek ze stóp.

- Będę tu spał, jeśli można - mówi Jeff.
- Tak założyłam - odpowiada Sydney, chociaż trudno jej zignorować przecucie nieszczęścia wywołane słowami Iversa.

- Nie mogę robić tego co Ben - dodaje Jeff.
- A co on robi?
- Udaje.

Sydney widzi przez okno strumień isker, jakby ktoś popchnął płonące polano.

- A co z Iversem, Sahirem i pozostałymi? - pyta. - Zaprosiliśmy ich. Myślę, że zachowaliśmy się niegrzecznie.
- Nimi się nie przejmuj.
- Wiedzą o tobie i Benie?
- Oczywiście.
- Traktujesz mnie dzisiaj oschle.
- Przepraszam, Sydney. Psuję ci nastrój, prawda?
- Trochę.

Jeff podchodzi do łóżka i znowu siada obok walizki.

- Wezmę ją - mówi Sydney i wstaje; jest zdziwiona, że on pozwala jej to zrobić.

Jeff, najwyraźniej oszołomiony, kładzie się w ubraniu.

Sydney staje koło łóżka i na chwilę ogarnia ją niezwykła czułość. Klęka, przyciskając czoło do piersi Jeffa, który bawi się jej włosami.

- Przepraszam - mówi Sydney - prosiłam go, żeby przyjechał, a teraz tego żałuję. Zepsułam ci tym nastrój, prawda?

- To nic twoja wina.

Przez otwarte okno Sydney słyszy śmiech. Czy ona i Jeff nie powinni być tam, gdzie jest wesoło?

- Naprawdę tak bardzo go nienawidzisz?

- Czasami. Chociaż, prawdę mówiąc, myślę, że może jest odwrotnie.

- Nie wierzę w to.

Jeff milczy.

- Twój ojciec opowiedział mi historię domu - odbywa się Sydney, opierając brodę o krawędź łóżka. - O zakonnicach, marksistach i niezamężnych matkach. Tak sobie myślałam, że jutro ty i ja staniemy się częścią tej historii.

- Kiedy się słyszy, jak mama o tym mówi, można by pomyśleć, że znała osobiście te zakonnice.

Sydney podnosi się i całuje go w ramię.

- Kocham cię - mówi, świadoma, że nie powtarza tego tak często jak on. Czasami zadaje sobie pytanie, czy dlatego, że nie musi, że Jeff aż za dobrze zna jej uczucia.

- Chodź tutaj.

Sydney siada przy mężczyźnie, który jest jej kochankiem. Jutro dzięki kilku słowom i drobnym gestom zostanie jej mężem.

- Ja też cię kocham - mówi Jeff. Słowa wydają się pozabawione wagi, ulotne.

Kuszając los, Sydney rozpiną bluzkę.

- Idę popływać kajakiem - oznajmia rano Jeff i wkłada kąpielówkę.

Sydney opiera się na łokciu. Kiedy wieczorem skończyli się kochać, wróciła do swojego łóżka, oboje zgodzili się bowiem, że na tak wąskim pościeliu nie wyśpią się dobrze.

- W dniu ślubu?

Jeff odsuwa zasłony, by sprawdzić pogodę, która z miejsca, gdzie leży Sydney, wciąż wydaje się niepewna.

- Ślub jest dopiero o trzeciej.

- Tak, ale... - zaczyna Sydney. Siada na łóżku, kołdra ledwo zasłania jej piersi. Nie potrafi przekonywać go do swoich racji, kiedy jest naga.

- Przypuszczalnie jesteśmy tu po raz ostatni przed końcem sierpnia i wrześniem.

Podróż poślubna potrwa trzy tygodnie. Później pojedą na następny ślub do Karoliny Północnej, a stamtąd na konferencję na Uniwersytet Johna Hopkinsa. Mimo to Jeff postępuje niewłaściwie, wybierając się w dzień ślubu na samotną wyprawę. Sydney nie potrafi powiedzieć dlaczego, więc milczy.

- Nie mogę tu zostać - dodaje Jeff. Nie zostanie w domu, gdzie wbrew swej woli mógłby się znaleźć w jakimś pokoju sam na sam z Benem.

- Dość tego - mówi Sydney. - Zachowujecie się obaj jak uczniaki - dodaje, choć w rzeczywistości uważa, że to Jeff zachowuje się jak uczeń. Ben sprawiał wrażenie chętnego do zgody.

- Wrócę szybko - zapewnia Jeff, pochylając się, by ją pocałować. - Po powrocie przebiorę się w sypialni rodziców. Nie przejmuj się.

- Uważaj na siebie - prosi Sydney.

Jeff wzrusza ramionami.

- Kocham cię - mówi, otwierając drzwi.

Sydney przypadkiem dostrzega szybkie spojrzenie, którym Jeff obrzuca korytarz, nim wyjdzie za próg. W normalnych okolicznościach mogłaby je zinterpretować jako ostrożność - aby nie został przyłapany na wychodzeniu z pokoju kochanki - uroczy, acz anachronicz-

ny gest. Sydney jednak zna prawdziwy powód: chodzi o upewnienie się, że w pobliżu nie ma Bena.

Sydney kładzie głowę na poduszce. Kiedy się budzi, pragnie, by zaświeciło słońce. Przypuszcza, że zawsze jest nadzieja na słońce później, w odpowiedniej porze.

- Tylko na ceremonię - mówi głośno, targując się z tym, kto będzie obsługiwał światła w czasie dzisiejszego spektaklu.

Wstaje i rozgląda się za szlafrokiem. Jej matka może być już w kuchni i szuka sztućców albo nie wie, gdzie są płatki.

Poranek nieznacznie się wlecze. Ivers siedzi w jadalni i słucha audycji sportowej w radiu nastawionym cicho, sporadycznie macha przy tym rękami albo odpowiada niewidzialnym głosom. Sahir czyta „New York Timesa”, „Boston Globe” i „Barron's”, po które pojechał do Portsmouth. Matka Sydney nie ma zajęcia, zostaje więc zaproszona do grupki Julie, Helene i Sydney w pokoju tej ostatniej. Helene układa Sydney włosy.

Delikatne dłonie Helene sprawiają jej przyjemność, usypia ją cichy szmer rozmowy za plecami. Kiedy Helene prosi, by się odwróciła, patrzy przez przypominające bulaj transatlantyku okno, szukając na oceanie Jeffa - jaskrawopomarańczowa kamizelka ratunkowa w żółtym kajaku to wyrazisty obraz w szary dzień - ale on jeszcze nie wrócił. Sydney mówi sobie, że pora wciąż jest wczesna. Jeff ma kilka godzin wolności, jeśli istotnie tego właśnie potrzebuje: ostatniego łyku swobody. To ją przygnębia, woli bowiem myśleć o małżeństwie jako o wyzwoleniu, paszporcie do kraju, który kiedyś odwiedziła i teraz pragnie tam powrócić.

- Więc mu powiedziałam: „Nie dostałeś mojego mej-

la? Nie otworzyłeś go?". - Emily, przyjaciółka Sydney, która właśnie przyjechała, dołączyła do zgromadzenia w ciasnym pokoju. - A on na to, tylko słuchajcie: „Nie uważam e-maili za prawomocny tryb korespondencji”, Zapytałam: „Nie uważasz?”. Powtórzył, że nie, więc odparłam: „A co powiesz na to? Spierdalaj. Czy to będzie prawomocne?”. Musiałybyście widzieć twarz tego nadętego kutasa!

Skargi kobiet na mężczyzn, niektóre szczerze, większość nie, pewne anegdoty ulegają poprawkom zaraz po ich opowiedzeniu. Julie i Helene naturalnie nie mogą skarżyć się na mężczyzn, Sydney w gruncie rzeczy nie ma powodów do narzekań na tego, którego niedługo poślubi, tak więc pozostają tylko jej matka i Emily. Opowiadane przez nie historyjki w innych okolicznościach mogłyby wprawić Sydney w zakłopotanie.

- Och — mówi, patrząc na swoje odbicie w lustrze, naprzeciwko którego posadziła ją Helene. Zgodnie z obietnicą upięła jej włosy w kok, ale zrobiła to tak zręcznie, że wydaje się on luźny, chociaż zużyła przy tym wiele spinek i znaczną ilość lakieru.

- Włóż to - mówi Helene.

Sydney otwiera pudełko zawierające kolczyki z perłami.

- To dla mnie?

- Twój prezent ślubny - mówi Helene.

- Sądziłam, że prezentem jest fryzura. - Sydney przesuwając palcem po perłach w kształcie łez.

Helene całuje ją w policzek.

- Włóż je - powtarza.

Naturalnie Helene z góry wiedziała, jaki efekt dadzą kolczyki przy takiej fryzurze. Włosy tworzą korzystne ramy dla twarzy Sydney, podkreślając owal i uwydatniając

szuję, perłowe kolczyki są niczym dwa światełka w uszach. Poza nimi nie potrzeba innej biżuterii.

- Dziękuję - mówi Sydney. Wstaje i obejmuje Kandyjkę.

- Zazdroszczę ci - odpowiada Helene.

Sydney dopiero w ostatniej chwili zamierza włożyć suknię, która wciąż wisi na drzwiach szafy. Sandałki i szal czekają na krzesła. Pozostałe kobiety poszły przygotować się na uroczystość, z korytarza dobiega szum pryszniców. Sydney wyobraża sobie zaparowane lustra, suknie wiszące na wieszakach, kosmetyki ustawione na krawędzi umywalki.

Na dole krążą mężczyźni. Są w dobrym nastroju, aczkolwiek Sydney słyszy pytania zadawane dwa, trzy razy, przy czym w powtórzeniach pojawia się troska. Patrzy na zegar na komodzie; to spojrzenie obejmuje też widok z okna na ocean, którego jak dotąd nie przeciął żółty kajak. Za kilka minut, myśli Sydney, pytania staną się natrętniejsze, ton bardziej nagły, troska zmiesza się z irytacją.

Kiedy cichnie szum wody, głosy podnoszą się nieco, nie na tyle, by zaniepokoić pannę młodą, która zapewne pozostaje w błogiej niewiedzy w swojej sypialni, acz wystarczająco, by zebrać wszystkich mężczyzn. Pan Edwards mówi, że trzeba wyruszyć na poszukiwania.

- O Boże - szepcze Sydney.

Ojciec Jeffa przemawia do gości. Otulona szlafrokiem Sydney słucha z progu swojego pokoju. Uszytą przez Julie chusteczkę wsunęła za stanik. Chce ją mieć przy sobie podczas ceremonii.

- Jestem pewien, że nic mu się nie stało. Może musiał przybić do brzegu i teraz szuka sposobu na powrót do domu. Nie zabrał komórki, ho kajak łatwo się wywraca.

Przypuszczam, że popłynął na wyspy, zwykle tam pływa. Na Boga, co go akurat dzisiaj opętało? Ben, ty z Iversem i Peterem sprawdźcie wyspy. - Mark Edwards odwraca się ku Sahirowi, Frankowi i ojcu Sydney: - A wy pojedziecie ze mną do wioski. Niewykluczone, że będziemy musieli się rozdzielić. Właściwie nie wiem, co robić. Dobry Boże, co ten chłopiec sobie myślał?

Sydney zauważa, że Jeff w jednej chwili został zdeprecjonowany.

Mężczyźni we frakach, z białymi bukietami w butonierkach, wychodzą z domu. Sydney czuje zażenowanie z powodu tego zamieszania. W najlepszym razie całe miasteczko dowie się o panu młodym do tego stopnia beztroskim i lekkomyślnym, że w dniu ślubu wybrał się popływać kajakiem. O stadku mężczyzn-ptaków, którzy sfrunęli na ulice, by szukać zbłąkanego narzeczonego. Zakłopotanie jednak jest niczym w porównaniu ze strachem. Wyobrażenia podsuwa jej jeden obraz za drugim. Sydney nie potrafi cenzurować własnych myśli.

Czuje niepoohamowaną potrzebę położenia się i ostrożnie opiera głowę na poduszkach, by nie zniszczyć dzieła Helene. Dochodzi do wniosku, że wszystko dobrze się skończy. Jeff po prostu się zapomniał. Albo raczej miał Mark Edwards: Jeff musiał przybić do brzegu i teraz zastanawia się gorączkowo, co robić. Zaraz wszyscy wrócą, a Jeff karnie wysłucha docinków, biegnąc po dwa stopnie naraz. Szukając fraka i butów, pośle całusa Sydney, mówiąc, że wyjaśni wszystko po uroczystości.

Od czasu do czasu Sydney słyszy dzwonek do drzwi. Pojawiają się goście; Julie i Helene powierzono zadanie zabawiania ich bez ujawniania faktu, że pan młody zagiął. W swoim czasie jednak przybyli zaczną podejrzewać, że coś jest nie tak. Sydney przygryza wargę.

Uwięziona w swoim pokoju wkłada suknię i sandałki, by móc wyjść na korytarz i tam czekać. Nie zamierza schodzić do salonu.

- Tu jesteś! - woła Emily, wbiegając na górę.
- To szaleństwo - mówi Sydney.
- Wszystko będzie dobrze.

Emily ma na sobie suknię barwy wojskowej zieleni. Okulary powiększają ciemne oczy.

- Za kilka minut wszyscy będziemy się śmiać z tego skurczybyka, zobaczysz.

- Będziemy? - pyta Sydney.
- Możesz się założyć.

Sydney, czując lekki zawrót głowy, opiera dłoń na poręczy.

- Masz oszałamiającą sukienkę - mówi do przyjaciółki.
- Właśnie chciałam to samo powiedzieć tobie.
- Wszyscy już są?
- Becky utknęła w korkach, ale dojechała. Wszyscy jedzą, piją i szczerze mówiąc, guzik ich obchodzi, kiedy się rozpocznie ceremonia. Wiesz, że ślub to tylko pretekst do imprezy.

Sydney milczy.

- Ale kiedy Jeff przekroczy próg - mówi Emily obojętnie - skręcę mu ten jego pieprzony kark.

Sydney wraca do pokoju i siada na łóżku. Robi przegląd swojej małżeńskiej historii. Dwukrotnie zamężna: raz rozwiedziona, raz owdowiała. Miała nadzieję, że dzisiaj dokona kolejnego wpisu, ale kto może wiedzieć, jak będzie brzmiał?

Słyszysz trzaskanie drzwi i podniesione głosy. Wydaje się, że zawarta w nich energia wtacza się po schodach na górę i wpada do pokoju. Sydney biegnie do poręczy.

Frontowe drzwi się otwierają, do domu wchodzi Mark Edwards. Twarz ma stężałą.

- Jeff wrócił? - woła Sydney bez tchu.

Pan Edwards jednak najwyraźniej jej nie słyszy.

Za nim idą Sahir i Ivers.

- Czy z Jeffem wszystko w porządku? - pyta z góry Sydney.

Nienaturalnie pobladły Ivers podnosi na nią wzrok.

- Znaleźliśmy go - mówi. Zatrzymuje się i odwraca do drzwi.

Do holu wchodzi Jeff niczym eksplozja koloru, zapiętą pomarańczową kamizelkę niesie przewieszoną przez ramię. Przystaje. Włosy i ciało wciąż ma wilgotne, kąpielówki przywierają mu do skóry, bose stopy są prawie sine.

Sydney śmieje się i płacze jednocześnie.

- Dzięki Bogu! - woła. - Dzięki Bogu, nic ci nie jest! - Chwyta się poręczy, ulga sprawia, że nogi się pod nią uginają.

- Nic mi nie jest - mówi Jeff cicho. Sydney nagle zauważa, że nie jest to spokój człowieka zganionego, ale kogoś, kto już się odsunął, oddzielił.

Jego głos przenika ją chłodem. Nie rozumie.

Spogląda na kamienną twarz ojca i mokre spodnie Bena.

- Dupek - mówi Ben.

Do holu napływają goście.

Jak gdyby byli w kostiumach z różnych sztuk: Jeff w przyklejonych do ciała kąpielówkach, z kamizelką ratunkową u stóp; Sydney, która zamknęła drzwi do pokoju, w jedwabiu barwy łososiowej i kolczykach z perłami.

- Gdzie byłeś? - pyta z dłońią na piersi.

- Na jednej z wysp.
- Aż tak daleko? Kto cię znalazł?
- Słuchaj, nie mogę tego zrobić. Przykro mi.
- Co?

Jeff milczy.

Sydney kręci głową z niedowierzaniem.

- Już mnie nie kochasz?
- Kocham cię.

Sydney wyciąga dłoń.

- Nie chcesz się ze mną ożenić?
- Nie.

W tej samej chwili ona już wie, że wszystko skończone.

Z dołu słychać okrzyki zaskoczenia; frontowe drzwi otwierają się i zamykają. Słońce wychodzi zza chmur, co Sydney odbiera jako niepotrzebne okrucieństwo.

- Myślałaś, że byłem szczęśliwy? - pyta Jeff.

- Myślałam, że byłeś... - Sydney szuka odpowiedniego słowa - ... niespokojny.

- Byłem. Jestem.

Sydney nie potrafi wykonać żadnego ruchu.

- Wrócę do mieszkania - mówi Jeff. - Zabiorę wszystkie swoje rzeczy. Byłoby najlepiej, gdybyś mogła zostać tutaj na noc. Do jutrzejszego popołudnia już mnie tam nie będzie.

To, że on w takiej chwili potrafi myśleć o opróżnieniu mieszkania, wprawia Sydney w zdumienie. Z drugiej strony Jeff zawsze ją wyprzedzał.

Teraz odwraca się do okna. Przyciska dłoń do szyby. Sydney patrzy na jego długie plecy, opalone nogi. Czy on płacze?

- Postąpiłbyś tak samo z Victorią? - pyta go.

Odpowiedź zabiera Jeffowi sporo czasu.

- Nie - mówi wreszcie.

Coś trzepocze jej w piersiach.

- Dlaczego nie?

- To była poważniejsza sprawa.

Sydney jest zdziwiona, że on nie próbuje nawet złagodzić ciosu.

Jeff kładzie dłonie na biodrach.

- Chyba można powiedzieć, że zrobiłem to Benowi.

I znowu Sydney nie rozumie.

- Benowi? - pyta.

- Żeby zrobić mu na złość.

W głowie jej wiruje. Ostatni raz jadła wcześniej rano. Nagle przychodzi jej na myśl całe to zamówione jedzenie, które teraz się zmarnuje. Wszystkie ścięte kwiaty. Mark Edwards. Julie, która może nawet teraz pełna nadziei czeka na dole na pojawienie się państwa młodych - trochę potarganych, nieco zdyszanych, mimo to gotowych na ceremonię w promieniach słońca.

- Nie mogę się z tobą ożenić - ciągnie Jeff. - Sama widzisz, że byłoby to nieszczerze.

Sydney kręci głową.

- Jemu na tobie zależało - wyjaśnia krótko Jeff.

Sydney odwraca twarz, jakby odrzucając źle zrozumianą uwagę.

- Widziałem to w dniu, kiedy tu przyjechaliśmy i pływaliliśmy na falach - tłumaczy Jeff. - Nie mogłem oderwać od ciebie oczu. A później, po pierwszym rejsie łódka, powiedział, że różnisz się od innych kobiet, jesteś inteligentna i niczego nie udajesz. Było dla mnie jasne, że się tobą zainteresował.

- Ale ty miałaś Victorię.

- To prawda.

Sydney rozgląda się po pokoju, szukając oznak normalności. Na komodzie stoi lakier do włosów, obok białe pudełko po kolczykach. Ze stolika nocnego spadła książka. Kiedy to się stało?

- Te sprawy... - Jeff wskazuje ręką drzwi, okno. - Te sprawy nie są wynikiem zimnego wyrachowania, jak przypuszczalnie sądzisz. Czasami dopiero z perspektywy czasu uświadamiasz sobie, co zrobiłeś.

Sydney wyciąga spinę z włosów i kładzie na kolanach.

Jeff bierze głęboki wdech, preludium do ostatecznego wyznania.

- Victoria była wcześniej dziewczyną Bena.

Sydney milczy.

- Dziwię się, że ci nie powiedział.

- Nie powiedział.

- Ha, w takim razie punkt dla Bena.

- Czy to jest gra? - pyta Sydney.

Krew odpływa jej z głowy, twarzy, ramion i gromadzi się gdzieś w głębi klatki piersiowej. Dłonie drżą z szoku albo gniewu. Wszystko, co sobie wyobrażała - życie z Jeffem, małżeństwo, dzieci, z którymi pewnego dnia przyjechałaby odwiedzić ich dziadka - nigdy się nie zdarzy. Nic nie było prawdziwe.

Jeff zbliża się do niej, jakby chciał ją objąć. Odpycha go, odrzucając jego współczucie, teraz fałszywe i zdradzieckie. Już widzi siebie chodzącą samotnie po ulicach miasta, siadającą na ławce albo opartą o poręcz. Z niemym przerażeniem w sercu myśli o wszystkim, co trzeba będzie zrobić, by zdemontować to życie.

- Sydney - mówi Jeff.

- Odejdź.

Słyszy dźwięk zatraskiwanych za jej plecami drzwi.

Sydney zamyka drzwi na klucz i kładzie się. Czeką. Od czasu do czasu słyszy czyjś podniesiony głos, płacz jakiejś kobiety. Niekiedy ktoś puka i woła ją po imieniu, ale ona nie odpowiada. Czeką godzinę, dwie godziny. Czeką na tyle długo, by zyskać pewność, że wszyscy sobie poszli. Ma nadzieję, że Ivers, Sahir i inni wrócili do Bostonu. Modli się, by jej rodzice okazali rozsądek i pojechali do swoich domów. Za minutę weźmie torebkę, zejdzie po schodach i opuści ten dom. Pójdzie pieszo do Portsmouth, gdzie wsiądzie do autobusu. Jeszcze się nie zdecydowała, dokąd pojedzie.

Kiedy uznaje, że już można, otwiera drzwi. Na korytarzu panuje absolutna cisza. Schodząc po schodach z czarną walizką w dłoni, nasłuchuje odgłosów z pokoiów przyległych do holu. Zastanawia się, czy wszyscy wiedzą, że ona tu jest, czy pozwolą jej odejść. Na wieszaku koło drzwi wisi jej płaszcz przeciwdeszczowy. Nie pada, ale Sydney i tak go zabiera i narzuca na łososiową sukienkę.

- Sydney - odzywa się Mark Edwards z progu kuchni. Wciąż jest w ciemnym ubraniu, lecz albo zdjął krawat, albo zerwał go w gniewie. - Nie wiem, jak zacząć...

Ucisza go gestem dłoni.

- Wezwę ci taksówkę - mówi niedoszły teść. - Masz pieniądze? Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz. Wstydzę się za syna. - Wchodzi do holu. - Chcę się go wyrzec... Julie jest niepocieszona.

Sydney kieruje się do drzwi.

- Kupiłem ten dom dla rodziny, dla idei rodziny - ciągnie pan Edwards. - Wyobrażałem sobie, że wszyscy się tutaj zgromadzą. Atrakcyjne dla chłopców i Julie miejsce sprawi, że dzieci częściej będą nas odwiedzać. Kto może się oprzeć morzu? A później pojawią się wnuki i poko-

chają ten dom. - Jego dolna warga drży. - Plaża. Woda...
- Kręci głową. Twarz mu się wykrzywia. Z kieszeni wy-
ciąga białą chusteczkę.

Sydney kładzie dłoń na jego ramieniu.

- Daj nam znać... - prosi mężczyzna i przykłada chu-
steczkę do twarzy.

- Kochałam go - mówi Sydney.

Ojciec Jeffa kiwa głową.

- Dam panu znać - dodaje Sydney, wychodząc.

RS

Pociąg, którym Sydney wraca do miasta, mija opuszczone fabryki, pokryte azbestem domy, sklep o nazwie Tom's Autobody. Młoda kobieta wyobraża sobie, jak atomy jej ciała rozpadają się, tworząc chaos, i opuszczają jej wnętrze.

Podróż ma trwać godzinę. Albo dwie. Sydney straciła poczucie czasu.

Zbliża się ku niej młody mężczyzna w białej koszuli. Odezwie się do niej?

- Przepraszam, ja tu siedziałem.

Sydney podnosi wzrok i dopiero teraz zauważa mały płócienny worek na półce na bagaż. W oddechu młodego mężczyzny wyczuwa bekon. Nie ufając własnym nogom, po prostu przesuwa się pod okno.

Nieco speszony młody mężczyzna siada obok niej.

- Dokąd pani jedzie?

Sydney otwiera usta.

- Do Bostonu? - podpowiada mężczyzna.

W milczeniu kiwa głową.

- Na zakupy? Do teatru?

W najlepszych swoich momentach Sydney uznałaby te pytania za natrętne. Teraz są udręką.

- Do miasta. - Tylko tyle udaje się jej powiedzieć.

Samo to słowo jest oazą.

Pociąg mija domy, farmy, stogi siana. Sydney próbuje przekonać samą siebie, że jest w Anglii. Zastanawia się, czy teraz całe jej życie będzie próbą przekonywania siebie, że znajduje się w innym miejscu niż to, w którym akurat przebywa.

Kiedy pociąg wjeżdża do Bostonu, Sydney, kierując się znakami, idzie na stację metra przy Park Street. Przy wyjściu na ulicę dostrzega, że schody ruchome są zepsute. Musi wciągać czarną walizkę po stopniach. Nim dociera na górę, uchwyt się odłamuje.

Wychodzi ze stacji przy Park Street i idzie w kierunku State House, przyciągana przez połyskującą złotą kopulę. Ogarnia ją przekonanie, że gdy dojdzie na szczyt wzgórze, wpadnie jej do głowy praktyczny pomysł.

Na szczycie siada na kamiennym stopniu. Powinna była wziąć taksówkę z dworca kolejowego i zapytać taksówkarza o radę. Spogląda w dół zbocza. Portier pomaga mężczyźnie wyładować rzeczy z samochodu. Sydney wstaje i idzie w jego kierunku. Zbliżywszy się, widzi wejście do hotelu tak dyskretne, że nie ma nim żadnej nazwy, tylko rzymskie cyfry. Wchodzi przez obrotowe drzwi do holu.

W przeszłości to mógł być klub dla mężczyzn. Drewniana boazeria i marmurowa podłoga sprawiają takie wrażenie. Czarno-rdzawe fotele stoją pod złotym zegarem w kształcie słońca. Za szklaną szybą oprawną w drewno siedzi recepcjonista. Metalowe stoliki ustawione są w sali niczym rzeźby. Sydney pragnie tylko usiąść i to robi. Nic w tym holu nie przypomina jej żadnego miejsca, w którym wcześniej była, co już jest zaletą.

Za jej plecami wznoszą się marmurowe schody ze złotą poręczą. Sydney zastanawia się, dokąd prowadzą. Spo-

gląda na zegarek: szósta dwadzieścia. Czy o tej porze byłoby z Jeffem w drodze na lotnisko?

- Czym mogę pani służyć? - pyta młody recepcjonista. Ma na sobie czarny uniform i sprawia wrażenie obcokrajowca. Jest z Europy Wschodniej? Rumunii?

Sydney wstaje z wysiłkiem, jakby miała parędziesiąt lat więcej niż w rzeczywistości. Wlecze za sobą walizkę z odłamanym uchwytem. Po raz pierwszy od wyjścia z domu Edwardsów uświadamia sobie, że pod płaszczem przeciwdeszczowym ma łososiową sukienkę ślubną.

- Była już pani u nas? - pyta recepcjonista.

Sydney przecząco kręci głową.

Recepcjonista wprowadza informacje do komputera, chociaż żadnych mu nie podała. Sydney zastanawia się, co on napisze. Zrozpaczona kobieta? Podniszczona walizka z odłamanym uchwytem? Nigdy u nas nie była?

- Jedna osoba dorosła? - pyta recepcjonista.

Pytanie wydaje się zbędne.

- Tak - odpowiada Sydney.

Młody człowiek przesuwa papier po blacie. Pokój kosztuje więcej, niż przypuszczała, ale szukanie gdzie indziej po prostu nie wchodzi w grę.

- Pokój dziewięćset sześć jest wolny - informuje recepcjonista. - Bardzo ładny - dodaje.

W windzie są szklane drzwi. Sydney kręci się w głowie, gdy kabina unosi się z piętra na piętro. Na każdej kondygnacji stoi stół z misą jabłek, co nasuwa przypuszczenie, że wszystkie są identyczne. Ale to nieprawda. Jadąc w górę, Sydney usiłuje odkryć różnicę. Na ósmym piętrze już wie: ozdabiają je inne dzieła sztuki.

Klucz jest barwy złota i zdradliwy, Sydney ma spore trudności z włożeniem go do zamka. Wyobraża sobie, że

to hotel, w którym posiadający władzę mężczyźni urządzają schadzki z elegancko ubranymi kobietami o ustach pomalowanych szkarłatną szminką i w butach tego samego koloru.

Z wystroju holu mogła się domyślić, jak będzie wyglądał pokój. Ściany pomalowano na głęboki kawowy odcień. Wiszą na nich czarno-białe fotografie gargulców. Pokój Sydney jest narożny i ma sześć wielkich okien. Za nimi ciągną się wystające ślimacznice jak na wyższym piętrze bogato zdobionej katedry. To mogłyby być Włochy albo Praga, chociaż jest coś bardzo amerykańskiego, wręcz jankeskiego w solidności i męskim charakterze wnętrza. Pod ścianą stoi łóżko z ciemnym baldachimem.

Sydney krąży po pokoju, dotyka różnych rzeczy. W drewnianym pudełku odkrywa papeterię. Wysuwa telewizor z konsoli. Kiedy go włącza, słowa brzmią ostro i krzykliwie. Wszystko, co przekazują, jest fałszem.

Dzwoni do recepcji.

- Żadnych gazet - mówi.

Ma do dyspozycji kominek, sofę i brązową otomanę.stoi tu też czarno-brązowy fotel podobny do tych z holu. Do drzwi przymocowane są wielkie metalowe ozdoby. Sydney siada na otomanie i patrzy. Tak wiele jest do przemyślenia.

Zamawia do pokoju talerz serów. Nie miała nic w ustach od rana, a na śniadanie zjadła tylko pokrojone jabłko, bo nie chciała, by sterczał jej brzuch przez jedwab sukni. Cóż za staroświecki pomysł, myśli teraz.

Zdejmuje ślubną suknię, która spada na posadzkę łazienki, i wkłada hotelowy szlafrok. Kiedy odpina stanik, znajduje w nim niebieską chusteczkę. Po raz pierwszy od chwili, gdy Jeff wszedł do domu w kąpielówkach i z ka-

mizelką ratunkową na ramieniu, Sydney wybuchła płaczem.

Tyle wysiłku ze strony Julie, myśli, przesuając palcami po kwadratach. Tak dużo miłości.

Nie podnosi sukni z posadzki. Zostawia to pokojówce. Może nawet da jej tę suknię.

Napuszcza wody do wanny i zanurza się w niej. Odkrywa, że jeśli się nie porusza, powierzchnia jest gładka, nie burzy jej najmniejsza zmarszczka. Sydney się uspokaja.

Tutaj nie pływa się na falach.

Po kąpieli i zjedzeniu serów Sydney dzwoni do matki.

- Jestem tutaj - mówi.

- Gdzie? - pyta matka z ulgą w głosie.

Sydney podaje nazwę hotelu.

— Bardzo elegancki - dodaje.

- Nie przejmuj się ceną - radzi matka, co w jej przypadku jest reakcją nietypową. - Co się stało?

- Nie wiem. - Sydney nie potrafi teraz wyjaśnić poczynań Jeffa.

- Nic nie rozumiem - ciągnie matka. - Sprawiał wrażenie miłego mężczyzny. Nigdy bym nie pomyślała, że jest zdolny do czegoś takiego.

- Ja też nie.

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem.

- Idź na spacer - proponuje matka.

Sydney potakuje. Myśli, że to chyba najbardziej użyteczna rada, jakiej kiedykolwiek udzieliła jej matka.

- Może na zakupy? - dodaje matka, w jednej chwili wszystko psując.

- I co miałabym kupować? - pyta Sydney.

Odkłada słuchawkę. Rozmowa ją wyczerpała. Nienawidzi telefonu.

Kładzie się na łóżku, opierając stopy na podłodze. Przez jakiś czas wpatruje się w baldachim i myśli, co teraz robi Jeff. Wciąż jest w domu przy plaży? Pojechał do mieszkania w Cambridge? A może poleciał do Paryża? Może nawet zadzwonił do Victorii?

Zsuwa z ramion puchaty szlafrok i wczołguje się pod jedwabną brązową pościel. Naciąga kołdrę na głowę.

Kiedy dzwoni telefon, postanawia nie odbierać. W ostatniej chwili odrzuca kołdrę i podnosi słuchawkę.

- Przykro mi, że to musiało cię spotkać - mówi ojciec.

Sydney przypomina sobie żydowskie słowo. *Beshert*.

- Ale wiesz, co zawsze powtarzam - ciągnie ojciec.

- Ze jestem twarda? - mówi Sydney.

Przez kilka dni wychodzi z hotelu, a potem do niego chodzi. Portier jej się kłania. Recepcjonista pozdrawia rano lub wieczorem, ale poza tym niewiele mówi. Sydney uważa, że to idealny układ.

Nie ładuje telefonu komórkowego.

Oblicza, ile pieniędzy pozostało na jej osobistym rachunku oszczędnościowym. Zjeżdża windą na parter z młodym sympatycznym kierownikiem o imieniu Rick negocjuje niższą cenę. Wspólnie ustalają, że może spędzić hotelu dwadzieścia dwie doby, dzień dłużej niż miała trwać planowana podróż poślubna. Sydney postanawia, będzie myślała o pobycie w Bostonie jako o czymś rodzaju antymiesiąca miodowego.

Odkrywa, że jeśli jest rozsądna i ostrożna, i tylko czasami wychodzi z pokoju, Jeff i Edwardsowie nie przychodzą jej tak często na myśl. Choć prawdę mówiąc, nigdy jej nie opuszczają.

Uczucie jest podobne do tego, którego doznawała po nagłej śmierci Daniela. Tylko że nigdy nie chciała zapomnieć o Danielu.

Po drugiej stronie ulicy jest kamienica. Sydney godzinami siedzi w obitym jedwabiem fotelu i na podstawie poruszeń w oknach naprzeciwko usiłuje odgadnąć życie mieszkańców. Rzadkie wyjścia i przyjścia wymagają od niej uruchomienia wyobraźni, wymyśla więc historie, które przez wiele godzin ją zajmują.

Czasami Sydney, siedząc w hotelowej restauracji albo idąc ulicami Beacon Hill, zastanawia się, jak by zareagowała, gdyby знаła przyszłość. Gdyby w wieku osiemnastu lat, kiedy kończyła szkołę średnią, dowiedziała się, że jako trzydziestolatka będzie miała za sobą dwa małżeństwa i narzeczonego, który opuścił ją przed ołtarzem, czy musiałaby chwycić się krzesła i usiąść? Byłaby podniecona? Przestraszona? Smutna? Nie chciałaby wiedzieć, dlaczego?

Pewnego dnia, gdy jest w pokoju, przychodzi pokojówka. Przeprasza i wskazuje przełącznik na ścianie, który Sydney zauważyła, ale ignorowała, nie wiedząc, do czego służy.

- To przełącznik prywatności - wyjaśnia dziewczyna.
- Kiedy go pani włączy, nad drzwiami na zewnątrz zapali się czerwona lampka i nikt nie będzie pani przeszkadzał.

Sydney kręci głową zdumiona.

- Przełącznik prywatności - powtarza z podziwem.

Zastanawia się, czy Jeff rozumie, co jej zrobił. Chyba tak, jako że nie dzwoni do niej ani nie podejmuje innych prób wytłumaczenia się. Kiedy Sydney myśli o takim Jeffie, jakiego nigdy dobrze nie poznała - o tym, który myślami często przebywał gdzie indziej - jego zdradziecki czyn wydaje się prawdopodobny. Któż może wiedzieć, co planował przy wszystkich tych okazjach, gdy w jej obecności wpatrywał się w przestrzeń? A jednocześnie ów po-

stępek nie mieści się jej w głowie, gdy wspomina tego Jeffa, który zmieniał żarówkę, który prosił, by za niego wyszła. W chwilach zaś gdy Sydney może w miarę rozsądnie myśleć o mężczyźnie, z którym się kochała, jego postępowanie wymyka się wszelkim próbom wyjaśnienia.

Niekiedy budzi się, mając przed oczami obraz Jeffa, który stoi w jej pokoju w weselne popołudnie i tłumaczy, że nie może się z nią ożenić, ponieważ była to tylko skomplikowana gra. Pamięta tamten szok. Czasami myśli, że nie różnił się od szoku, jaki wywołała u niej wiadomość o tym, że Daniel umarł na podłodze jednej z najlepszych klinik na świecie. Informacja owa wprawiła ją w oszołomienie. Umysł odmówił pogodzenia się z faktami. Mimo to Sydney wie, że z czasem - bo czyż nie tak stało się po śmierci Daniela? - uformuje się wokół niej coś w rodzaju przymusowej akceptacji, jak u homara budującego nową skorupę, która na początku jest miękka i podatna na zgniecenie, by w końcu tak stwardnieć, że do złamania jej potrzebne będą szczypce.

Nie może się tego doczekać.

Wychodząc pewnego dnia rano z hotelu, Sydney widzi parę w średnim wieku, która siedzi na prążkowanej sofie w holu. Trzymają się za ręce. Są do siebie podobni. Sydney myśli, jak to jest, kiedy dwoje ludzi jest ze sobą w związku tak długo, że zaczyna się do siebie upodabniać. Zastanawia się, czy z nią i Jeffem też by tak było, gdyby przeżyli wspólnie tyle lat. Zadaje sobie pytanie, czy para na sofie odnowiła przysięgę.

Sydney wie, że są sprawy ważniejsze niż miłość i jej utrata. Upośledzenie dziecka. Terroryzm. Samobójcze ataki bombowe. Chodząc ulicami miasta, raz po raz to sobie powtarza.

Usiłuje czytać, najpierw czasopisma, później książkę. W obu wypadkach ponosi porażkę. Nie może znieść telewizji, dlatego chodzi. Niewiele ze sobą przywiozła, kupuje więc rozsądne ubrania. Po tygodniu sprawia sobie butelkę ulubionego olejku do kąpieli i uważa to za zwycięstwo.

Sydney liczy dni. Na początku jest ich dwadzieścia dwa, później piętnaście, dziesięć. Gdy zostaje jej dziewięć dni, wychodzi z hotelu w wygodnych butach z zamiarem przejścia się przed śniadaniem. Jeśliby kiedyś zamieszkała na Beacon Hill, będzie znała wszystkie najlepsze lokale.

Recepcjonista mówi jej dzień dobry. Portier wita ją ukłonem i uśmiechem. Sydney, która ma zamiar przejść na drugą stronę ulicy, mija dwa zaparkowane samochody.

Katastrofa u stóp wzgórza - wypadek samochodowy - przykuwa jej uwagę. Wchodzi na jezdnię i słyszy pisk hamulców, a zaraz potem czuje uderzenie.

Następuje chwila czystego zdziwienia zastąpionego szybko falą bólu, gdy Sydney koziółkuje po ulicy.

Portier, taksówkarz i nieznajomy mężczyzna o wyglądzie Europejczyka nachylają się nad nią. Sydney próbuje usiąść. W nadgarstku czuje dotkliwy ból, lecz zauważa też drobną zmianę w świadomości, jakby obudziła się z drzemki.

Europejczyk - Sydney dostrzega, że jest pięknie ubrany w ciemny garnitur i śnieżnobiałą koszulę - wyjmuje telefon komórkowy, jednocześnie podtrzymując jej głowę. Zadyszany policjant także się nad nią nachyla. Przez chwilę Sydney widzi wyłącznie twarze.

- Boli mnie tylko ręka - tłumaczy.

- Weszła pani między samochody - wyjaśnia Europejczyk; mówi chyba z brytyjskim akcentem. - Obserwowałem panią, czekając na swój samochód. Taksówka nie była w stanie zahamować.

- Powinam się była rozejrzeć - mówi Sydney.

- Jak, tak - zgadza się taksówkarz.

Sydney podaje swoje nazwisko i hotel jako miejsce pobytu. Kiedy wnoszą ją do karetki, dostrzega, że taksówka zatrzymała się pod dziwnym kątem przed wejściem do niego. Za nią ciągnie się sznur samochodów.

Rick, szef recepcji, towarzyszy Sydney do szpitala. Jako człowiek nawykły do organizowania rzeczywistości natychmiast sprowadza lekarza. Prześwietlenie wykazuje złamaną kość. Kiedy lekarz ją nastawia, Rick trzyma Sydney za zdrową dłoń.

Wieczorem, gdy Sydney wraca do hotelu z nadgarstkiem w gipsie, z bocznych drzwi na jej powitanie wychodzi personel. Nie może sama jechać windą, do pokoju towarzyszą jej więc recepcjonista i portier. Sydney ma nadzieję, że nie zostawiła na krześle żadnej kłopotliwej odzieży.

W pokoju już są bukiety. Sydney od razu rozpoznaje hotelowe kwiaty, ponieważ są barwy kości słoniowej. Personel w żadnym razie nie zepsułby wystroju.

O mniejszy wazon z różowymi lwimi paszczami oparta jest wizytówka z podpisem głoszącym „Cavalli”.

Włoch, myśli Sydney.

Na stole przy otomanie przygotowano zimny posiłek: dobre sery, chleb, winogrona, truskawki, oliwki, orzechy. Sydney widzi, że jest to posiłek, który bez trudu można zjeść jedną ręką.

Zauważa coś jeszcze, coś dziwnego i cudownego. Po raz pierwszy od ślubu, który się nie odbył, czuje ożywienie.

Rankiem na cztery dni przed końcem pobytu Sydney otrzymuje napisany odręcznie liścik, który do pokoju przynosi jej portier o imieniu Donald. Pan Cavalli pije kawę w restauracji i pyta, czy Sydney nie zechciałaby mu towarzyszyć. Ma nadzieję, że ręka już mniej ją boli.

Sydney przegląda się w lustrze. Nie jest dobrze ubrana, ale może to lepiej, niż gdyby jej wygląd sprawiał wrażenie, że się wyszykowała. Z powodu unieruchomionego nadgarstka zostawiła włosy samym sobie - układają się nie tak, jakby chciała. Sydney wzdycha. To nie tak, że nie ma ochoty na spotkanie z Cavallim albo uważa, iż on ją podrywa. Rzecz w tym, że od osiemnastu dni nie prowadziła z nikim rozmowy dłuższej niż wymiana kilku zdań.

Gdy wchodzi do restauracji, Cavalli wstaje. Ma na sobie elegancki garnitur, całkiem inny niż te, które Sydney widuje w swoim świecie zaludnionym przez pracowników uniwersytetu i urlopowiczów odpoczywających na letniku. Biała i sztywna koszula sprawia wrażenie, jakby została kupiona dziś rano.

- Tak się cieszę - zaczyna Cavalli doskonałą, acz oficjalną angielszczyzną, której nauczył się nie w Ameryce, lecz może w Londynie, akcent stanowi mieszankę włoskiego i brytyjskiego. Mężczyzna (nie zauważyła tego w czasie wypadku) jest dość wysoki. Na moment zbija ją to z tropu, ale on gestem zaprasza, by usiadła.

Musiał wcześniej rozmawiać z kelnerem, ponieważ na stole widać dzbanek kawy i talerz ciastek. Sydney rozumie, że jest to człowiek, który organizuje własną przyszłość i nie czeka, aż go obsłużą. W tych okolicznościach żałuje, że nie włożyła mniej ponurego stroju, a przynajmniej nie przesunęła grzebieniem po włosach.

- Jeśli w coś mógłbym pani pomóc... - mówi Cavalli, podczas gdy kelner nalewa kawę do filiżanek. Sydney nasuwa się refleksja: A jeśli wolałabym herbatę? Po tej myśli przychodzi następna: Czy czekając na jej przyjście, Cavalli wypytał personel o to, co Sydney Sklar zwykle pija rano?

- Odezwałbym się wcześniej - dodaje mężczyzna - ale

myślałem, że będzie pani wypoczywać. Czy ręka bardzo panią boli?

- Nie bardzo.

- To dobrze.

Zapada chwila ciszy.

- Skąd pan pochodzi?

- Dorastałem w Londynie i Neapolu.

Na zewnątrz wyłożonej ciemnym drewnym sali samochody wolnym sznurem zjeżdżają w dół z boczka. W odległości niespełna dziewięciu metrów potrąciła ją taksówka. Za barem kelnerka białą ścierkę poleruje kieliszki do wina. Może słucha, może snuje marzenia na jawie. Czy irytuje ją czasami arogancki gość, który domaga się, by specjalnie dla niego otworzono restaurację? Czy przy takich okazjach pieniądze przechodzą z rąk do rąk?

Za godzinę, dwie salę wypełnią ludzie biznesu obojga płci, płacący olbrzymie sumy za chilijskiego morskiego bassa i sałatkę z owoców morza. Sydney dobrze zna menu, zawsze jednak wybiera taką porę na posiłek, by przyjść na początku lub pod koniec godziny szczytu. Naturalnie sałatki są wyśmienite. Przez kilka ostatnich dni nauczyła się jeść skomplikowane nawet dania jedną ręką.

- Czym się pan zajmuje? - pyta swego towarzysza.

- Mam nadzieję, że nie uzna tego pani za natręctwo - mówi Włoch, pozostawiając jej pytanie bez odpowiedzi. Unosi filiżankę do ust. Sydney zauważyła wcześniej, że szczerze posłodził kawę, tak szczerze, że wyobraża sobie, iż cukier niczym szlam leży nierozpuszczony na dnie naczynia. - Mieszka pani tutaj? W tym hotelu?

Sydney nie ma ochoty omawiać powodów swej obecności w dyskretnym hotelu. Nikomu nie powiedziała, dlaczego tutaj jest, aczkolwiek przypuszcza, że personel snuje rozmaite domysły. Dwadzieścia dwa dni to dziwna

liczba, okres zbyt długi na zwiedzanie czy podróż służbową. Tak czy owak dla wszystkich musi być jasne, że Sydney Sklar nie załatwia żadnych interesów.

- Miałam wyjść za mąż - wyjaśnia. - Ale mój - tu chwilę się waha nad określeniem, które zawsze wszystko ujawnia - mój narzeczonny zmienił zdanie w dniu ślubu. Przyjechałam tutaj na coś w rodzaju antypodróży poślubnej.

- Tak mi przykro - mówi Włoch i po wyrazie jego oczu widać, że naprawdę jest mu przykro. - Ten mężczyzna na panią nie zasługiwał - dodaje.

- Tego nie może pan wiedzieć - odpowiada Sydney cokolwiek obronnym tonem. Zastanawia się, czego broni? Jeffa? Własnego osądu? Upija łyk kawy. - Mogło być odwrotnie.

- Pani słowa oznaczają, że to nieprawda. Miałem rację. Nie zasługiwał na panią. Wytłumaczył się?

- Po prostu się nie zjawił. Jego ojciec i brat musieli go szukać. Nie wiem, co chciał osiągnąć tą ucieczką. Przez to jego postępowanie stało się bardziej jawne, bardziej zenujące, choć oczywiście to ja czułam wstyd.

Cavalli bez słowa kiwa głową. To jasne, że kobieta odczuwa wstyd porzucenia. Włoch być może myśli, że to jej obowiązek.

- To wygląda na akt czystego tchórzostwa z jego strony - oświadcza.

- Powiedział, że poprosił mnie o rękę z niewłaściwych powodów. Że zrobił to, by zranić brata.

- Jego brat panią kochał?

- Myślę, że to bardziej skomplikowane. Jego brat nie okazywał, że mnie kocha. Wręcz przeciwnie.

- Przykro mi, jeśli opowiadanie o tym sprawia pani ból.

- Po raz pierwszy o tym mówię. - Sydney spleta dłonie na kolanach. Odczuwa wielką i pożądaną kapitulację.

- Nie chciałem być wścibski.
- To mi sprawia ulgę.
- Tak, widzę.
- To było takie... takie... - jąka się. - Byłam częścią ich rodziny, a teraz nie jestem. A ta rodzina wiele dla mnie znaczyła.

- Czy pobyt tutaj pani pomógł? - Cavalli gestem wskazuje hotel.

- Sądzę, że tak. Na pewno. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym poczęła, gdybym tu nie przyjechała.

Cavalli siada wygodnie na skórzanej sofie, jedną dłonią wciąż dotykając filiżanki. Uzupełnia swój strój gestami dorównującymi elegancją krojowi garnituru.

Sydney wyczuwa dwuznaczność sytuacji. Młoda kobieta polerująca kieliszki zapewne uzna ich za kolejną parę na potajemnej randce, chociaż żadne wypowiedziane przez nich słowo ani uczyniony gest na to nie wskazują. Mimo to cel spotkania pozostaje niejasny dla Sydney. Mogłaby wstać, wyjść i nigdy nie poznać podtekstu, którym jest ciekawość albo zwykły pociąg.

Jednakże Włoch wydaje się zbyt wyrafinowany, by w tak pospolity sposób ją uwodzić. Teraz wiedziałby już, że Sydney niewłaściwie podchodzi do kwestii miłości. Albo pragnie jej nadmiernie, albo wcale.

- Byłem kiedyś zakochany - mówi Cavalli, przypuszczalnie pragnąc własnym wyznaniem zrównoważyć usłyszaną historię. Ma doskonałe maniery. Przewidując pytanie Sydney, dodaje: - Była Brytyjką. Poznałem ją na uniwersytecie. Jej rodzice się sprzeciwili.

- W takim razie musiała być bardzo młoda, skoro ich posłuchała.

- Myślę, że trochę się mnie obawiała. Bała się, że będę chciał zamieszkać w Neapolu.

- A uczyniłby to pan?
 - Nie, gdyby to było wbrew jej woli. Sądzę, że nigdy nie pojęła, jak wielką ma nade mną władzę.
 - Nadal ją ma?
 - O tak - odpowiada mężczyzna z uśmiechem.
- Sydney myśli, że Włoch uroczo się uśmiecha. Ma duże, osłonięte ciężkimi powiekami oczy i wysokie czoło. Równie dobrze może mieć trzydzieści, jak i czterdzieści pięć lat.
- Co się z nią stało? - pyta.
 - Zrobiła karierę w banku.
- Sydney pije łyk kawy.
- Może obecnie jest bardziej pewna siebie i sprzeciwiałaby się rodzicom.
 - To było wiele lat temu - mówi Cavalli. - Od tamtego czasu wyszła za mąż i rozwiodła się.
 - Założę się, że jej rodzice teraz żałują.
- Włoch się uśmiecha.
- Wątpię, by poświęcali tej sprawie choć jedną myśl. Nie należą do ludzi, którzy oglądają się za siebie.
- Sydney wzdycha.
- Żałuję, że taka nie jestem.
 - Nie żałuje pani - mówi Cavalli. - Nigdy nie myśleć o własnych poczynaniach, przeszłości, o tym, co mogłoby być? O całej tej bogatej materii, którą utkało nasze życie do chwili aktualnej?
 - Miałam nadzieję na amnezję - odpowiada Sydney.
 - Czy teraz panią boli? - pyta Cavalli, czubkami palców dotykając gipsu na przegubie Sydney.
 - Prawie wcale. - Nie czuje dotyku. A skoro go nie czuje, dotyk się nie liczy. - Czasami nocą pobolewa.
 - Kiedy zdejmują gips? - Wioch cofa rękę.
 - Za pięć tygodni.
 - Więc zostanie tu pani do tego czasu?

- O nie - odpowiada Sydney. - Za cztery dni skończę mi się pieniądze. - Natychmiast ogarnia ją zakłopotanie. - Nie mogę tu siedzieć - dodaje. - Mam mnóstwo do zrobienia. Muszę wyprowadzić się z mieszkania, które dzieliłam z... z Jeffem - mówi, nazywając po imieniu byłego narzeczonego. - Muszę też znaleźć nowe mieszkanie.

- W Bostonie?

- Pewnie tak.

Przychodzi kelner i pyta, czy dolać im gorącej kawy. Oboje odmawiają. Żadne nie tknęło ciastek, chociaż Sydney myśli, że bezy wyglądają apetycznie.

- Nie znałam go zbyt dobrze - mówi nieoczekiwanie, zaskakując także siebie. - To znaczy Jeffa. Patrząc z perspektywy czasu, a sporo o tym myślałam, nie wiedziałam o nim wielu rzeczy. Często śnił na jawie. Nigdy nie mówił o czym.

- Nie pytała pani?

- Sądziłam, że będę miała wiele lat na odkrycie, dokąd wędrowały jego myśli.

- Przeżywa pani ciężki okres, zarówno pod względem emocjonalnym, jak fizycznym.

Sydney układa ręce na kolanach.

- To dziwne, ale jestem niemal wdzięczna losowi za ten wypadek. Miałam wrażenie, że dzięki niemu obudziłam się z głębokiego snu. Ulgą było poczuć prawdziwy fizyczny ból. Nie wiem, czy wyrażam się jasno.

- Bardzo jasno. Czy mogę zapytać, czym się zajmuje pani eksnarzeczonego?

- Jest wykładowcą na MIT. - Sydney chwilę się zastanawia. - Pan nie pracuje na MIT, prawda?

- O nie. Jestem z branży importowo-eksportowej.

To może oznaczać wszystko. Sydney się zastanawia.

- Mieszka pan tutaj? W Bostonie?

- Wyjeżdżam i wracam. Krążę pomiędzy Londynem a Bostonem.

Sydney zauważa, że Cavalli stosuje uniki. Zadawanie dalszych pytań byłoby niegrzeczne, zresztą nie ma takiej potrzeby. W gruncie rzeczy poza określoną granicą wcale jej nie obchodzi, czym zajmuje się jej rozmówca.

-Wiedziałam, że czegoś brakuje - mówi po jakimś czasie. - Było w tym coś nierealnego.

- Ma pani na myśli narzeczonego.

- To były błyskawiczne zaloty. - Sydney wspomina dzień, gdy siedzieli na ganku i Jeff oznajmił, że dla niej zerwał z Victorią. Wtedy pomyślała, że tak bardzo ją wyprzedza. - To tak, jakbyśmy ominęli kilka etapów, które teraz, z perspektywy czasu, wydają się konieczne.

- Jakie etapy? - pyta Cavalli, nalewając sobie drugą filiżankę kawy.

- Uświadomienie sobie, że obie strony do czegoś się zbliżają. Ten związek stał się rzeczywistością, zanim jeszcze zdałam sobie z tego sprawę.

- To była pani pierwsza miłość?

- Wcześniej byłam dwa razy zamężna. - Sydney czeka na przelotny wyraz zdumienia na twarzy mężczyzny, ale on prezentuje idealne opanowanie. - Jeden z moich mężów umarł, z drugim się rozwiodłam - wyjaśnia.

- Tak mi przykro - mówi Cavalli.

Opowiada mu o Andrew i Danielu. A także o tym, jak pewnego dnia obie z matką zostawiły ojca w Nowym Jorku i przenieśli się do zachodniego Massachusetts, i że nigdy do końca nie wybaczyła sobie, że na to pozwoliła. Opowiada o państwie Edwards, o Benie i Julie. W rewanżu Cavalli mówi o swej licznej rodzinie i corocznych wizytach w Neapolu. Raz dotyka jej zdrowego nadgarstka, a Sydney mimo woli się wzdryga. Natychmiast jest jej przykro, ale nie

potrafi wyrazić żalu, nie nawiązując do tego incydentu, a wie, że oboje wprawiliby to w zakłopotanie, ani nie odwzajemniając dotyku, co jej towarzysz mógłby błędnie zinterpretować. Przez chwilę siedzi skonsternowana.

- Mam spotkanie - mówi Cavalli niemal przeprasza-
jąco. Sydney nie widziała, by spoglądał na zegarek. Może
nauczył się to robić dyskretnie, tak by jego gość nie za-
uważył, sprytna sztuczka. - Czy obraziłaby się pani, gdy-
bym zaprosił ją jutro na kolację?

Sydney jest zaskoczona tym zaproszeniem; wie, że jest
ono po części rezultatem doskonałych manier.

- Obecnie nie jestem najlepszym towarzystwem - mówi.
- Odniosłem przeciwne wrażenie.
- Dziękuję za kawę. Było bardzo miło... cóż, więcej
niż miło.
- Mnie też było bardzo przyjemnie.
- Jest pan jak nieznajomy w samolocie.

Po powrocie do pokoju Sydney siada na łóżku i zadaje
sobie pytanie, czy żałuje, że przyjęła zaproszenie Cavalle-
go. Nie może zaprzeczyć, że uważa go za atrakcyjnego,
i zastanawia się, co to oznacza, jeśli tak szybko potrafi po-
czuć jakiegokolwiek rodzaju pociąg do nowo poznanego
mężczyzny. Kiedy jednak myśli o wejściu z nim w zwią-
zek, odczuwa wyłącznie strach - strach podobny, aczkol-
wiek nie tak silny, do strachu przed życiem w samotności.

Nazajutrz wieczorem Włoch czeka na nią w holu. Za-
rezerwował stolik we włoskiej restauracji niedaleko Tri-
nity Square. Sala jadalna jest wysoka na dwa piętra, ma
bogato zdobione draperie i wygodne sofy. Stolik, który
im wskazano, znajduje się w zacisznym kącie koło oświe-
tzonego malowidła na murze przedstawiającego cyprysy;

Cavalli mówi, że przypominają mu Włochy. Obfita karta dań zawiera potrawy, których wielkość i kolejność zależy od życzenia gości. Cavalli składa zamówienie dla obojga. Na zakąskę są langusty przyrządzone z głowami, co dla Włocha stanowi kolejne przypomnienie dzieciństwa.

Sydney wpatruje się w kolczastą skorupę, którą już rozłamano.

Spędzają w restauracji wiele godzin. Piją prosecco i czerwone wino, rozmawiają o porażkach i małżeńskich nieporozumieniach. Kiedy Sydney wstaje od stolika, myśli, że chyba się upiła.

W drodze do hotelu ręka boli ją tylko trochę. Wie, że za dwa dni opuści swój pokój ze zniszczoną walizką w ręce (może jutro coś z tym zrobi) i wróci do świata, w którym wcześniej żyła. Będzie musiała zacząć wszystko od nowa: znaleźć mieszkanie, pracę, nawiązać przyjaźnie, może nawet rozpocząć nowy związek. Wątpi, czy to ostatnie nastąpi szybko. Hotel był dla niej stacją pośrednią, etapem pomiędzy kobietą, którą była, a tą, którą musi się stać. Kosztował ją wszystkie oszczędności (teraz będzie musiała pożyczyć pieniądze od ojca na depozyt na nowe lokum), ale nie żałuje ani jednego wydanego centa.

Cavalli parkuje samochód tuż przy hotelu. Sydney zastanawia się, czy oczekuje od niej zaproszenia do pokoju, ale dochodzi do wniosku, że nie: nie postawiłby jej w tak kłopotliwej sytuacji.

Włoch pochyla się ku niej i Sydney nadstawia policzek. Cavalli zręcznie przekształca pocałunek w europejski - cmoknięcie w oba policzki.

- Jutro muszę jechać do Londynu - mówi.

- A ja muszę się zająć resztą mojego życia - odpowiada Sydney ze śmiechem.

Cavalli podaje jej wizytówkę.

- Zadzwoń pani do mnie i powie, że ręka już jest zdrowa?

Sydney z uśmiechem potakuje, choć wie, że tego nie zrobi. Nie ulega najmniejszych wątpliwości, iż było to tylko interludium w życiu obojga, i już teraz ogarnia ją lekki smutek.

- Dziękuję - mówi.

- Za co?

- Za sprawienie, że wszystko stało się odrobinę łatwiejsze.

Następuje chwila, wyraźna dla obojga, w której Sydney, gdyby pozostała dłużej w samochodzie, zmieniłaby tok wydarzeń. Ona jednak wysiada. Idąc ku hotelowym drzwiom, nie ogląda się za siebie.

Kiedy dwudziestego drugiego dnia Sydney opuszcza hotel, personel wychodzi z bocznych drzwi, żeby ją pożegnać. Umieszczenie jej małej, ale nowej brązowej walizki w bagażniku taksówki odbywa się z wielkim ceremoniałem. Portier nie przyjmuje napiwku, Rick wychodzi z recepcji i mówi, żeby o siebie dbała. Sydney myśli, że chyba się rozpłaczę. Zapewnia, że tu wróci, choć przypuszcza, że tego nie zrobi, że nigdy więcej nie będzie w stanie znaleźć pretekstu, by poświęcić taką sumę na spędzenie jednej doby w hotelu, nie mówiąc już o dwudziestu dwóch dniach.

Odjeżdżając, posyła wszystkim całusa.

Na skrzyżowaniu taksówkarz odwraca się ku niej i opiera rękę o siedzenie.

- Dokąd jedziemy? - pyta.

2005

RS

Powódź biblijnych rozmiarów zniszczyła miasto na południu. Ceny benzyny podskoczyły. Sydney zauważa, że na autostradzie można wykupić karnet E-Z. W szczycie sezonu trzeba było czekać pół godziny, czasami nawet godzinę. Teraz nie ma żadnych korków, jakby północ została ewakuowana.

Tyle zmian. Ataki terrorystyczne w Londynie. Codzienne bombardowania w Iraku. Czasami Sydney myśli, że prawdziwym aktem silnej woli jest włączenie CNN i wysłuchanie dziennej porcji wiadomości - trudnych do uwierzenia, tak łatwych do przyjęcia.

Sydney wjeżdża na publiczny parking, koła toczą się po luźnym żwirze. Opuszcza szybę i wdycha powietrze, które pachnie ciemnym piaskiem i rybami, obwieszając odpływ. Jej ramię owiewa ciepły wiatr. Woda będzie jeszcze cieplejsza, co często się zdarza we wrześniu. Sydney wie, że na plaży nie zastanie tłumu.

„Rodzina nigdy nie zostaje po Dniu Pracy. Nigdy”.

Zdejmuje buty i podwija nogawki czarnych spodni. Zamyka samochód i wsuwa kluczyk do kieszeni. Drewniany chodnik pokryty jest cienkimi strumyczkami pia-

sku. Zarastają go dzikie róże, których kwiaty w większości zmieniły się już w owoce. Sydney chce popatrzeć na plażę z końca chodnika, a potem pójdzie pod dom. Wypełniwszy to drobne, acz konieczne zadanie, wróci do samochodu, by kontynuować podróż na północ, do Durham.

Kiedy jednak dochodzi do plaży, znajomy widok boleśnie ją rani, zbroję ma marną i przestarzałą. Stoi z dłonią na piersi, jakby ten gest mógł ją ochronić. Nie chodzi tylko o to, że zapomniała, jak wygląda ta konkretna plaża. Rzecz także w tym, że zapomniała, iż powietrze tak samo jak niegdyś pełne jest dźwięków, zapachów i słów. Nagle te wszystkie odczucia budzą w niej lęk.

Jednak widok wprawia ją w uniesienie.

Sydney siada w miejscu, gdzie stoi. Zamyka oczy na ostrym słońcu i słucha fal. Potrafi ocenić ich wysokość na podstawie szumu - odróżnić wielkie ślicznotki od toczących się nisko leniuchów. Czy ostatnio był sztorm? W mieście Sydney czasami nawet nie wie, jaka jest pogoda, albo przelotnie przypomina sobie o niej w drodze z domu do pracy i z powrotem. Większość dnia spędza na wydziale psychologii w pokoju bez okien. Wychodząc, niekiedy z zaskoczeniem ogląda ulewny deszcz albo wręcz przeciwnie - wieczór tak piękny, że trudno jej uwierzyć, iż o mało go nie przegapiła.

Od dnia, gdy pożegnała się z Markiem Edwardsem na progu jego domu, nie wypuszczała się na północ od Bostonu. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że kiedy ona i jej koledzy otrzymali zaproszenie na konferencję na Uniwersytecie New Hampshire, zaczęła dręczyć ją obsesja, by pojechać w tamto miejsce. Nie potrafi sama przed sobą wyartykułować, dlaczego ta potrzeba jest tak silna; wydaje się, iż zajmuje jej myśli, tak jak mogłoby je zajmo-

wać pragnienie, by zadzwonić do dawnego chłopaka. Ilekroć rozważa wyjazd na północ, plaża błyska niczym światełko na wyimaginowanej mapie.

Promienie słoneczne sprawiają jej przyjemność, serce zaczyna wolniej bić. Tego lata Sydney rzadko przebywała na powietrzu; siadywała tylko na ławce, żeby zjeść lunch, albo szła na szybki spacer, i już teraz ma na twarzy lutową bladłość. Kładzie się na piasku. Myśli, że nawet we wrześnie nierozsądnie jest leżeć na wydmach tak blisko wody bez kremu z filtrem, ale zapomniała, jak wspaniały potrafi być piasek, jak akceptuje jej ciało, wręcz je wchłania. W oddali słyszy szczekanie psa goniącego mewy.

Sydney czasami się zastanawia, czy Jeff wykorzystał bilety i sam poleciał do Paryża. Kiedy zebrała się na odwagę, by przekroczyć próg mieszkania w Cambridge, wyglądało dokładnie tak samo, jak w dniu, gdy razem pojechali na północ na ślub, który nie doszedł do skutku: na łóżku leżała walizka, w kuchni stała deska do prasowania. Nie chcąc zawracać głowy przyjaciom, aczkolwiek z liczby wiadomości na sekretarce automatycznej jasno wynika, że wiele osób usiłowało się z nią skontaktować, zatrudniła firmę przeprowadzkową i do czasu znalezienia nowego mieszkania umieściła swoje rzeczy w magazynie.

Jeff pozostawił pustkę, wstydliwą z racji momentu, w którym zaistniała, i nadania jej publicznego charakteru. Z perspektywy czasu bardziej zdumiewające było nie to, że porzucił Sydney, ale że w ogóle się do niej zalecał. Wydawało się to niezwykłym objawem silnej woli, przedstawieniem trwającym wiele dni, zasługującym na najwyższe pochwały. Czy kiedy sądziła, że Jeff zastanawia się nad algorytmami czy terrorystami, on planował zdradę? Czy każdego dnia analizował swoje postępowanie?

A może działał podświadomie i w pełni zdał sobie z tego sprawę dopiero przed samym ślubem? Sydney z trudem potrafiła uwierzyć w taką dwulicowość. Musiała od nowa odgrywać scenariusze z Montrealu i Cambridge, by ujrzeć znów jego twarz i szukać w niej śladów oszustwa. Czy Jeff nie powinien być głęboko nieszczęśliwy ze względu na siebie albo na Sydney, zakładając, że w ogóle mu na niej zależało? Czy ani jeden jego gest w czasie tych jedenastu wspólnych miesięcy nie był szczerzy? Czy teraz będzie musiała sprawdzać wszystkie swoje decyzje?

To Emily ją przekonała, by wróciła na studia, chociaż sama Sydney od kilku tygodni także skłaniała się ku takiemu krokowi. Wspominała badania, zajęcia, konieczność zdążenia z pracą w terminie i czuła, że teraz jest jej to wszystko potrzebne. Zaczęła szukać lokum w pobliżu wydziału psychologii, gdzie miała spędzać większość czasu. Czysze były wysokie, a jej brakowało pieniędzy, nie chciała bowiem korzystać z oszczędności na wspólnym rachunku, które oboje z Jeffem zaczęli gromadzić z myślą o przyszłych latach, skoro wspólna przyszłość była nierealna. Sądziła, że w odpowiednim czasie Jeff prześle jej część tych pieniędzy, i istotnie tak zrobił. Czekowi nie towarzyszył list.

Sydney usiłowała nie myśleć o Jeffie, Julie lub Marku Edwardsie; wymazanie z pamięci pobrużdżonej twarzy starszego pana sprawiało jej największą trudność. Po kilkutygodniowych poszukiwaniach znalazła wreszcie obскую kawalerkę oddaloną o kilka przecznic od budynku wydziału psychologii, gdzie wkrótce miała pogrążyć się w pracy. W przeciwieństwie do większości osób wracających po przerwie na studia podyplomowe nie mogła się doczekać rozpoczęcia nowego semestru i na pierwszy

wykład przysłała godzinę przed czasem. Opiekun naukowy dał jej do zrozumienia, że teraz będą od niej oczekiwać większej liczby zajęć ze studentami i intensywniejszych badań; uznała to za niesprawiedliwe, choć doskonale trafione w czasie, bo wtedy potrzeba samotności zaczynała się wyczerpywać - tak bardzo, że niekiedy Sydney mogła z kolegami pójść na kolację albo mecz baseballowy. Nie była jednak na randce od tamtego spotkania z Cavallim, które przez nikogo z jej znajomych nie zostałoby uznane za prawdziwą randkę. Wybrała się na kilka przyjęć; bywało, że jakiś mężczyzna robił pierwszy krok, choć rzeczą uspokajającą, ale nieco przerażającą było odkrycie, jak łatwo można zniechęcić zalotnika. Pochylenie głowy. Odmowa spojrzenia w oczy. Wymuszony uśmiech. Po śmierci Daniela unikanie mężczyzn miało inny charakter, Sydney otaczał mur szacunku. Jeśli ktoś zbliżał się do niej, był ostrożny, taktowny, nieodmiennie współczujący. Emily żartowała, że po sprawie z Jeffem jest tak, jakby Sydney emitowała negatywne wibracje. Ona sama uważała, że to prawda; ulatujące z człowieka wibracje mogą stać się skuteczną barierą.

Lubiła swoją pracę, czasami nawet potrafiła przekonać siebie, że prowadzone przez nią badania są aktualne i konieczne, chociaż zwykle towarzyszyło jej trwożliwe wrażenie, że na pytania trzeba udzielać odpowiedzi szybciej, niż zezwala na to metoda naukowa. Myślała, że to rozwodniona wersja wrażenia towarzyszącego uczonemu prowadzącym badania nad rakiem: owej palącej konieczności znalezienia lekarstwa, nim umrą następne tysiące chorych. Chociaż jej badania nie dotyczyły również naglącej kwestii, rzadko się zdarzało, by na ulicach Bostonu nie zauważyła zagrożonych dziewczyn. Często były źle rozwinięte, źle ubrane, przebywały w towarzystwie star-

szych mężczyzn. We wnioskach o granty Sydney definiowała swój cel jako ograniczenie możliwości dokonywania negatywnych wyborów życiowych przez nastoletnie dziewczęta. W głębi duszy żywiła nadzieję, że pomoże uratować je przed nimi samymi.

Jeff, uzyskawszy nowy adres Sydney od jej matki, przysłał najpierw czek, później stos listów od Julie i pana Edwardsa. Sydney odnosiła wrażenie, że często przebywał poza krajem, jednak przewyciężyła chęć zadzwonienia do MIT po to tylko, by się przekonać, czy wciąż tam pracuje.

Po pewnym czasie Julie przestała pisać, zniechęcona brakiem odpowiedzi od przyjaciółki, prawie bratowej. Sydney cierpiała, czytając serdeczne, acz źle skomponowane wiadomości, choć cierpiałyby bardziej, gdyby nawiązała korespondencję z Julie albo wcześniej z panem Edwardsem, którego krótkie listy zawsze kończyły się przeprosinami, choć nie on powinien je wygłaszać.

Od Jeffa nie miała żadnych wiadomości. Od Bena też nie miała żadnych wiadomości. Od pani Edwards Sydney niekiedy odbierała wyraźne, choć stłumione westchnienie ulgi przypominające słowo „nagle” posłyszane w morzu trzasków.

Sydney budzi się i widzi psa trącającego nosem jej stopę. Instynktownie cofa nogę. Nieprzytomna, siada na piasku. Przykłada dłoń do czoła i mrużąc oczy, patrzy na psa.

- Spuściłem go ze smyczy - mówi mężczyzna.

Sydney czuje, jak cała sztywnieje, choć jeszcze nie w pełni odzyskała świadomość. Nie widzi patrzącego na nią z góry mężczyzny, jego twarz pod słońce jest czarną plamą, mimo to dobrze wie, kto to.

- Witaj - mówi Ben. - Co tu robisz?

„Rodzina nigdy nie zostaje tu po Dniu Pracy. Nigdy”.

- Która godzina? - pyta Sydney, próbując ukryć konsternację.

- Wpół do dwunastej.

- Jestem spóźniona. - Wstaje szybko. Tullus skacze wokół niej niczym pełen energii koń.

- Na co jesteś spóźniona? - pyta Ben.

- Na konferencję na UNH. Pierwszy wykład zaczyna się o dwunastej.

- Od razu mogę ci powiedzieć, że nie zdążysz.

Sydney pochyla się i drapie Tullusa za uszami, grając na zwłokę. Serce bije jej szybko.

Pies, najwyraźniej zadowolony, odbiega. Kiedy Sydney prostuje się, widzi, że biały T-shirt Bena znaczą plamy potu. Przypuszczalnie biegał. Jego sylwetka jest taka sama jak dawniej, muskularna i sprężysta.

- A co ty tu robisz? - Pytanie nie jest całkiem pozbawione logiki, w końcu to połowa września. Na plaży poza kilkoma spacerowiczami nie ma nikogo.

Ale Ben ociąga się z odpowiedzią.

- Sydney... - mówi wreszcie i urywa.

Sydney przekrzywia głowę. Po co to rozmyślne użycie jej imienia? Nienaturalna pauza sugeruje jakąś złą wiadomość.

- Tak? - pyta, już czując strach przed odpowiedzią.

- Mój ojciec umarł.

Jego słowa podcinają jej nogi, niemające zajęcia dłonie fruną do przodu.

- Och, Ben - mówi.

Ben patrzy na nią, potem odwraca wzrok.

- Miał serię udarów, w gruncie rzeczy grad udarów. Był bezwładny. Jego stan pogarszał się błyskawicznie.

- Kiedy?
- W czerwcu.

Jak na zwolnionym filmie jej ręce opadają niczym la-tawce. Sydney siada na piasku. Podciąga kolana i przyci-ska do nich czoło. Oplata głowę rękami. To nie powinno zdarzyć się człowiekowi, o którym zawsze będzie myśleć jako o panu Edwardsie. Człowiekowi, na którego listy nie pofatygowała się odpowiedzieć. Człowiekowi, który zawsze traktował ją z wielką dobrocią.

- Przyjechaliśmy opróżnić dom - wyjaśnia Ben. - Ma-ma go sprzedała. W przyszłym tygodniu umowa wcho-dzi w życie.

- Tak mi przykro - mówi Sydney. Jest w tych słowach więcej prawdy, niż Ben przypuszcza. A może jednak wie. Ben zawsze umiał ją przejrzeć na wylot.

Nogawki czarnych spodni ciągle opadają, Sydney nie potrafi temu zapobiec. Od czasu do czasu przystaje, by podwinąć je ciasno aż do kolan. Ben niesie jej aktówkę zawierającą komputer, dokumenty, telefon komórkowy - martwe dowody na to, że ułożyła sobie życie gdzie in-dziej. Sydney trzyma w rękach buty, czarne czółenka na niewysokich obcasach. W środku są zwinięte przezroczy-ste skarpetki. Absurdalny strój na plażę.

- Twoja matka nie będzie zadowolona - mówi Sydney.
- Nie zwróci uwagi. Cóż, może zwróci, ale tylko na chwilę. - Ben urywa, po czym dodaje: - Julie będzie uszczęśliwiona twoim widokiem.

Kiedy Ben prosi Sydney, by poszła z nim do domu, ta tylko przez chwilę rozważa możliwość odmowy. Zadaje jedno pytanie.

- W Kenii - mówi Ben. - Jeff jest tam od roku, przy-jechał tylko na pogrzeb.

Sydney myśli o dniu, gdy w ogrodzie zaproponowała panu Edwardsowi, żeby kiedyś poszli do muzeum obejrzeć intrygujący go obraz - dzieło człowieka, który wysłał trzech synów na wojnę. Wyobrażała sobie wtedy, że wkrótce będzie synową Marka Edwardsa. Dlaczego mimo to nie zadzwoniła, nie dotrzymała słowa?

- W gruncie rzeczy to trwało kilka tygodni - mówi Ben, idąc obok niej. - Na początku nic nie zauważyliśmy. W Wielkanoc, kiedy wszyscy byliśmy w Needham, miał kłopoty ze wstaniem z krzesła. Przypuszczałem, że to artretyzm, ale potem zauważyłem, że ma też kłopoty z chodzeniem, jakby coś było nie tak z koordynacją ruchów. Później wszyscy to widzieli: miał kłopoty z jedzeniem, wykonywał mimowolne ruchy ramionami, źle widział. Ale znałaś mojego ojca, Sydney. Nic nie mówił, jeśli nie musiał. Zawsze dbał o nasze dobre samopoczucie.

- A twoja matka?

Ben kręci głową.

- To był dla niej trudny okres. Kiedy ojciec został wypisany ze szpitala, przyjechaliśmy tutaj. Mama gotowała i sprzątała. Musiała ciągle coś robić. Czasami miałem ochotę wrzasnąć na nią, żeby przy nim posiedziała, ale przekonałem się, że każde z nas przechodzi przez to na swój sposób. W tego rodzaju sytuacje wkraczamy bez prób generalnych.

Sydney myśli o braku prób przed śmiercią Daniela, o strasznym szoku, który wówczas przeżyła. Myśli także o ironii tkwiącej w fakcie, że odbyła próbę przed ślubem, ale nie przed spektaklem, który rozpoczął się owego lipcowego poranka.

- Umarł w domu? - pyta.

Ben wyciera czoło wewnętrzną stroną T-shirtu.

- Tutaj chciał być. Lekarze nie potrafili powstrzymać

następnych uderzeń. Ojciec był zaskakująco spokojny, choć czasami denerwował się swoim stanem. Jednego dnia był przytomny, następnego dryfował w błogosławionej mgle. Ciągłe odwracał głowę w stronę kuchni, bo myślał, że Jeff wrócił. Jego ostatnie słowa przed śmiercią brzmiały: „Czy to on?”.

-Jeff nie zdążył?

- Zdążył na pogrzeb.

Sydney przymyka oczy. Pragnie znowu usiąść na piasku. Za wiele usłyszała. Trwające tygodniami umieranie skondensowane w kilkusekundowej opowieści.

- Julie była cudowna - ciągnie Ben. - Myślę, że nie potrafiła sobie wyobrazić śmierci i dlatego jej się nie bała. Widziała, że ojciec słabnie, ale nie przyjmowała tego do wiadomości. To był rodzaj ślepoty. Kiedy ojciec umarł, strasznie to przeżyła.

- Julie nadal jest z Helene?

- Wynajęły domek niedaleko nas. - Ben odwraca się i rozgląda za Tullusem. - Wiesz, trudno uprzętać całe życie z tego domu.

Kiedy podchodzą do schodów, Ben stawia aktówkę na najniższym stopniu.

- Wejdę i przygotuję je na twoją wizytę, powiem, że tu jesteś. Myślę, że tak będzie lepiej.

- Ben - mówi Sydney - mam kilka pytań.

- Dotyczących mojego ojca?

- Tak, jego też. Ale...

- Nie wątpię, że masz pytania. Porozmawiamy.

- Posłuchaj - dodaje Sydney - jeśli twoja matka nie będzie chciała mnie tutaj...

-Wiem.

- Twój ojciec pisał do mnie, a ja nie odpowiedziałam na jego listy! - krzyczy nagle Sydney. - To straszne, kiedy

teraz o tym myślę. Ile by mnie kosztowała odpowiedź? Nic z tego, co zdarzyło się pomiędzy Jeffem a mną, nie było jego winą.

- Wiedział o tym.

- Tęskniłam za nim.

- Myślę, że odwołanie ślubu było dla niego wielkim ciosem. Nie tylko dlatego, że musiał patrzeć, jak jego syn postępuje tak wobec ciebie, ale że robiąc to, oddziela cię od rodziny.

Sydney siedzi na najniższym stopniu, trzymając na kolanach aktówkę. Jeśli się okaże, że nie jest mile widziana w tym domu, Ben odwiezie ją do samochodu, żeby mogła wrócić do Bostonu. Nie potrafi sobie wyobrazić, że miałyby teraz siedzieć na wykładzie, słuchając z uwagą każdego słowa.

Czeka niemal dwadzieścia minut, czas, który wprawia ją w zakłopotanie. Ma nadzieję, że Ben zachowa się rozsądnie i nie będzie nalegał na zaproszenie jej do domu, jeśli jego matka stawi opór. Ale jak inaczej rozumieć to przedłużające się oczekiwanie?

Obserwuje parę w niebieskich wiatrówkach, która spaceruje po mokrej części plaży, w czasie odpływu wystawionej na fale. Wiatr oblepia cienki materiał wokół ich ciał, zdmuchuje włosy na twarze. Ona i Ben szli z wiatrem, dlatego nie czuła jego siły. Teraz, gdy siedzi na schodach, jest jej zimno. Nie pomyślała, żeby wziąć sweter.

Za każdym razem, gdy Sydney próbuje sobie wyobrazić śmierć pana Edwardsa, jej myśli zbaczają w innym kierunku. Odstawia aktówkę i chowa twarz w dłoniach. Co strasznego by się stało, gdyby zadzwoniła i zaproponowała mu spotkanie w muzeum, położonym tak blisko jej mieszkania, że mogła dojść tam pieszo? Co musiał myśleć, kiedy nie odpisywała na jego listy? Jej milczenie go

zraniło, Ben trafnie to określił. Jak mogła być taka bezduszna?

Czuje drżenie drewnianych desek, zanim Ben pojawia się obok.

- Przepraszam, że to tak długo trwało - mówi. - Nie dlatego, że było jakieś nieporozumienie. Nie mogłem znaleźć matki. W domu jest straszny bałagan. Chodźmy.

Julie biegnie drewnianym chodnikiem, wykrzykując imię Sydney. Silna dziewczyna podnosi ją w górę i okręca się z nią. Sydney musi się roześmiać.

- Gdzieś ty była? - pyta Julie z naganą, stawiając ją na ziemi. - Dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy?

Sydney nie ma żadnej odpowiedzi dla tryskającej radością dziewczyny, która z pewnością była magicznym eliksirem dla umierającego ojca.

Julie obejmuje ją mocno, kiedy idą do domu. Sydney chętnie przystanąłaby na schodach i zebrała myśli, ale nie ma na to czasu. Julie, w dżinsach i różowym swetrze, ciągnie ją do drzwi. Dziewczyna ma obecnie dwadzieścia jeden lat.

Zaraz za progiem jednak, jakby rozumiejąc, że Sydney potrzebuje teraz chwili, Julie ją puszcza.

Na białych sofach leżą wielkie czarne worki na śmieci. Do jednego przypięto karteczkę: „Armia Zbawienia”. Podłoga zarzucona jest artykułami gospodarstwa domowego, obrazami, książkami. Sydney próbuje odnaleźć porządek w tych stosach. Może każdy przeznaczony jest dla innego członka rodziny. Który stos należy do Julie? Który do Bena?

Poczucie pustki jest namacalne. Ściany poznaczone są odbarwionymi prostokątami po obrazach i mapach. Lampy odłączono, stosy czasopism związano sznurkiem. Zdjęto narzuty, zwinięto dywany. Miotła stoi oparta o ścianę.

Na parapecie widać płyn do mycia okien, poniżej papierowy ręcznik rozwinął się, sięgając niemal na środek pokoju. Kiedy Sydney była tu ostatnio, wstążki i kokardy zdobiły schody, wazony z różami wypełniały powietrze aromatem. Kiedy Sydney była tu ostatnio, szampan i goście czekali na ślub.

Kątem oka Sydney dostrzega swą dawną pracodawczynię stojącą przy kuchennym blacie. Sydney wita się z nią, pani Edwards odpowiada. Jest zaskakująco wymizerowana. Ścięła włosy na krótko i straciła wszystkie kilogramy, które jakakolwiek kobieta kiedykolwiek pragnęła stracić - zmartwienia i żaloba okazały się dietą o wiele skuteczniejszą od liczenia kalorii i węglowodanów. Sydney przypuszcza, że teraz jej niedoszła teściowa rzadko jada normalne posiłki. Podchodzi do blatu.

- Tak mi przykro - mówi.

-Dlaczego miałoby ci być przykro? - pyta pani Edwards, biorąc gąbkę i wycierając granit.

Przez okno ponad jej ramieniem Sydney widzi ogród różany czy raczej to, co z niego zostało. Pojedyncze kwiaty wiszą na niemal gołych łodygach. Tam, gdzie przedtem były liście, teraz są czarne plamy. Łan owoców róży i zwiędłych kwiatów porusza się w powiewach wiatru. Częściowo za ten stan odpowiedzialna jest pora roku, Sydney nie wątpi jednak, że przede wszystkim wynika on z zaniedbania.

Zawartość kuchennych szuflad leży na blacie. Na stole w jadalni stoją kartonowe pudła oznaczone napisem „Naczynia”. Obrusy, jeszcze nieschowane, ułożone są w staranny stos. Sydney rozpoznaje ceratę służącą do kolacji z homarem i adamaszkowe serwetki, dawne znalezi-ska z Emporii. Ben otwiera lodówkę i wyjmuje dwie butelki wody. Jedną podaje Sydney.

- Mieliliśmy usiąść do lunchu - odzywa się Julie. - Jesteś głodna?

- Tylko wezmę szybki prysznic - mówi Ben.

Chleb, szynkę, majonez, pomidory i sałatę ustawiono na granitowym blacie. Posiłek nasuwa Sydney wspomnienie o wyrafinowanych ciastach, które przygotowywał pan Edwards. Sydney robi sobie prostą kanapkę, zadowolona, że coś zje. Od wczesnego śniadania nie miała nic w ustach.

Siada z Julie przy kuchennym stole. Machinalnie szuka pęknięcia w drewnie, o które zahaczała swetrami.

- Jak się czujesz? - pyta dziewczynę. - Jak naprawdę się czujesz?

Twarz Julie momentalnie czerwienieje.

- To takie trudne! - wybucha.

- Wiem - mówi Sydney, chociaż oczywiście nie wie. Nie do końca. Oboje jej rodzice żyją i pozostają w dobrym zdrowiu, wciąż ze sobą rozmawiają, choć nieszczerze ciepło. Daniel umarł, ale to była inna sprawa, zdążyła się, nim Sydney się o tym dowiedziała.

Julie bierze papierową serwetkę z luźnego stosu i wydmuchuje nos.

- Dobrze się czuję - mówi. - Przez większość czasu. Helene przyjeżdżała na weekendy. Och, mam wystawę.

- To wspaniale. W Montrealu?

- Na przedmieściach. To wystawa grupowa. Pokażę trzy obrazy. Powinnam była przywieźć slajdy.

- Z przyjemnością obejrzałabym tę wystawę. Kiedy otwarcie?

- W styczniu.

- W takim razie przyjadę.

- Naprawdę? - pyta Julie i twarz jej promienieje. - Będzie przyjęcie. Helene jest pewna, że będzie przyjęcie.

- Przyjadę na sto procent - powtarza Sydney i dopiero teraz uświadamia sobie, jak trudna może być ponowna wizyta w Montrealu.

Koło niej Julie składa i rozkłada nową serwetkę. Sydney przypomina sobie niebieską chusteczkę, która leży w szufladzie w jej mieszkaniu.

- Nie potrafię uwierzyć, że odszedł - dodaje. Z taką wyrazistością widzi opakowanie cukierków w dłoni pana Edwardsa i plamy z homara na jego jasnozielonej koszulce polo; pana Edwardsa trzymającego się za brzuch i opłakującego zjedzonego na śniadanie pączka.

- Ucieszyłyby się, że tu jesteś - mówi Julie.

- Żałuję, że nie wiedziałam, przyjechałabym wcześniej - tłumaczy się Sydney.

- Byłam pewna, że byś przyjechała! - woła Julie. - Ben mówił, że nie, ale ja byłam pewna, że chciałabyś przyjechać.

- Myślałaś, żeby do mnie zadzwonić? - pyta Sydney.

- Boże, Sydney, napisałam do ciebie sto listów - odpowiada dziewczyna.

Pani Edwards przy blacie pakuje szynkę i sałatkę. Wkłada je do lodówki. Sydney wyczuwa lekką naganę, że sama tego nie zrobiła. Wstaje, bierze talerz i szklanekę, zanosi do zlewu.

- Nie będziesz pewnie chciała swojego dawnego pokoju - odzywa się pani Edwards.

Zaskoczona Sydney patrzy w jej stronę.

- Och, nie mogę zostać - wyjaśnia.

Mimo że trudno uznać jej poprzednie słowa za zaproszenie, pani Edwards sprawia wrażenie urażonej.

- Myślałam, że zostaniesz - mówi.

- O tak, zostań! - woła od stołu Julie.

Sydney kręci głową.

- Nie mogę - powtarza.

- Ale na pewno możesz zostać na kolację - oświadcza
; pani Edwards.

A Sydney, spoglądając najpierw na nią, a potem na dziewczynę, która tak niedawno straciła ojca, myśli: Tak, mogę zostać na kolację.

Ładując naczynia do zmywarki, Sydney ma wrażenie, jakby niechcący przyjęła oczekiwaną rolę: kogoś pośredniego pomiędzy gościem a służącą. Julie poszła na górę spakować rzeczy ze swojego pokoju. Jej matka wyciera granitowy blat, Sydney myśli, że teraz musi być sterylny.

- Nigdy cię nie lubiłam - mówi cicho starsza kobieta.

- Nie mogę udawać, że było inaczej.

Sydney trzyma w dłoni szklankę, czyjaś szklankę. Pomimo prawdziwości tego zdania, pomimo faktu, że od dawna o tym wiedziała, nie potrafi uwierzyć własnym uszom. Wolno odwraca się ku swojej dawnej pracodawczyni.

- Chyba powinno mi być z tego powodu przykro - ciągnie pani Edwards, nie patrząc na Sydney - ale nie mogę udawać kogoś, kim nie jestem. - Rękawy ma podwinięte do łokci, na przedramionach widać nabrzmiałe żyły. - Nie mogę udawać, że się nie ucieszyłam, kiedy Jeff... kiedy Jeff to zrobił. No cóż, właściwie to się nie ucieszyłam. - Zwija ścierkę i wyciera to samo miejsce, które od jakiegoś czasu polerowała. - To było żenujące, zrobił się straszny zamęt. Ale czułam też ulgę. Nie będę zaprzeczała, że nie.

Sydney nie potrafi znaleźć żadnej odpowiedzi.

- Patrzyłam, jak wychodzisz z domu - ciągnie pani Edwrds - i mówiłam sobie: Już po wszystkim.

Sydney odstawia szklankę i wyciera dłonie w papierowy ręcznik.

- Chyba powinnam już iść - mówi cicho.

- Och, na litość boską, nie odchodź - odpowiada pani Edwards, jakby Sydney zupełnie nie pojęła istoty jej słów. I dopiero teraz na nią patrzy. Może ćwiczyła tę przemowę od wielu miesięcy. - Nie odchodź, skoro dopiero przysłałaś. Ben i Julie cieszą się z twojej wizyty. To dla nich bardzo trudne. Zwłaszcza że Jeff wyjechał... - Spogląda pośpiesznie na sufit. - Nie, teraz jesteś tu mile widziana. Nie o to mi chodziło. Chciałam tylko powiedzieć, że wiem, iż przez cały ten czas traktowałam cię niegrzecznie, i... sama wiesz... To bardzo źle, to wszystko.

Sydney myśli, że to przerażające wyznanie. Szuka w myślach odpowiedzi, której ta kobieta najwyraźniej oczekuje. Milczenie się przedłuża.

- Nie wiesz, co powiedzieć, prawda? - pyta w końcu pani Edwards. - Rozumiem, że to wszystko jest dla ciebie szokiem. Dla nas też, mimo że mieliśmy wiele miesięcy na przywyknięcie do tej myśli. Ale to bez znaczenia, prawda? Czas? Nigdy nie ma dość czasu. - Przerywa swoją pracę, nie odrywając dłoni od blatu, i zamyka oczy, jak gdyby próbowała powstrzymać czkawkę. - Tak bardzo za nim tęsknię - mówi. Zakrywa oczy przedramieniem, z dłoni zwisa jej ścierka.

Sydney, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić, podchodzi do pani Edwards i lekko dotyka jej łokcia.

Kobieta wzdyga się, jakby przypalono ją żywym ogniem.

Sydney szuka schronienia w łazience na piętrze. Idzie do okna, odciąga zasłony i wygląda na bagno, zielone jak mech i rdzawe w popołudniowym świetle. Woda została głębokie koryta w ziemi. Stado ptaków podrywa się, urządzając pokaz lotniczy nad trawą. Skrzydła zmieniają

się z szarych na białe i odwrotnie, gdy ptaki wykonują szalone ósemki w idealnie równym rzędzie. Sydney myśli, że robią to dla zabawy.

W kierunku północnym na wzgórzu stoi dom z białą połyskliwą fasadą. Sydney dostrzega w dali lisa. Od czasu do czasu słyszy samochód, choć go nie widzi. Rosnące wzdłuż drogi gęste krzaki róż i jakieś inne krzewy tworzą nieprzenikloną ścianę. Z miejsca, gdzie stoi, może zajrzeć na podwórko sąsiedniego domu, gdzie wąska łódź w niebieskim plastikowym pokrowcu czeka na lato. Okna domu zasłonięte są żaluzjami.

Po drugiej stronie bagna sklep i zagroda wodna są zamknięte. Kilku rybaków wypływa na połów, ale swoją zdobycz wyładują gdzie indziej, może w Portsmouth. Woda przy odpływie miejscami jest spokojna, miejscami się marszczy.

Sydney bierze w palce białą zasłonkę. Wielebny „Hemmings Motor News” korzystał z tej łazienki. Tak samo jak Art i Wendy. Przywołuje obraz lampy w kształcie klaksonu staroświeckiego samochodu. Przez te wszystkie lata w tym domu przyjmowano pewnie setki gości. Czy ktoś odwiedzał zakonnice? Nieślubne matki? Czy rodzice przyjeżdżali, by dać burę młodym córkom, a potem szlochali przy ich łóżkach? Czy politycznym agitatorom całkowicie umykało piękno bagniska, bo interesowali się wyłącznie znakami dymnymi z fabryk znajdujących się poza nim?

Sydney myśli o wyznaniu pani Edwards. Śmierć i żałoba wiele zmieniły. Nie będzie więcej proszonych kolacji. Sydney przypomina sobie wąskie łóżko w małżeńskiej sypialni, fotografię na biurku Edwardsa. Nie może wiedzieć, jak wiele miłości, fizycznej i duchowej, łączyło męża i żonę.

Teraz pani Edwards jest wdową. W końcu, myśli z niejaką ironią Sydney, obie coś łączy.

Słyszy pukanie do drzwi.

- Tak? - woła.

- Wszystko w porządku? - Głos należy do Bena. - Jesteś tu od dawna.

- Nic mi nie jest - odpowiada Sydney. - Już wychodzę.

Myje ręce, osusza je, po czym otwiera drzwi. Ben stoi na korytarzu, trzyma w dłoniach dwie bluzy.

- Masz ochotę na przejażdżkę? - pyta.

Sydney, poproszona o wzięcie spłowiałych granatowych bluz, zastanawia się, co będą robili. Idą do jetty zaparkowanej za domem.

- Gdzie landrower? - pyta Sydney.

- Sprzedałem - odpowiada Ben.

Sydney siada na miejscu pasażera i zamyka drzwi. Czy powinna czegoś się obawiać, będąc sam na sam z Benem, mężczyzną, w którego towarzystwie nigdy nie czuła się swobodnie? Ale ta chwila mija. Ten człowiek niedawno stracił ojca, myśli Sydney. Czy to wszystkiego nie zmieniło?

W przyjaznym milczeniu jadą wzdłuż plaży; każde miejsce tutaj przesycone jest zarówno nowym życiem, jak i opuszczeniem: nowe życie w dźwigarach i krokwiach budowli wznoszonej na plaży, opuszczenie w zamkniętych okiennicach domów w miasteczku. Tylko przed pocztą stoi jakiś samochód.

- Możesz zamoczyć nogawki spodni. Czy to ci przeszkadza? - pyta Ben.

Sydney odpowiada, że nie, wszystko w porządku. Kiedy Ben włącza silnik whalera, wydaje jej się, że wiele godzin temu przestała się martwić o swój strój lub wygląd.

Zapina bluzę i siada na skrzyni na przynętę.

Błękit ponad oceanem jest oczyszczony i wypłukany po długim upalnym lecie. Słony wiatr zdaje się wypełniony czystym tlenem. Silnik zwiększa obroty, walcząc z prądem. Rozmowa z Benem, który za plecami Sydney stoi za sterem, jest niemożliwa. Przypuszczalnie Ben chce okrążyć cypel i po raz ostatni spojrzeć na letni dom, zanim przestanie on należeć do rodziny. Sydney rozumie to pragnienie, zastanawia się jednak, dlaczego zależało mu na jej towarzystwie. Może podsłuchiwał słowa matki i chce być uprzejmy.

Kiedy po wyjściu z przesmyku Ben kieruje się raczej na zachód niż na wschód, cel wycieczki pozostaje dla Sydney nieznany. Wiatr zwiewa jej włosy prostymi pasmami do tyłu. Whaler przyjmuje regularne tempo, bijąc o fale. Sydney zauważa, że białe poduszki miejscami nabrały różowego odcienia, a wyheblowany pokład jest poplamiony. Na łodzi panuje nieporządek: zgnieciony T-shirt leży na dziobie, rozwinięta lina na konsoli, na nieschowanej wędce kołysz się haczyk.

Okrażają cypel, którego nigdy wcześniej nie widziała. Przebyli już szmat oceanu i Sydney zaczyna powątpiewać, czy przyjęcie zaproszenia Bena było rozsądne. Zastanawia się też, czy nie powinna zadzwonić do któregoś ze swoich kolegów; może się o nią niepokoją?

Whaler płynie szybko wzdłuż wybrzeża, którego Sydney nie zna. Dostrzega wyspy, zatoki, rybacki kuter wpływający do portu. Ogarnia ją dziwne wrażenie wolności, wrażenie ucieczki z miasteczka. Może jednak ta wyprawa ma jakiś sens.

Ben zwalnia. Przed sobą mają wyspę, na której stoją trzy albo cztery chaty. Po wyłączeniu silnika łódź dryfuje. Ben sprawdza uważnie głębokość wody. Sydney także przechyla się przez burtę i widzi niekończące się dno peł-

ne ciemnych muszli i leżących pomiędzy nimi podobnych do muszli spiral. Żałuje, że nie może wyciągnąć ręki, by ich dotknąć.

Dryfują, aż pod dnem łodzi jest tylko piasek, pomarszczony jak na dnie rzeki. Sydney zanurza dłoń w wodzie i jest zaskoczona jej ciepłem. Pomędzy łodzią a wyspą jest kilka piaszczystych łąch.

- Mamy jakieś dwadzieścia minut - mówi Ben. Rzuca kotwicę, lina porusza się wolno w płytkiej wodzie. Sydney przenosi nogi nad burtą. Podwinęła nogawki czarnych spodni, ale momentalnie opadły, i brodzi ku miejscu, gdzie stoi Ben. - Przykro mi. - Ben spogląda na jej mokre spodnie.

Ale Sydney wpatruje się w wyspę przed sobą.

- To niesamowite - mówi.

Piasek tworzący łąchy także jest pomarszczony, fałdki masują jej stopy. Uderza ją mnóstwo muszli leżących w stosach i na skraju plaży. Wszystkie aż się proszą, by je zebrać. Oboje z Benem przechodzą przez jedną łąkę, potem następną. Ben prowadzi.

Chaty stłoczone są w gromadkę na szczycie wzgórza. Wszystkie prócz jednej zamknięto już na zimę - a może pozostają w tym stanie od lat. Jest ich cztery, z każdej rozciąga się widok na ocean. Wyspa ma wielkość boiska do futbolu, pośrodku znajduje się studnia. Skoszona trawa sugeruje, iż niedawno ktoś tu mieszkał.

Sydney idzie za Benem do skromnej brązowo-żółtej chaty z gankiem. W pokrytym gontem dachu są cztery mansardowe okienka jak cztery punkty na kompasie. Sydney widzi linię brzegową lądu oddalonego o niecały kilometr.

- Gdzie jesteśmy? - pyta.

- Wyspa Fredericka. Miejscowi nazywają ją Freddie.

- Czy to ta...? - pyta Sydney, myśląc o dniu ślubu.
- Nie - odpowiada spiesznie Ben.

Brazową bejcę zniszczyły żywioły, żółte wykończenia nabrały kremowego odcienia. Sieci na homary wiszą na murze. Koło drzwi, które otwiera, stoją dwa plastikowe wiadra z cieczą wyglądającą na brudną wodę. Ben wchodzi do środka i czeka na Sydney.

Mija kilkanaście sekund, nim jej oczy przyzwyczajają się do mroku. Odkrywa, że stoi w małej kuchni z pobielonymi ścianami i krokwiami. Dostrzega prostą kuchenkę i maleńką lodówkę z zardzewiałymi zawiasami. Na półce przy drzwiach widzi poplamione lustro, plastikowy kubek ze szczoteczka-
mi do zębów, nożyce, opakowanie środka odstraszającego owady. Pod półką znajduje się umywalka ze steatytu pełna plastikowych butelek na wodę. Z prawej strony jest szklany dzban w czerwone i żółte paski, przypominający Sydney dzbanki, których matka używała w Troy do mrożonej herbaty. Na ścianie koło blatu wisi lampa naftowa.

- Nie ma tu prądu ani wody - wyjaśnia Ben. - Kuchinka i lodówka są na propan. Pokażę ci pokoje.

Wchodzą do pozbawionego uroku saloniku z cienkimi białymi zasłonkami na oknach. U sufitu wiszą gazowe lampy i dzwonki z brązu mające się poruszać na wietrze przy otwartych drzwiach. Na gołej drewnianej podłodze stoją meble: klonowa sofa z niebieską narzutą, chromowane krzesło z lat siedemdziesiątych, cztery foteliki z zielonego plastiku w rodzaju tych, które zwykle trzyma się na ganku, dwa urocze stare leżaki z niemalowanej wikliny i, nieco z boku, okrągły stół przykryty ceratą w czerwone homary. Niepasujący do niczego wydeptany chodnik przykrywa środek pokoju.

W chacie jest sypialnia, zbyt ciasna, by zmieściło się w niej cokolwiek poza łóżkiem i komodą, oraz łazienka,

która wygląda, jakby niedawno korzystali z niej rybacy. Sydney podoba się jadalnia ze spadzistym dachem i lazurowymi deskami na ścianach. Kwiecista cerata przykrywa ciemny stół. Pasujące do niego kredens i cztery krzesła sprawiają nieco oficjalne wrażenie. Pośrodku stołu stoi lampa naftowa z zielonego szkła i Sydney wyobraża sobie kolacje przy jej świetle. Na parapecie widzi pojemnik na ocet, zwiniętą flagę i trzepaczkę.

- To twoja chata? - pyta Bena, który z dłońmi w kieszeniach džinsów stoi w progu.

- Dopiero co podpisałem umowę. Dom wymaga wiele pracy.

- Poprzedni właściciele zostawili wszystkie te rzeczy?

- W domach na wyspie nie ma innego wyjścia. Transport wyposażenia z powrotem na ląd jest za bardzo kłopotliwy.

- Dlaczego go kupiłeś?

- Podjąłem decyzję, kiedy się dowiedziałem, że matka sprzedaje dom przy plaży.

- Dość surowy, ale wspaniały, jakby człowiek cofał się w czasie - mówi Sydney.

Ben prowadzi ją po wąskich schodach.

- Na piętrze są trzy maleńkie sypialnie - wyjaśnia - ale mam zamiar wyburzyć ściany i zrobić jeden wielki pokój. Pozwól, coś ci pokażę. - Na podeście otwiera okno i wychodzi na lekko spadzisty dach nad gankiem. - Chodź! - woła do Sydney. - Tu jest całkiem płasko.

Sydney wyczołguje się na dach, na kolanach czuje szorstką słomę. Usadowiwszy się, patrzy na niezwykły widok: Atlantyk w kierunku północnym poznaczony wysepkami. Słysząc wyłącznie ciche bicie wody o skały.

- Widok jest cudowny - mówi Sydney. - Ale czy ktoś naprawdę tu mieszka?

- Nie da się tutaj mieszkać przez cały rok, żaden z domów nie jest przygotowany na zimę. Ludzie przyjeżdżają tylko na lato. Poznałem kilku.

- Jak tu docierasz?

- Przy odpływie można iść. Po drugiej stronie jest piaszczysta łąka. Można też jechać samochodem, ale do tego potrzebny jest wóz z napędem na cztery koła. Nie powinienem był sprzedawać landrowera. Zwykle przy-pływam łodzią. Jesienią zamierzam tu popracować. Chyba kupię używaną ciężarówkę.

- Nic nie rozumiem - mówi Sydney. - A twoja praca?

- Można powiedzieć, że jestem na urlopie bezpłatnym. Ścisłej rzecz biorąc, bezterminowym urlopie bezpłatnym.

- Zwolniono cię?

Ben śmieje się.

- Nie, sam zrezygnowałem. Na jakiś czas w każdym razie. - Opiera się o framugę okna. - Kiedyś całe wybrzeże Nowej Anglii wyglądało w ten sposób - wyjaśnia. - ludzie mieszkali w chatkach bez bieżącej wody i prądu. Kilka takich chat stało przy plaży, kiedy rodzice kupili ten wielki dom, ale teraz wszystkie zniknęły. Zburzono je, by zrobić miejsce dla nowocześniejszych budynków.

Na Sydney robi wrażenie prostota otoczenia.

- W pewnym sensie to piękno jest niepokojące, prawda? - mówi. - Chcesz mieć je na zawsze, ale to niemożliwe. Twój ojciec powiedział kiedyś, że jego zdaniem ludzie, do których należą domy przy plaży, przyjeżdżają tu, by podziwiać piękno.

- Ojciec tak powiedział? - Ben zastanawia się chwilę.

- Ale to nieprawda, zgadzasz się?

- Co masz na myśli?

- Owszem, pięknie tu, bez wątpienia, jednak plaża ma

też swoje brzydkie strony. Nawet ten widok staje się brzydki, jeśli bliżej mu się przyjrzeć. Widzisz te muchy krążące nad wodorostami? Skały pokryte odchodami mew? Czujesz spaliny z kutra?

- Zawsze się zastanawiałam, czy piękno to nie jest po prostu próba uchwycenia czegoś, czego nigdy nie miałeś, albo czegoś, co miałeś w dzieciństwie i pragniesz odzyskać. Tamtej niezwykłości albo wspaniałości.

- To kwestia światła - mówi Ben. - Ten sam widok w pochmurny dzień jest piekielnie przygnębiający. — Poprawia się na dachu. - Czasami myślę, że pożądanie piękna jest rodzajem pornografii - mówi. - Często widywałem to w pracy. Wielkie pokoje, granit, najnowocześniejsze lodówki, potrójne okna i drzwi balkonowe, garderoby tak wielkie jak salony babek. Wszystkie moje letnie rzeczy mieszczą się w dwóch szufladach komody. Dlatego tak pokochałem ten dom, kiedy pierwszy raz go zobaczyłem - dodaje, wskazując ręką miejsce, na którym siedzą. — Dobre wychowanie nie pozwoliło ci tego powiedzieć, ale chałupa jest w kiepskim stanie.

- Jest autentyczna - odpowiada Sydney ze śmiechem. Jej spodnie, wysychając, nabierają dziwnego kształtu. Dach robi się gorący. Sydney zastanawia się, jak tutaj jest w czasie sztormu.

- Ben, co się stało? Dlaczego on to zrobił?

Odwraca się ku niej.

- Mówimy o Jeffie?

- Tak.

Ben zaciska szczękę, dolna część jego twarzy twardnieje.

- Nie mogę za niego odpowiadać, ale kiedy czekaliśmy na lotnisku na jego samolot, odbyliśmy godną uwagi rozmowę.

- Jeff poleciał do Paryża? - pyta Sydney.

- Uznał, że musi się stąd wyrwać.

Sydney przypuszczała wcześniej, że Jeff poleciał do Paryża, jednak teraz ta wiadomość ją porusza.

- Co powiedział?

- Że zrobił najgorszą rzecz w swoim życiu.

Resztki bólu przesuwały się przez jej ciało niczym fala. Po kilku sekundach doznanie mija bez śladu.

- Zgodziłem się z nim - dodaje Ben.

- Tamtego popołudnia - zaczyna Sydney, ale się waha; niewykluczone, że jej przypuszczenia mijają się z prawdą - tamtego popołudnia powiedział, że zrobił to tobie.

Ben długo milczy.

- Chyba rzeczywiście - odpowiada wreszcie.

- Wcześniej tak samo postąpił z Victorią.

- To prawda.

- Co się stało?

Ben z pochyloną głową podnosi luźny gont.

- Vicki i ja dopiero zaczęliśmy się spotykać. Byliśmy ze sobą od dziesięciu dni, może dwóch tygodni. Poszliśmy razem na kolację i na jakieś przyjęcie. Potem Jeff spotkał nas na imprezie dobroczynnej i zanim się zorientowałem, byli parą.

- Rozgniewałeś się?

- Byłem zaskoczony, tak to ujmijmy. - Ben przerywa.

- No wiesz, myślałem, niech lepszy zwycięży, czas leczy rany. Co miałem zrobić? Błagać, żeby do mnie wróciła? - Przenosi wzrok na Sydney. - Ale kiedy zrobił to ponownie... Uświadomiłem sobie, że rozmyślnie odebrał mi Victorię. Mogłem mu wybaczyć za pierwszym razem, ale nie za drugim, i on dobrze o tym wiedział.

- Dlaczego to zrobił?

Ben się waha.

- Zobaczył, że wpadłaś mi w oko, więc chciał cię mieć - mówi po chwili. - Koniec.

- I to wszystko? - pyta Sydney.

- To wszystko.

- A ja pozwoliłam, żeby mnie miał.

- Właśnie.

Sydney zamyka oczy. Zalewa ją wstyd, świadomość własnej głupoty.

- Jeff zawsze lubił rywalizację - ciągnie Ben, może wyczuwając jej zażenowanie. - Częściowo wynikało to z porządku rzeczy, częściowo to był cały Jeff. Kiedy miałem dwanaście lat, on miał osiem. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, on czternaście. Oczywiście musiałem być od niego lepszy w większości dziedzin. Na przykład sport, nigdy nie mógł dorównać mi w sporcie. Próbował, ale po jakimś czasie zrezygnował i postanowił znaleźć inne pola, na których mógłby mnie pokonać. Jednym była szkoła, innym kobiety. Jeff doskonale radzi sobie z kobietami. - Ben z ukosa spogląda na Sydney. - Na pewno chcesz tego słuchać?

- Tak sądzę.

- Wychodziło mu to świetnie. Odnosiło się wrażenie, że robi to mimochodem, nawet się nie wysilając. Nie wiem jak. Ty pewnie wiesz lepiej.

Sydney przypomina sobie dzień, gdy Jeff na ganku przesunął palcem od jej kolana do nogawki szortów, szokująco intymny gest, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele zdarzyło się wcześniej. Rozumie teraz, że takie gesty składają się na skuteczną technikę: wyprowadzają kobietę z równowagi, biorą ją w posiadanie, zanim zdąży sobie uświadomić, co się stało.

Sydney prostuje nogi.

- Mam zamiar zbudować mały taras w miejscu, gdzie teraz siedzimy - mówi Ben. - Zamiast okna będą drzwi i dość miejsca na krzesła i stół.

Sydney zadziwiona jest brakiem odgłosów. Dzieci nie biegają po plaży, nie słychać samochodów ani warkotu motorówek.

- Wiesz, pierwszego dnia, wtedy na ganku, miałam wrażenie, że zakłócam równowagę rodziny. Ze przeszkadzam.

- Ludzie cały czas przeszkadzali.

- Nie w taki sposób jak ja.

- Nie, chyba nie.

- Zostałam uwiedziona.

-Przez Jeffa?

- Cóż, tak, ale myślę, że także przez piękno tego miejsca i życie rodzinne.

Ben przygląda się jej uważnie.

- Mogę to zrozumieć. Podwójna przynęta: piękno i rodzina. Choć, szczerze mówiąc, myślę, że zadurzyłaś się w moim ojcu.

Sydney jest wstrząśnięta tą sugestią.

- Ale nie w sposób...

- Nie to miałem na myśli. Każdy zawsze trochę się w nim durzył.

- Był wspaniałym człowiekiem - przyznaje Sydney. - Myślałam, że Jeff jest do niego podobny.

- Fatalny błąd.

- Ben, dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego przed ślubem nie powiedziałeś mi o Jeffie?

Ben nabiera powietrza głęboko w płuca i głośno je wypuszcza.

- Na początku wahałem się, bo nie chciałem cię ranić, a potem, im dłużej to trwało, tym częściej myślałem, że

może Jeffowi naprawdę na tobie zależy, że spotkał kobietę dla siebie.

- Więc trzymałeś się z boku.

- Jeśli chodziło mu o to, żeby zrobić mi na złość, nie chciałem brać w tym udziału. A jeśli cię kochał, musiałem trzymać się z boku. - Na chwilę milknie. - Posłuchaj, gdybym tamtego wieczoru w barze powiedział ci o Jeffie, uwierzyłybyś mi?

Sydney pamięta zamieć, topniejący śnieg pod stopami, zielone martini i to, jak Ben przykrył jej dłoń leżącą na stoliku.

- Przypuszczalnie nie. - Rozpina bluzę. Bluzka pod spodem jest pognieciona. - Co będzie z twoją matką?

- Dostała dobrą cenę za dom przy plaży. I dostanie dobrą za dom w Needham. Szukam dla niej mieszkania w Bostonie.

- Gdzie jest grób twojego ojca?

- W Needham.

- Może pewnego dnia wybiorę się na cmentarz.

Ben odkłada na miejsce luźny gont.

Tak, Sydney pójdzie na grób pana Edwardsa i zanieśie mu róże. Nie takie z cieplarni, ale prawdziwe, z ogródka. Ale najpierw obejrzy obraz w Muzeum Sztuk Pięknych.

- Bardzo kochałaś Jeffa? - W głosie Bena brzmi napięcie, jakby czekał z tym pytaniem przez całe popołudnie. Z jego tonu Sydney domyśla się, że odpowiedź może wiele dla niego znaczyć.

- Kochałam - odpowiada szczerze. - Ale takie wyrażenie podaje w wątpliwość wszelkie uczucia. Bruka to, co było wcześniej. - Odwraca się, by sprawdzić, czy Bena satysfakcjonują jej słowa, ale on stoi i patrzy na przypiływ.

- Chryste - mówi.

Do łodzi muszą płynąć. Przyptyw nadszedł wcześniej, niż Ben się spodziewał, Ben trzyma się blisko Sydney i kiedy ciężar ubrania ciągnie ją w dół, a usta napełniają się słoną wodą, łapie ją za ramię.

Na łodzi Sydney czołga się do steru. Pomaga Benowi podnieść kotwicę.

- Naprawdę mi przykro - powtarza Ben, ale ona tylko macha ręką. Zapewnia go, że ta wyprawa była wspólną przygodą. Gdyby miała zrobić to znowu, nawet pamiętając o ryzykownym podpłynięciu do łodzi, nie wahałaby się. Siada po turecku w kokpicie. Bluzy na nic się teraz nie przydają.

- Zaraz będziemy w domu - zapewnia Ben.

Sydney drży, a kiedy podnosi oczy, widzi, że on także się trzęsie w spodniach i przemoczonej bluzie. Zwiększa prędkość o tyle, o ile to możliwe, na szczęście nurt jest po jego stronie. Kiedy dopływają do pomostu, wyłączają silnik.

- Tutaj cię wysadzę - mówi - a sam popłynę zacumować. Na brzeg dostanę się pontonem. Znajdź tu kogoś i poproś o koc. Wrócę tak szybko, jak się da.

Sydney wykonuje polecenie i czeka na Bena w małym pomieszczeniu, którego wygląd ma przypominać klub jachtowy. Nad kominkiem wiszą sepiowe fotografie

przedstawiające załogi. Na drewnianych półkach stoją ozdobne srebrne puchary. W rogu jest biblioteczka dla dzieci, na podłodze leży stos gier planszowych. Młody człowiek dał Sydney zielony flanelowy koc, w który się zawinęła. Mimo to nadal drży - nie wie, czy na wspomnienie rozmowy na dachu, czy z zimna.

Kiedy przychodzi Ben, Sydney zdejmuje koc, składa go i dziękuje młodemu człowiekowi. Biegną do samochodu. Gdy zajmują miejsca, Ben włącza ogrzewanie na cały regulator. Znowu przeprasza.

- Ben, przestań - mówi Sydney. - To była świetna zabawa.

- Wciąż drżysz.

- Nic mi nie jest - upiera się Sydney. - Czuję się doskonale.

- Skorzystasz z łazienki dla gości - decyduje Ben, kiedy wysiadają z jetty. - Ja pójdę do tej na końcu korytarza.

- W domu natychmiast woła Julie, która wychodzi ze swojego pokoju i przechyla się przez balustradę. Ben przeskakuje po dwa stopnie naraz. Sydney idzie za nim.

- Co się stało? - pyta przestraszona dziewczyna.

- Sydney będzie potrzebowała ciepłego ubrania.

- Wpadliście do wody?

- Niezupełnie - odpowiada Ben.

Sydney myśli, że to chyba najlepszy prysznic w jej życiu. Puszczą ciepłą wodę tak długo, by rozgrzała jej ciało, które wydaje się ziębnięte do szpiku kości. Po pewnym czasie jej ramiona zaczynają się odprężać, niemal parząca woda na plecach i karku daje pożądaný efekt. Sydney znajduje butelkę z resztkami szamponu i myje włosy. Wcześniej słyszy, jak Julie otwiera drzwi i kładzie stos ubrań na umywalce.

- Będą o wiele za duże! - woła dziewczyna.
- Będą wspaniałe - odpowiada Sydney.
- Przyniosłam też ręczniki.

Sydney ma wrażenie, jakby zakończyła długi rejs, jakby wygrała bieg. Talerz gorącego chowdera byłby idealny.

Zwija włosy w węzeł, korzystając z elastycznej opaski, którą znajduje na półce niemal pustej szafki na lekarstwa. Ubiera się w rzeczy Julie: granatowy welurowy dres jest co najmniej o dwa rozmiary za duży. Podoba jej się ta swoboda i czuje się jak dziecko po kąpieli: czyste, zawinięte w ręcznik niemal tak wielki jak ono. Musi zetrzeć parę z lustra, by zobaczyć swoją twarz zaróżowioną od gorącej wody. Zastanawia się przelotnie, czy będzie ostatnią osobą, która korzystała z tego prysznica, jeśli nowi właściciele zdecydują się odnowić dom albo, co gorsza, zburzyć go, by zrobić miejsce pod nowy budynek. Z sympatią patrzy na charakterystyczne elementy łazienki, którą niegdyś dzieliła z pastorem i gośćmi: spłuczkę z uchwytem, którym trzeba było poruszać na wszystkie strony, jeśli chciało się dobrze spłukać toaletę, nieco zarzewiały chromowany wieszak na ręczniki, szafkę na lekarstwa z metalowymi półkami, dwie okrągłe lampki po obu stronach lustra przywodzące na myśl latarnie. Kiedy otwiera drzwi na korytarz, para snuje się za nią.

Ben czeka na dole.

- Mogę przynieść ci piwo, którego trzy lata temu nie chciałaś ode mnie wziąć? - pyta.

Sydney wybucha śmiechem.

Sydney, Julie i Ben z butelkami w dłoniach znajdują miejsca do siedzenia w zastawionym pudłami salonie. Pani Edwards w kuchni przygotowuje kolację. Sydney czuje zapach wieprzowych kotletów.

Wcześniej Ben powiedział: „Trudno uprzętnąć całe życie z tego domu”. Umieszcza się je w czarnych workach na śmieci i pudłach, myśli Sydney, rozglądając się po pokoju, który w przeszłości tak lubiła. Przekazuje Armii Zbawienia i wyrzuca do śmietnika. Przenosi część do nowych ścian i nowych pomieszczeń, może do mieszkania w Bostonie albo w Montrealu. Czy jakiś obraz albo niewielki mebel popłynie łodzią do brązowo-żółtej chaty na Wyspie Fredericka? Gdzie się podzieją białe sofy? Długi stół z jadalni, przy którym rodzina zasiadała do tak wielu kolacji? Czy pani Edwards zachowa zdobycze z pchlego targu?

- Po kolacji umyję resztę okien - mówi Ben do Julie - chociaż nie wiem po co. Do czwartku całe będą pokryte solą.

- Prawie skończyłam swój pokój.

- I zajmę się piwnicą - dodaje Ben.

- Powodzenia - mówi Julie, po czym zwraca się do Sydney: - Nie cierpię piwnic, prawie nigdy tam nie schodzę.

Sydney chciałyby pomóc, ale taka propozycja sugerowałaby, że zostanie na noc. Z drugiej strony dręczy ją myśl, że nie ma nic do roboty. Wydaje jej się, że czas, jaki spędziła w tym domu, wymaga od niej udziału w jego likwidowaniu.

Postanawia, że umyje naczynia. Przynajmniej tyle zrobi.

Ben ubrany jest w biały T-shirt i czarny sweter. Twarz ma zaczerwienioną, włosy palcami zaczesane za uszy. Być może zapomniał szczotki do włosów. Niewykluczone, że szorty khaki znalazł w komodzie w sypialni chłopców. Sydney zastanawia się, czy jej dawny pokój został opróżniony, czy jest tam jeszcze kobaltowy wazon. Kto mógł

go chcieć? Jest w jednym z czarnych worków z napisem „Cele dobroczynne”?

- Sydney przyjedzie do Montrealu na moją wystawę
- oznajmia Julie Benowi, który skończył swoje piwo i myśli, Sydney widzi to wyraźnie, o przyniesieniu sobie następnego. Jeśli jej także zaproponuje, ona się zgodzi. Może minąć wiele godzin, nim wyruszy do Bostonu. Wyjście cało z przygody z oceanem napełniło ją brawurą.

- To dobrze - mówi Ben. - Kiedy?

- W styczniu - odpowiada Julie.

- Ja też przyjadę - obiecuje Ben.

Sydney dostrzega, że Ben uparcie unika patrzenia w jej stronę.

- Naprawdę? - pyta z podnieceniem Julie. - Helene mówi, że będzie przyjęcie.

Kolacja składa się z kotletów wieprzowych, ryżu z torebki i gotowej sałaty doprawionej sosem z butelki. Jest to posiłek całkiem podobny do tych, które Sydney jadała w Troy: prosty, podstawowy, bez smaku. Kotlety są tak wysmażone, że Sydney ledwo przecina je ząbkowanym nożem. Siedzą we czworo przy kuchennym stole z plastikowymi matami pod talerzami. Sydney nie potrafi pozbyć się dziwnego wrażenia, że są zwyczajną rodziną jedzącą kolację po zwyczajnym dniu. Matka, syn, córka. Jaka byłaby teraz jej rola? Stara przyjaciółka rodziny? Daleka przyjaciółka rodziny? Dawna pracownica, która niemal poślubiła drugiego syna?

Pani Edwards je wolno, jakby nie miała ochoty na posiłek, który sama przyrządziła. Przypuszczalnie całe życie wydaje jej się teraz pozbawione smaku. Sydney pamięta podobne odczucia po śmierci Daniela i odejściu Jeffa w dzień ślubu: wrażenie, że świat utracił swoje zmysłowe

właściwości albo że ona utraciła zdolność ich postrzegania. Chciałaby móc podzielić się tymi myślami z panią Edwards, ale może tylko wyobrazić sobie lekceważące spojrzenie starszej kobiety, gdyby to uczyniła. Pani Edwards ma twarz zaczerwienioną i pokrytą plamami, Żałoba sprawiła, że nabrała rumieńców.

Siedząca naprzeciwko Julie wydaje się zgaszona. Niewykluczone, że to jej ostatnia kolacja w tym domu. Nie powiedziała jeszcze, kiedy wraca do Montrealu. Śmierć ojca zapewne była dla Julie ciężkim przeżyciem, dziewczyna jest zbyt młoda na taką stratę. Czy żal pana Edwardsa nie był równie silny? Zostawiać dziecko, które bez wątpienia bardzo kochał, a które dopiero wstępuje w życie? Czy odczuwał ulgę, wiedząc, że Julie ma Helene? Czy umierający snuje takie myśli? A może coraz bardziej się oddala, gotów do wkroczenia w inny wymiar?

Ben pośpiesznie kończy posiłek. Sydney zauważa, że pije trzecie piwo; butelka szybko się opróżnia.

Ten człowiek stracił ojca i brata, stracił matkę, która pograżyła się w żałobie. Jego siostra nadal będzie mieszkała w innym kraju. Ben odsuwa krzesło i tak się odwraca, by móc patrzeć na salon. Opiera łokieć na kuchennym stole.

Sydney raz jeszcze wodzi spojrzeniem wokół stołu; pani Edwards wciąż skubie kotlet, Julie kończy piwo, Ben pije swoje dużymi łykami. To tak, myśli Sydney, jakby całą rodzinę złapała fala odbojowa i zaniósła na pełne morze; każde z nich płynie bokiem, równoległe do brzegu.

Po umyciu naczyń Sydney czyści kuchenkę. Wyciera płytę, zdejmuje palniki, moczy je w zlewie i wydłubuje rud, który zagnieździł się pomiędzy aluminiową krawędzią a granitowym blatem. Otwiera piekarnik i przelot-

nie rozważa umycie go, musiałyby jednak poprosić o środek do czyszczenia, na co Ben lub Julie z pewnością odpowiedzieliby: „Nie, za wiele z tym kłopotu”. Pani Edwards mogłaby wcale nie odpowiedzieć.

Sydney postanawia więc umyć w zamian lodówkę. Wyciera ścianki, płucze półki i pojemniki w letniej wodzie. Wyrzuca jedzenie, które z całą pewnością do niczego się nie nadaje: zgniłe cebule w siatkowym worku, słoik pasty z oliwek z warstwą bujnie rozwijającej się pleśni. Pozostałe rzeczy, nawet drobne, odkłada dokładnie w to samo miejsce, gdzie przedtem były. Pani Edwards może pomyśleć, że lodówka to nie jest sprawa Sydney, że Sydney przekroczyła granicę.

Zamrażarka pełna jest niemożliwych do rozpoznania produktów w plastikowych torebkach, z których większość pokryta jest futerką szronu. Sydney zamyka drzwiczki.

Po wyczyszczeniu lodówki Sydney zaczyna myć szafki. To z całą pewnością nie jest jej sprawa, ale pomimo zbliżającej się jazdy do Bostonu ma wrażenie, że nie może przerwać pracy, dopóki nie uczynią tego pozostali. Nie wykluczone, że na koniec wieczoru odbędzie się mała uroczystość przy cieście z jagodami, które wcześniej Sydney zauważyła w pojemniku.

Wyjmuje wszystko z pierwszej szafki: zapasowe naczynia na płatki, niebieskie miseczki, które z całą pewnością ktoś rodzinie sprezentował, szklanki do soku z jaskrawoczerwonymi wisienkami, plastikowe talerze na wypadek, gdyby ktoś nie chciał używać na ganku prawdziwych. Przez cały czas, gdy Sydney tu mieszkała, nikt nigdy nie dotknął plastikowego talerza.

Pani Edwards bez słowa przechodzi przez kuchnię. Sydney jest nieco zdziwiona, że nawet nie przystaje, by

popatrzeć. Jeszcze dwa razy milcząco przepływa obok Sydney, która klęczy na kontuarze i gąbką myje zamki w szafce. To tak, jakby pani Edwards nie mogła mówić.

Kiedy po raz czwarty wchodzi do pokoju, Sydney zeskakuje z blatu. Kobieta wzdycha i rusza po schodach na piętro. Sydney nasłuchuje kroków. Pani Edwards kieruje się do swojej sypialni.

Sydney słyszy Bena, jak przesuwa ciężkie przedmioty po podłodze piwnicy. Myśli, że Julie chyba już się położyła. Siada przy kuchennym stole ze szklanką wody z kranu. Jej obecność jest zbędna i podejrzana; czas najwyższy, by ruszyła w drogę. Zastanawia się krótko, gdzie postawiła aktówkę z kluczami, które wcześniej wyjęła z kieszeni. Może jej ubranie już wyschło. Za minutę pójdzie, przebierze się szybko, a potem poprosi Bena, żeby ją odwiózł do samochodu czekającego na parkingu. Załatwiwszy to wszystko, pojedzie na południe.

Najpierw jednak musi zrobić jeszcze jedną rzecz.

Wchodzi do swego dawnego pokoju i zamyka drzwi. Pościel została zdjęta z łóżek, komoda i stolik nocny opróżnione z drobiazgów. Zniknęła nawet lampka. Sydney siada na gołym materacu i czeka, aż oczy przyzwyczają się do półmroku.

Na parapecie nie ma kobaltowego wazonu z piórem, pod ścianą nie stoi czerwone krzesło. Sydney zastanawia się, kto spał tutaj, odkąd dwa lata temu opuściła pokój, i kiedy ostatecznie go opróżniono. Wspomina Jeffa stojącego przy oknie i myśli, że chyba płakał.

Sydney wiedziała, że decyzja o rozwodzie z Andrew była po prostu bolesnym wyborem, którego musiała dokonać. Śmierć Daniela stanowiła dowód okrutnego i kapryśnego funkcjonowania wszechświata. Niewykluczone jednak, że

postępowanie Jeffa zawsze będzie ją intrygować. Czy było to przesłanie z mrocznej głębi ludzkiej psychiki wskazujące na straszliwy narcyzm i zdumiewający brak empatii? Zrobił to dla sportu, dla satysfakcji? A może nie potrafił się powstrzymać, złapany w sidła rywalizacji, która się rozpoczęła, zanim zdał sobie z tego sprawę? Jeff był egoistą, to nie ulega wątpliwości, być może na tyle w siebie zapatrzonym, by konkurować z bratem wbrew własnemu dobru. Ale czy to czyni go złym człowiekiem? A może zaledwie ułomną i bardzo prawdziwą istotą ludzką?

„To, co zrobiłem, było spontaniczne”, tak powiedział jej Jeff w sypialni Julie tamtej nocy, gdy dziewczyna zniknęła. „Wręcz beztróskie”.

Sydney wstaje i raz jeszcze rozgląda się po pokoju, usiłując przypomnieć sobie, jaka była, zanim pojawił się Jeff, Ben, Edwards, Julie. Dostrzega jedynie słabe zarysy obrazów, przejrzyste i ledwo widoczne: młoda kobieta w wieku dwudziestu dziewięciu lat, żyjąca z dnia na dzień, zawieszona pomiędzy egzystencją, z której usiłowała się otrząsnąć, a egzystencją, której nawet nie potrafiła sobie wtedy wyobrazić. Na jej oczach te wizje znikają. Pokój pograża się w ciemności. Sydney zamyka za sobą drzwi.

Kiedy się odwraca, widzi na korytarzu panią Edwards.

- Zgubiłaś się?

Interesujące pytanie, myśli Sydney.

- Mark chciał, żeby to trafiło do ciebie - mówi pani Edwards.

Wyciąga rękę, dając jej do zrozumienia, by odebrała od niej pudło. Sydney jest zaskoczona jego ciężarem. Na pokrywie czarnym markerem wypisano: „Dla Sydney Sklar”.

- Miałam zamiar ci to wysłać - ciągnie pani Edwards - ale skoro tu jesteś... Mark przed śmiercią, kiedy jeszcze był sprawny, spakował kilka rzeczy i zrobił notatki, komu je przekazać. Nie wiem, co jest w środku - dodaje tonem sugerującym: „i nie chcę wiedzieć”.

- Dziękuję - mówi Sydney.

Pani Edwards odgarnia rzadkie włosy z czoła.

- Nie sądzę, że zostaniesz tu długo - odpowiada.

- Nie, już wyjeżdżam.

- No cóż... - Najwyraźniej kobiecie brakuje słów. Niezgrabnie macha ręką. - Szczęśliwej podróży! - dodaje niczym ktoś, kto żegna znajomą, która wyrusza w odległą stronę.

Sydney zanosi pudło do jadalni, gdzie światła jest mało, za to istnieje mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś jej przeszkodzi. Zbierając się na odwagę, podnosi wieko.

W środku są ustawione pionowo szare koperty. Na jednej widnieje nazwisko „Beecher” i Sydney od razu wie, co dostała. Mark Edwards przekazał jej historię domu.

Zamyka wieko, jakby pragnęła ochronić zawartość. Myśl, że pan Edwards, mając świadomość bliskiego odejścia, włożył swoje zbiory do pudła i napisał na nim jej nazwisko, jest niemal nie do zniesienia. Czy wiedział, że żona sprzeda dom? Czy przewidywał, że nowy nabywca może go zburzyć, niszcząc przy tym historię? Czy wierzył, że ze wszystkich właśnie Sydney okaże się najbardziej godną zaufania strażniczką jego archiwum?

Sydney płacze tak długo, aż wszystko się z niej wylewa: tęsknota za rodziną, żałoba po panu Edwardsie, gniew na Jeffa. Płacze, aż dostaje czkawki, a potem bólu głowy.

W końcu bierze swoje ubranie z wieszka i przebiera się tam, gdzie stoi. Starannie składa welurowy dres. Przez

okno widzi Bena siedzącego na ganku. Z pudłem pod pachą Sydney otwiera drzwi.

- Hej - mówi Ben. - Zastanawiałem się, gdzie się podziałaś.

- Wyjeżdżam. Mógłbyś mnie podwieźć na parking?

- Co to jest? - pyta Ben, wskazując pudło.

- To... - Sydney otwiera usta, ale nie jest w stanie mu odpowiedzieć. Ben rozsądnie nie naciska. Może dostrzeżga, że jest zdenerwowana.

- Usiądź na chwilę - mówi.

Sydney kładzie pudło na tekowym krześle i siada obok Bena na najwyższym stopniu. Powietrze jest gorące, nasuwa skojarzenia z tropikalnym klimatem. Sydney musi sobie przypominać, że to środek września w New Hampshire.

- Ubranie wyschło? - pyta Ben.

- Jest jeszcze trochę wilgotne.

- Napijesz się piwa?

- Mam przed sobą dwie godziny za kierownicą.

- Może kawy?

- Nie, dziękuję.

Prawdę mówiąc, najchętniej by się położyła. Żałuje, że nie ma pretekstu, by spędzić noc w tym domu; wczesnym rankiem wysłaby niepostrzeżenie. Ale tego nie robi.

- Dzisiaj wieczorem pachnie morzem - mówi na głos.

- Wiatr od wschodu.

- Przyjemny. Co teraz będziesz robił?

- Będę pracował w chacie, aż zrobi się zimno. Jest tam kominek, ale ściany nie są ocieplone. Potem wrócę do miasta i jeśli zapowiedzą kilka dni dobrej pogody, będę tu przyjeżdżał. Od listopada chata nie będzie się nadawała do zamieszkania. No i chyba muszę się zastanowić nad resztą swojego życia.

Niefrasobliwe oświadczenie ukazujące skłonność do ryzyka i brawury. Ale znając Bena, Sydney przypuszcza, że ten ma w zapasie kilka planów. Wątpi, aby stał się całkowitym odludkiem. Przecież chyba musi zarabiać na życie.

- Pojedziesz na wystawę Julie? - pyta Ben.

- Z całą pewnością.

Bezczelna mewa siada na drewnianym pomoście. Jak-
by słysząc rozmowę, odwraca się od nich.

- Nigdy mnie nie lubiłaś - rzuca nieoczekiwanie Ben.

- Od pierwszego dnia wyczuwałem twoją niechęć. Nigdy nie rozumiałem dlaczego.

Zaskoczona bezpośredniością jego słów Sydney czuje, jak rumieniec zalewa jej twarz. Jak może mu odpowiedzieć? Czy Ben nie pamięta?

- Ben - mówi Sydney; żałuje, że powrócił do tej sprawy. Dzisiejszy dzień, choć smutny, w gruncie rzeczy był wolny od napięcia.

- Coś się stało, prawda? - pyta Ben. - Czułem to.

- To jest...

- Chodzi o mnie? O to, jaki jestem?

- Wolałabym, żebyś o tym nie mówił.

- Coś było.

- Och, Ben - odpowiada - chodzi o tamten wieczór;
Ben mruży oczy, marszczy czoło.

- Jaki wieczór?

- Kiedy poszliśmy pływać na fałach.

W świetle, które pada z okien frontowego pokoju, Sydney widzi, że Ben usiłuje sobie przypomnieć. Szuka w jego twarzy oznak świadczących, że udaje. Ben kręci głową. Nie odrywa spojrzenia od jej oczu, jakby pragnął odczytać z nich odpowiedź.

- Przykro mi - mówi. - Wieczór, kiedy poszliśmy pływać?

- Tak.
- Potraktowałem cię niegrzecznie? Jeśli tak...
- Nie.

Sprawia wrażenie zdeorientowanego. Może naprawdę nie pamięta, myśli Sydney. Może wcale nie udaje.

- Dłoń - podpowiada.

Ben przechyla głowę; w tym ruchu jest pytanie.

- W wodzie.

Zażenowanie sprawia, że Sydney nie potrafi mu wyjaśnić. Musi jakoś sobie z tym poradzić.

- Kiedy zanurkowałeś i mnie dotknąłeś.

Ben przygląda się jej uważnie.

- Mówię szczerze, Sydney, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- To nie byłeś ty? - Pochyla się ku niemu. - Ben, posłuchaj mnie. Dotykałeś mnie po całym ciele, kiedy tamtego wieczoru pływaliśmy, czy nie? - Usiłuje nadać pytaniu ton rzeczowy, pozbawiony oskarżeń.

- Zastanawiałem się, dlaczego jesteś taka sztywna i lodowata - odpowiada Ben. - To się zaczęło tamtego wieczoru, prawda?

- To nie byłeś ty? - pyta powtórnie Sydney.

- Pozwól, że to sobie uporządkuję. Ktoś, jakiś człowiek, obmacywał cię w wodzie?

Sydney potakuje i czeka.

Ben kładzie dłonie na kolanach, a potem wstaje. Głośno wypuszcza powietrze z płuc. Wpatruje się w wodę przez długą chwilę, a później patrzy na Sydney.

- To skurwysyn - mówi.

Sydney pochyla głowę i zamyka oczy. Ganek kołysze się pod nią, jakby płyty tektoniczne uległy przesunięciu. Sydney odtwarza scenę sprzed trzech lat, próbując przy-

wołać każdy szczegół. Pamięta, że woda otaczała jej kostki niczym imadło. Proste czynności wydawały się niemożliwe, jak podczas nauki chodzenia po długiej chorobie. Sydney widzi białe grzebienie fal, pamięta swoją niechęć, by zrezygnować pierwsza. Szum wody w uszach, całkowita ciemność. Nie miała sił, nawet najmniejszych. Fala była żyjącą istotą. Sydney zatoczyła się. Wyczołgała na suchy ląd. Wróciła do oceanu. I przez cały ten czas Ben był przy niej, prawda?

Poczuła jakiś kształt pod sobą. Czyjeś ciało prześlizgnęło się po jej ciele, dotykając jej, gładząc. Zaczęła machać rękoma, by wyzwolić się z fali, ale nie była w stanie. Miała wodę w ustach.

Czyjeś ciało prześlizgnęło się po jej piersiach, brzuchu, wżórkku łonowym, udzie.

Dotyk przelotny, acz rozmyślny.

Trudny do wykonania, a tym samym znaczący.

Ben, mroczy kształt pod wodą, który głośno dał znać o swojej obecności w pobliżu. A Jeff? Gdzie był Jeff?

Ben wołał brata, ale odpowiedź nie nadeszła. Odczekał chwilę i znowu zawołał. Jak długa była ta przerwa? Teraz to wydaje się najważniejsze. Trwała minutę, dwie? Zaledwie pół minuty? Było dość czasu, by odpłynąć i odezwać się z daleka?

Ben, mężczyzna, którego dotyk zawsze budził w niej odrzę, który od tamtego wieczoru wydawał się jej stworem z podziemia. Który przejrzał ją na wylot.

- Ben - mówi Sydney, podnosząc głowę.

Ale on jest już na końcu drewnianego chodnika i patrzy na wodę. Księżyc z wysoka rzuca na niego poświatę.

- Ben! - wola Sydney, szum fal jest jednak zbyt głośny. Nie może jej usłyszeć. Sydney patrzy, jak Ben zbiega po schodach na plażę.

Taśma zaczyna szybko przewijać się do tyłu. Sydney widzi Bena pijącego sok z kartonu. Czy był to rozmyślnie arogancki gest, jak kiedyś myślała, czy tylko pozostałość po żywiołowości nastolatka? A propozycja piwa podczas tej pierwszej kolacji nie wynikała z natury drapieżcy, tylko z dobrych manier uprzejmego gospodarza? Rezerwa, z jaką Ben zachowywał się w barze, nie była objawem gniewu, lecz przestroga? Ben odmawiał udziału w rodzinnych uroczystościach nie z poczuciem wyższości i furii, jak kiedyś przypuszczała Sydney, ale dlatego, że nie chciał przeszkadzać?

Sydney przypomina sobie nagle, jak Jeff przesunął palcem po jej udzie. I znów myśli o mrocznym kształcie biorącym ją w posiadanie w wodzie.

Siedzi jakiś czas na stopniu i czeka na powrót Bena. Może poszedł na spacer, by wyładować gniew. Przypuszcza, że bardziej prawdopodobne jest to, iż nie chce mieć z nią do czynienia.

Wyciąga szyję, by spojrzeć na dom, i przy tym ruchu widzi pudło na tekowym krześle. Nowi właściciele pojawiają się za trzy, cztery dni i nie będą mieli pojęcia o życiu, jakie wcześniej toczyło się w murach tego domu. Nie będą nic wiedzieć o rodzinie Edwardsów, Beecherów czy Richmondów. Nic o narodzinach, śmierci, obietnicach dotrzymanyh i złamanych. O strachu, obawach, radości, miłości. Ta prosta myśl niepokoi Sydney. Jak to możliwe, że wiele lat życia rodziny ulega wymazaniu podczas tych kilku minut, gdy dom zmienia właściciela? Powinna pozostać historia na piśmie, pamiętnik przekazywany następnemu gospodarzowi przez poprzedniego. Mógłby się tam znaleźć wpis: „Dzisiaj wybuchła wielka kłótnia, ale pogodziliśmy się, nim poszliśmy spać”. Albo: „Dzisiaj po południu miał odbyć się ślub, pan młody jednak nie przy-

szedł". Albo: „Mój ojciec umarł spokojnie we frontowym pokoju. Wszyscy płakaliśmy”.

Jeśli nowi właściciele zdecydują się zburzyć ten dom, by zrobić miejsce dla nowego, buldożer przekopie różany ogród pana Edwardsa. Wszystkie te kwiaty, krzaki, cała troska znikną w jednej sekundzie. Płytkie szafy na piętrze zwałą się na stos. Długie frontowe okna rozbiją się na kawałki, ganek rozpadnie na drzazgi. To może się zdarzyć w najbliższych dniach. Gdyby za dwa tygodnie wróciła do miejsca, gdzie kiedyś kochała Jeffa, Julie i pana Edwardsa, czy zobaczyłaby tylko płaski, gładki teren? A może wykopane nowe fundamenty?

- Sydney?

Odwraca się i widzi Bena u podnóża schodów. Stopy ma oblepione piaskiem.

- Ben - mówi szybko - bardzo mi przykro...

Przerywa jej, unosząc dłoń.

- Kiedy pomyślę o całym tym czasie...

- Nie myśl.

- Daliśmy się oszukać - mówi Sydney. - Oboje.

Ben potakuje. Sydney wyczuwa, że nie chce mówić o przeszłości, że może już nigdy nie będzie mówił o tym, co jego brat zrobił lub nie każdemu z nich.

- Dobrze się czujesz? - pyta Sydney.

Ben wzrusza ramionami.

- A ty?

Sydney przechyla głowę, jakby chciała powiedzieć: „Może”.

Następuje długie milczenie.

- Więc... - mówi on.

- Więc... - powtarza ona.

Ben kładzie dłonie na biodrach i głową wskazuje ocean.

- Co ty na to?

Sydney wpatruje się w niego.

- Na co?

- Ostatni raz?

W żadnym razie nie może proponować tego, co Sydney sądzi, że proponuje.

- Poszedłem sprawdzić wodę - dodaje Ben. - Jest ciepła.

- Nie... - protestuje Sydney. - Nie mam kostiumu.

Ben znowu wzrusza ramionami.

Sydney patrzy na ocean. Ledwo rozróżnia zarys brzegu.

- Pójdę z tobą na plażę - mówi - ale to wszystko.

Ben rusza drewnianym chodnikiem, zanim Sydney ma czas zmienić zdanie. Jest na dole, kiedy ona dopiero zaczyna iść po schodach. Sydney zostawia buty na najniższym stopniu i wbija palce w chłodny piasek. Woda może być lodowata pomimo cudownie ciepłego powietrza.

Krzyżuje ramiona na piersiach i biegnie na brzeg. Odwraca się jeszcze i spogląda na dom. Myśli przelotnie o zakonnicach i młodych matkach, o mężczyznach, którzy mieli synów, o mężczyznach, którzy umarli. Kiedy po chwili kieruje wzrok na Bena, on jest już ciemną sylwetką blisko linii wody. Zdejmuje koszulę przez głowę, rozpinając pasek szortów.

Sydney zatrzymuje się, nie chce go krępować, gdy jest nagi. Zostanie na plaży i będzie na niego czekać.

Ben przeskakuje nad niskimi falami i nurkuje w zbliżający się za nimi potężny kształt.

Prostuje się, otrząsając i ocierając twarz.

- Wejdz! - woła. - Woda ciepła jak w wannie!

- Nie! - odkrzykuje Sydney.

- O co chodzi? Nie wierzysz mi?

- Czy ci nie wierzę? - odpowiada ze śmiechem Sydney.

Ben odwraca się i zręcznie skacze na falę.

Sydney zostawia ubranie na piasku. Unosi ramiona, a powietrze delikatnie owiewa jej skórę. Wtedy odwraca się do oceanu i biegnie, nabierając niezwykłej prędkości.



RS